

Jordan Penny

Przepis na Boże Narodzenie

PROLOG

- Hm... wydaje się całkiem w porządku - oznajmiła Christabel, przyglądając się krytycznie swojemu kuzynowi. Dzieciak nie miał jeszcze tygodnia i spał smacznie w ramionach matki, pomrukując cicho przez sen, czym sprawiał wrażenie wielce ukontentowanego.

Za cztery tygodnie Heaven i Jon mieli wspólnie obchodzić Boże Narodzenie w swojej wiejskiej posiadłości na szkockim pograniczu. Na razie jednak byli w Londynie, gdzie Jon uszczęśliwiał wszystkich znajomych i krewnych demonstrowaniem nowo narodzonego syna. Teraz właśnie pokazywał go z dumą siostrze, dwu siostrzenicom oraz ich ojczymowi.

- Jednego tylko nie mogę zrozumieć - ciągnęła poważnie młodzieńca Christabel - czemu wołacie na niego Figgy?

Heaven uśmiechnęła się do męża ponad pokrytą czarnym puchem główką Charlesa Christophera Hugo, któremu nadano przezwisko Figgy.

- To długa historia - zaczęła - więc powiem tylko, że pudding o nazwie Figgy to bardzo szczególne bożonarodzeniowe danie, a samo imię Figgy...

- Lepiej skończ na tym tę opowieść - Jon przerwał żonie ponurym głosem.

8

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Jego siostrzenica dostrzegła jednak porozumiewawcze znaki, jakie wymienili między sobą jej wuj oraz nowa ciotka, uznała przeto, że warto dowiedzieć się czegoś więcej. Cóż, Christabel osiągnęła właśnie taki wiek, w którym sekrety i rozmowy dorosłych zdają się najbardziej pasjonującą rzeczą na świecie.

- Opowiedzcie! - zażądała. - Uwielbiam takie opowieści.

Heaven uśmiechnęła się do Jona. Figgy nadal spał w jej ramionach, choć ojciec postanowił nagle go obudzić, zapewne po to, by przy jego pomocy odwrócić uwagę Christabel.

- Cóż - rozpoczęła poważnie - tak jak pudding Figgy jest puddingiem szczególnym, tak szczególna jest ta historia. A wszystko zaczęło się tak...

Rozdział 1

- Naprawdę zamierzasz to zrobić?

Heaven Matthews podniosła wzrok znad naczynia, w którym mieszała składniki świątecznego puddingu, i spojrzała poważnie na przyjaciółkę.

- Tak, Janet. Naprawdę - odparła z naciskiem.

- Jasne... - Janet pokiwała głową. - Po tym, jak on cię potraktował, po tym, jaką krzywdę ci wyrządził, zasługuje na to, by wykręcić mu taki numer... Ale żeby... Nie, masz rację, niech i on posmakuje upokorzenia!

- Posmakuje, posmakuje - zapewniła żarliwie Heaven - o to się nie martw. Posmakuje całkiem dosłownie.

Uśmiechnęła się blado, jakby chciała udowodnić, że jest dzielna i nieustępliwa, jednak Janet nie dała się zwieść. Zbyt dobrze wiedziała, jak bardzo cierpi jej przyjaciółka i jak mocno wstrząsnęła nią cała ta historia.

- Co, nie wierzysz? - zapytała Heaven, widząc, że Janet zamiast się ucieszyć, wciąż patrzy na nią z litością. - Powiada się, że zemsta to danie, które najlepiej smakuje na zimno. Zobaczymy. W tym przypadku pudding zmieni się całkowicie w trakcie jedzenia. A że

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Harold będzie go jadł łyżkami, jestem pewna. On zawsze był zachłanny jak świnia przy korycie, nie tylko jeśli chodzi o jedzenie... Zresztą sama zobaczysz, jak zakwicz!

Uśmiech, który sprawiał, że wokół ust Heaven pojawiały się urocze dołeczki, zgasł na jej twarzy, gdy tylko spojrzała na przyjaciółkę. Janet była smutna i ani trochę nie rozbawiła jej ta przemowa. Nic nie było w stanie jej rozbawić, a to znaczyło, że ona, Heaven, znalazła się w naprawdę dramatycznej sytuacji.

Ech, bo rzeczywiście tak było. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zgasła w niej radość życia, wyczerpała się niespożyta dotąd energia, zaś ów tak charakterystyczny zaraźliwy śmiech, będący zawsze znakiem rozpoznawczym Heaven, stał się tylko mglistym wspomnieniem. Czy można się było jednak dziwić tej odmianie? Wszyscy, którzy kochali i ceniili Heaven, byli zgodni, że to, co jej się przytrafiło, było zupełnie nieprawdopodobne i nad wyraz niesmaczne, by użyć kulinarnego zwrotu, w których lubowała się Heaven, a które zdradzały jej pasję do przyrządzania potraw oraz wielką miłość do wykwintnej kuchni.

Była to zresztą jedyna rzecz, która uważnemu obserwatorowi zdradzałaaby zamiłowanie Heaven do dobrego jedzenia. Nie wskazywała na to bynajmniej jej pozazdrosczenia godna figura, o wiele bardziej smukła i wysportowana niż obfitsza tu i ówdzie sylwetka jej przyjaciółki. Inaczej mówiąc, podczas gdy Heaven była niczym sylfida, leśna nimfa, zwiewna i delikat-

11

na, Janet przypominała raczej uroczonego, pulchnego aniołka.

Tak zresztą było zawsze, jeszcze w szkole, do której chodziły wspólnie i w której narodziła się ich przyjaźń. To właśnie Janet dowiedziała się pierwsza, że największym marzeniem Heaven jest stać się ekspertem i znawcą w dziedzinie gotowania, nie tylko zwykłym smakoszem, ale też szefem kuchni i autorem wymyślnych receptur, które miały przynieść jej sławę.

Gdy parę miesięcy temu Janet przypomniła przyjaciółce te dziecięce marzenia, Heaven uśmiechnęła się gorzko.

- Cóż, prawie się spełniły, no nie? Pisafo mnie we wszystkich gazetach. A że jestem sławna z innego powodu i zamiast podziwu budzę lekceważenie i pogardę... Powiem ci, że i to bym przeboleła. Najgorsze, że z taką opinią chyba już nigdzie nie znajdę żadnej pracy!

Powiedziała to i jej piękne chabrowe oczy wypełniły się łzami. Zaraz jednak otarła je dłonią i uśmiechnęła się do przyjaciółki. Ostatnią rzeczą, którą można było powiedzieć o Heaven, było bowiem to, że roz-tkliwia się nad sobą. Zawsze starała się być pogodna i optymistycznie patrzeć w przyszłość. Ufała ludziom i przeznaczeniu, jednak nawet i ona miała prawo się załamać po tym, co jej się przydarzyło.

Mówiąc najkrócej, z powodu niejakiego Harolda Lewisa jej dobrze zapowiadająca się kariera legła w gruzach, życie prywatne zostało szczegółowo (co nie znaczy, że rzetelnie) opisane przez żadne towarzy-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

skich sensacji media, najgorsze zaś w tym wszystkim było to, że niezależnie od tego, jak bardzo Heaven broniła swojej niewinności, zawsze znajdowali się tacy, którzy kwestionowali jej słowa.

- Kto mnie teraz zatrudni? Kto zechce takiego kucharza? - Te i podobne pytania Janet słyszała przez ostatnie kilkanaście miesięcy niemal codziennie. - Nawet jeśli moje nazwisko komuś nic nie powie, to i tak, prędzej czy później, rozpozna moją twarz. Wątpię, czy jest choćby jedna osoba w Londynie, która nie słyszałaby o tej słynnej kucharce, co to postanowiła poderwać Harolda Lewisa i rozbić podstępnie jego szczęśliwe małżeństwo.

A jednak nie poddawała się. Pracowicie redagowała kolejne ogłoszenia o pracę i rozsyłała je do londyńskich i nie tylko londyńskich gazet. Czekała zaś na ofertę, która umożliwi jej realizację własnych marzeń i pozwoli należycie wykorzystać niepospolite kulinarne umiejętności, zajmowała się wypiekaniem ciast i przyrządzaniem puddingów na zamówienie.

Przez cały ten czas mieszkała w ślicznym domu w londyńskiej dzielnicy Chelsea, który jej ojciec odziedziczył po stryjecznej babce, a ta z kolei po swoich rodzicach. Mury te pamiętały ładny kawał rodzinnej historii, zbyt dużo by tak po prostu je sprzedać. Kiedy więc rodzice Heaven po przejściu na emeryturę przenieśli się do wiejskiej posiadłości w Shropshire, ojciec zaproponował, by to ona zamieszkała w starym, okazałym budynku i opiekowała się nim do czasu, gdy dojdzie jakoś do ładu z własnym życiem.

13

Teraz właśnie siedziały obie w kuchni tego domu, a Janet usiłowała swym starym zwyczajem skłonić przyjaciółkę do ponownego rozważenia szalonego pomysłu.

- Naprawdę wiesz, co robisz? - pytała. - To jednak spore ryzyko. Pamiętaj, że rozkręcasz właśnie interes. Mały, bo mały, ale własny i całkiem przyjemny. Czy więc...

- Sprzedawanie puddingów poprzez ogłoszenia i obsługa wiejskich jarmarków! - Heaven przerwała jej lekceważąco. - To właśnie jest ten mój przyjemny interes. Janet, ja potrafię z zamkniętymi oczami przyrządzić prawdziwe cuda! *Cordon bleu* to dla mnie kaszka z mlekiem! Robienie domowych puddingów naprawdę nie jest szczytem moich marzeń.

- Takie jest życie - nieśmiało zaoponowała Janet.

- Nie, to nie jest życie - poprawiła ją Heaven. - To zaledwie wegetacja. Gdyby nie to, że tata dał mi ten dom...

- Myślałaś o jakiejś pracy za granicą, gdzie...

- Nikt mnie nie zna? - Heaven dokończyła za przyjaciółkę. - Pewnie, że mogłabym to zrobić, ale nic z tego. Nie wygonią mnie stąd tak łatwo! Ja chcę pracować właśnie tutaj, Janet. Tu, w Londynie. Tu jest mój dom... miejsce, gdzie powinnam pracować... i gdzie mogłabym pracować gdyby nie ten szczur, nie ten potwór, nie ta ropucha! - Była tak wściekła, że łzy napłynęły jej do oczu, szybko jednak otarła je z powiek. - Właśnie zaczynałam wyrabiać sobie nazwisko, właśnie zaczęto o mnie mówić, Chwalić moje doko-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

nania... I czuję, że naprawdę by się udało, gdyby nie pojawił się ten padalec. Zniszczył wszystko, nad czym pracowałam, a teraz...

Heaven przerwała, odstawiła dzieżę i posłała Janet smutne spojrzenie.

- Przepraszam, że jestem w takim płaczliwym nastroju, ale wiesz...

- Oczywiście, że wiem. - Janet pokiwała głową, pełna współczucia. -

Chciałabym, żeby Lloyd zarabiał na tyle dużo, by móc cię zatrudnić.

Ostatnio ciągle narzeka, że to gotowanie w mikrofalówce wychodzi mu bokiem. Pewnie to taka wymówka - uśmiechnęła się - żeby zabrać mnie

ze sobą na święta do rodziców. Zresztą to i tak nie ma znaczenia, bo

świetnie się czuję w towarzystwie, jego rodziny. A ty? - Spojrzała z troską

na przyjaciółkę. - Masz jakieś plany? Boże Narodzenie już za tydzień...

Heaven pokręciła głową.

v Mama i tato zaproponowali, że zapłacą za mój przelot do Adelaide.

Zaprosił ich Hugh. Zamierzają z nim spędzić gwiazdkę i cały styczeń.

Hugh był bratem Heaven, który mieszkał w Australii wraz z żoną i dziećmi.

- I co, nie lecisz? Nie przesadzaj, Heaven, z tą swoją rozpaczą. Czemu się z nimi nie wybierzesz? Kto wie? Może tam spodoba ci się bardziej niż tu?

- Zaokrętować się na rejs do Australii i wylądować tam jako czarna owca w rodzinie? Nie... nie tego mi trzeba, Jan, i ty dobrze o tym wiesz.

Gdybym teraz wyjechała, to wszyscy pomyśleliby, że uciekam, bo je-

15

stem winna, że wynoszę się z powodu tych wszystkich rzeczy, o które oskarżył mnie Harold...

- Ja nie.

- Ale cały Londyn - tak! A ja nie miałam z nim żadnego romansu! Nawet gdyby nie był tak odpychający, to i tak nie poleciałabym na faceta... który ma inną, który jest żonaty! To nie w moim stylu, Jan...

- Wiem.

- Wiesz, wiesz... Ale i tak pewnie myślisz, że trochę w tym wszystkim także i mojej winy.

Janet pokręciła głową z uśmiechem. Od początku miała własną opinię na temat Harolda Lewisa, zgodnie z którą nazywanie go padalcem było zaledwie subtelnym eufemizmem.

- To ty tak myślisz, Heaven, nie ja.

- Może... W każdym razie powinnam była się domyślić, co jest grane, już podczas rozmowy kwalifikacyjnej, kiedy powiedział, że chwilowo nie ma pieniędzy, by zwrócić mi koszty podróży. Tylko że ja byłam wtedy głupia i naiwna, a ta praca zapowiadała się świetnie. Luksusowe zakwaterowanie, letnie wyjazdy z jego rodziną do Prowansji... Poza tym miałam gotować nie tylko dla niego, żony i dwóch córek, ale też obsługiwać ich prywatne przyjęcia i uroczystości oraz biznesowe lunche i kolacje z jego klientami. Wyobrażasz sobie, co sobie wtedy pomyślałam?

- Wyobrażam sobie, jak musisz czuć się teraz.

- Ech, daj spokój, wcale nie chciałam być melo-dramatyczna. Po prostu czuję się pokrzywdzona. Ten facet z rozmysłem mnie wykorzystał, potraktował in-

GWIAZDKA MŁOŚCI

strumentalnie, nałgał na mój temat swojej żonie. Powiedział jej, że mieliśmy romans, więc biedaczka dała mu rozwód i musiała od niego odejść. Z tego co wiem, sobie zatrzymał dom, a jej zapewnił zaledwie znośne warunki. Właściwie to jej powinnam żałować, a nie siebie.

- Widziałaś się z nią od tamtej pory?

- Chyba żartujesz. Po tym jak publicznie zostałam wyrzucona z pracy, a moje nazwisko zaczęły wałkować wszystkie gazety, zwłaszcza w łóżkowych kontekstach? - Śliczne usta Heaven wykrzywił grymas.

-Przecież nie chciałyby nawet widzieć mnie na oczy.

- A potem?

- Potem? No... owszem, próbowała coś tam naprawiać. Przepraszała, mówiła, że wie, iż zostałam w to wszystko wplątana, zapewniała, że dopiero po jakimś czasie pojęła, jak chytrego podstęp użyto, by uwie-
rzyła w ten nasz wymyślony romans.

Ciekawe, czy sama się domyśliła, czy ktoś ją oświecił.

- Nie wiadomo. Najwidoczniej ten bęcwał robił już jakieś aluzje na „nasz” temat, zanim jeszcze zaczęłam u nich pracować. Nastawał aby mnie zatrudnić, nie pytając żony o zdanie; rozmyślnie podsycił jej podejrzenia. Nietypowe jak na kulturalnego pana z wielką kasą, co?

- Zdarza się, że im bogatszy facet, tym większa z niego miernota - odparła Janet sentencjonalnie.

- Tak właśnie jest w tym przypadku. Nic dziwnego, że ta jego Louisa odeszła szybko od swego mę-

zulka. W trakcie naszej rozmowy wyczułam, że mamy podobne zdanie na ten temat. Wyczułam też, że głupio jej z powodu tego, co napisano o mnie w gazetach. Podobno wciąż próbuje przekonać swoich przyjaciół, że Harold wymyślił całą tę historię i że moja rola w rozbiciu ich małżeństwa jest żadna.

- I co?

- I nic. Zdaje się, że jak dotąd nikt jej nie uwierzył.

Oczy Heaven znów zwilgotniały od łez. Jej przyjaciółka jeszcze o tym nie wiedziała, ale w całej tej beznadziejnie głupiej i żalosalnej historii nie chodziło jedynie o utraconą pracę. Było jeszcze coś, a właściwie ktoś, kogo nie mogła odżałować, a kto znalazł się poza zasięgiem jej marzeń, gdy tylko wybuchł skandal z domniemanym romanssem...

Gdyby nie on, musiałyby jednak przyznać rację przyjaciółce, która twierdziła, że jej obecne zajęcie jest całkiem przyjemne. Sama zresztą była zdziwiona tym, jak wiele zamówień przyniosło skromne ogłoszenie, zamieszczone w codziennej gazecie: „Pani Tiggywin-kle piecze tradycyjne puddingi i dostarcza je pod wskazany adres”. Cóż, widziała się w innej roli niż rumiana pani Tiggywinkle; marzyła o czymś więcej niż pieczenie puddingów; bywało, że miała szczerze dosyć ich zapachu i smaku. Ale skoro nie ma się tego, co się lubi... Najważniejsze, że owe puddingi smakowały jej klientom i że mogła nimi zarobić na utrzymanie. Tak, gdyby chodziło tylko o utraconą pracę, Janet nie musiałyby jej co rusz pocieszać. Na pewno szybciej otrząsnęłyby się z szoku. Jednak nawet najlepsza przy-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

jaciółka nie domyślała się tego wszystkiego, co zrodziło się w sercu Heaven, gdy pewnego dnia, na kilka dni przed wybuchem skandalu, brat Louisy napomknął, iż dostał właśnie dwa bilety do jednego z ostatnio otwartych teatrów i chętnie by je wykorzystał, gdyby zgodziła się pójść z nim.

To jedno zdanie, nieznaczny uśmiech, a potem wszystko to, co przeżyła w ciągu wspólnie spędzonego wieczora, stało się podstawą jej fantazji, marzeń, niepewnych planów. Krótko mówiąc, życie Heaven nabrało nagle sensu, bo pojawił się w nim on.

Brat Louisy nazywał się Jon Huntington i był wziętym doradcą finansowym. Wysoki, ciemnowłosy, zabójczo przystojny, zwrócił uwagę Heaven już przy pierwszym spotkaniu, kiedy to Louisa przedstawiła ich sobie w kilka dni po przeprowadzce tej pierwszej do nowego domu i objęciu przez nią nowej posady. I nic dziwnego.- kawaler mimo trzydziestki na karku, pociągający i urodziwy aż do nieprzyzwoitości, a na dodatek obdarzony wdziękiem i poczuciem humoru, które objawiało się szczególnie wtedy, gdy dobrodusznie przekomarzał się z siostrzenicami, musiał spodobać się każdej dziewczynie.

Propozycja randki wprawiła ją w euforię, ale też stała się okazją do męczących sesji przed lustrem, w trakcie których krytycznie oceniała swą urodę i garderobę. Heaven szybko jednak podjęła stosowne decyzje i udało jej się wyłudzić przed terminem urodzinowy czek od ojca, dzięki któremu mogła kupić godną tej okazji kreację. Gdy zaś później dojrzała błysk uz-

19

nania w oku Jona, wiozącego ją limuzyną do teatru, nie miała wątpliwości, że suknia warta była wydanych pieniędzy.

Po spektaklu zabrał ją na kolację do małej francuskiej restauracji. Nie słyszała o tym lokalu nigdy wcześniej, lecz gdy tylko skosztowała wyśmienitej zupy cebulowej, zrozumiała, że Jon jest nie tylko eleganckim supermanem, ale też smakoszem i znawcą kuchni, podobnie jak ona. Nie trzeba dodawać, że to pokrewieństwo upodobań wprawiło ją w jeszcze większą ekscytację.

Po kolacji odwiózł ją do domu, zatrzymał auto na podjeździe i wyłączył światła swego srebrzystego jaguara. Heaven czekała na ten moment od początku, myślała o nim już wtedy, gdy Jon napomknął mimochodem o biletach i wspólnej wyprawie do teatru. Kiedy zaś wreszcie moment ów nadszedł, czuła jedynie ucisk w żołądku i gwałtowne pulsowanie serca, które zdawało się podchodzić pod gardło.

Nie rozumiała tych odczuć. Przecież wcześniej także wypuszczała się do miasta w towarzystwie rozmaitych mężczyzn. Nigdy jednak nie zetknęła się z kimś pokroju Jona, z kimś kto był niczym bohater z dziewczęcych snów. Jon Huntington usidlił ją błyskawicznie i całkowicie. Choć jeszcze nic się nie stało, Heaven już należała do niego, ostatecznie i nieodwołalnie. Instykt mówił jej z niezachwianą pewnością, że to właśnie ten mężczyzna, na którego czekała, jedyny, wyjątkowy, jej przeznaczony i jej zesłany...

I właśnie wtedy ją pocałował.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Krótko i powściągliwie, nie budząc w niej ani oporu, ani lęku...

Mój Boże, pierwszy taki pocałunek w jej życiu!

Popatrzył w nieprzytomne oczy Heaven, a potem pocałował ją jeszcze raz. Tym razem oddała pocałunek, całkowicie niezdolna do dalszego ukrywania swych gorących uczuć.

- Nie... nie przywykłam do czegoś takiego - poskarżyła się drżącym głosem, kiedy w końcu wypuścił ją z objęć.

- A myślisz, że dla mnie to codzienność? - zapytał i znów przygarnął ją do siebie. - Boże... jak ty cudownie pachniesz... cynamonem i miodem, wanilią i truskawkami... A smakujesz jak najwspanialsze danie pod słońcem! Mmm... Mógłbym cię zjeść... całą. nawet najmniejszą kosteczkę.

Nie zrealizował swojej obietnicy, za to pocałował Heaven po raz trzeci - mocno, powoli, z zamkniętymi oczami, jak smakosz, który kosztuje wybornej potrawy i umie docenić jej smak, jak ktoś, kto zatapia usta w słodkim soczystym miąższu świeżego owocu.

Choć jednak Heaven gotowa była pozwolić mu na wiele, nie zdarzyło się już nic więcej. Jon nie próbował posunąć się dalej i nie przekroczył granicy, za którą z zakochanych przemieniliby się w kochanków.

Trochę tego żałowała, ale w gruncie rzeczy była zadowolona. Owszem, Jon bardzo ją pociągał, cieszyła się jednak, że umiał być cierpliwy, że nie starał się połknąć całego dania na raz. Inaczej mówiąc, zachował się dokładnie tak, jak wyobrażała sobie, że po-

winien się zachować na pierwszej randce mężczyzna z klasą.

- Jutro muszę wyjechać - wyszeptał jej do ucha, a potem przesunął wierzchem dłoni po jej policzku i pocałował lekko na pożegnanie. -

Wiesz, te cholerne interesy... Ale kiedy wrócę, będę do twojej wyłącznej dyspozycji. Spotkamy się? Znasz numer...

Ale oczywiście nie spotkali się już ani razu. Kilka dni później rozpętała się burza, Heaven została zmieszana z błotem, oskarżona przez Louise o romans z jej mężem i obarczona odpowiedzialnością za rozpad szczęśliwego związku. Harold przyznał się do wymyślonej zdrady, zaś urażona małżonka, głucha na wszelkie tłumaczenia, odeszła od męża, zabierając ze sobą dwójkę dzieci.

Czy Heaven mogła po tym wszystkim odezwać się do Jona, zaproponować kolejne spotkanie? Był przecież bratem Louisy, a Louisa... Ech, stare dzieje. Było minęło. W każdym razie nie wiedziała, kiedy Jon wrócił z zagranicy, i nie była specjalnie zdziwiona, że nie nawiązał z nią kontaktu. Kiedy zaś później spotkała przypadkiem jego siostrę, ta była tak zajęta wyjaśnianiem i przeproszaniem, że Heaven trudno było tak po prostu zapytać: „A co u Jona?”.

Inna sprawa, że podświadomie zaczęła myśleć wyłącznie o tym, w jaki sposób pomścić swoje krzywdy. Jej serce, jakby broniąc się przed bólem utraty złudzeń, wyrzuciło miłość, a wypełniło się nienawiścią. Heaven dobrze wiedziała, że Harold ukartował to wszystko i że

GWIAZDKA MIŁOŚCI

dla swoich niejasnych celów wykorzystał ją i zszargał jej reputację.

Wiedziała też, że kiedyś będzie musiał jej za to wszystko zapłacić.

I oto teraz nadarzała się ku temu znakomita okazja. Teraz to on straci dobre imię, szacunek do samego siebie i pozycję towarzyską; doświadczy tego samego, co stało się jej udziałem.

- Będzie niezły pudding - wymamrotała do siebie pod nosem.

- Słucham? - Janet spojrzała na nią podejrzliwie.

- Będzie niezły pudding - powtórzyła Heaven. - Teraz to ja rozdaję karty.

Wtedy uszło mu wszystko płazem, a ja zostałam nie tylko bez pracy, ale moja opinia... Zresztą, mówiłam chyba ze sto razy, że nikt przy zdrowych zmysłach nie zdecyduje się zatrudnić intrygantki, która bardziej niż przygotowywaniem kolacji interesuje się podrywaniem żonatych mężczyzn. Ale teraz przyszła kolej na mój ruch, szczęście uśmiechnięło się do mnie i wyszykuję mu naprawdę niezły pasztet. O rany, to aż za piękne, żeby mogło być prawdziwe!

- Hm... Może jednak powiesz mi konkretnie, co planujesz.

- Jasne. Pozwól mi tylko zapakować najpierw te puddingi. Mam zamówienie na pięćdziesiąt sztuk, do jutra muszą być wysłane.

- Pięćdziesiąt!

- Dokładnie - przyznała Heaven. - A teraz posłuchaj: jak wiesz, moja pani Tiggywinkle nie tylko sprzedaje puddingi, ale też podejmuje się bardziej

skomplikowanych usług, na przykład organizacji przyjęć. Trzy dni temu zadzwoniła do mnie pewna młoda osóbka, przedstawiając się jako Tiffany Simmons. Powiedziała, że koniecznie musi przygotować gwiazdkową kolację dla narzeczonego, który wraca właśnie ze Stanów z paroma ważnymi klientami. Są dla niego na tyle ważni, że postanowił wyprawić przyjęcie, dla nich oraz kilku najbliższych przyjaciół.

Rozumiesz, restauracja jest dla całej reszty, ale was, szanowni panowie, cenię tak bardzo, że otwieram przed wami wrota swego domowego sanktuarium... Typowy chwyt -z klienta zrobić przyjaciela. W każdym razie żadna z agencji nie mogła wybawić biednej Tiffany-,z kłopotu - święta za pasem, pomysł narodził się dosłownie w ostatniej chwili, więc odmówili jej wszyscy po kolei. Ja, oczywiście, nie. - Heaven uśmiechnęła się znacząco.

- Oczywiście - przytaknęła Janet. - Tylko co to wszystko ma wspólnego...

- Poczekaj. Na tym nie koniec jej problemów. Okazało się, że narzeczony nie tylko obarczył ją zorganizowaniem przyjęcia, ale też zostawił na jej głowie prace wykończeniowe w domu, który dla nich wyremontował. Umówiłam się więc z nią na lunch, żeby wszystko obgadać, i wtedy zorientowałam się...

- Że co?

- Zorientowałam się, że wybrańcem tej Tiffany musi być Harold - dokończyła triumfalnie Heaven. -Rozpoznałam na jej palcu stary pierścionek zaręczynowy Louisy. Nie miałam najmniejszych wątpliwości,

GWIAZDKA MIŁOŚCI

że to ten sam, bo widziałam, jak Louisa rzuca go mężowi pod nogi przed odejściem.

- Odejściem? Skąd?

- O rany, Janet, czy ja rozmawiam z dzieckiem? Rzuciła mu go, gdy postanowiła zostawić go i odejść. Zwierzyła mi się później, że nigdy nie lubiła tego pierścionka, bo uważała, że jest zbyt wulgarny. Coś w tym jest. Wielki brylant o pojedynczym szlifie, bardzo połyskliwy i...

- Dał jej pierścionek zaręczynowy swojej byłej żony? - zdumiała się Janet.

- Oszczędny, prawda? Wątpię jednak, czy Louisa o tym wie, a Tiffany jest taka młodziutka i naiwna, że podobna myśl pewnie nawet nie przyjdzie jej do głowy. Żal mi jej. Była przerażona, że czymś zdenerwuje Harolda albo sprawi mu zawód. To zresztą dla niego typowe - zwalić wszystko na cudze barki. Typowa jest również cena, jaką przewidział dla wynajętego kucharza - daleko niewystarczająca, biorąc pod uwagę dania, których sobie zażyczył. Ma wysokie wymagania, to akurat trzeba mu przyznać. Nie wiem, na kim tak bardzo chce wywrzeć korzystne wrażenie, ale muszą to być dla niego bardzo ważni ludzie, skoro przed ich przyjazdem wszystko ma być związane na ostatni guzik.

- Ważniejsi od narzeczonej - wtrąciła cierpko Janet.

- Och, znacznie ważniejsi. Tylko że ona jeszcze tego nie widzi. Ze sposobu, w jaki mi o nim opowiadała, wnoszę, że nie zna go zbyt dobrze. Harold prowadził

25

jakieś luźne interesy z jej ojcem i stąd ta znajomość. W każdym razie kiedy wyklarowała mi, co i jak, zrozumiałam, że jeśli przyjmę tę robotę, będę miała wymarzoną okazję, żeby odegrać się na tym łajdaku za wszystko. Zawsze miał słabość do słodczy... - dodała bez związku, a na jej ustach wykwitł szeroki, chytry uśmiech.

- Heaven... - Janet zawahała się - chyba nie zamierzasz posunąć się za daleko.

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, co dla kogo jest za daleko - padła natychmiastowa, lecz niezadowolająca odpowiedź.

- Chodzi mi o to, czy nie planujesz czegoś... nielegalnego?

- Nielegalnego? - Heaven uniosła brwi. - Oczywiście, że nie - zapewniła gorąco. - Zamierzam tylko zranić dumę Harolda. Zniszczyć go tak samo, jak on zniszczył mnie. Wiem, boisz się, że mogłabym go otruć i skończyć w więzieniu. Może i jestem trochę szalona...

- Trochę!

- .. ale zapewniam cię, że to ostatnia rzecz, na którą mam ochotę.

Heaven zamyśliła się nagle i wbiła wzrok przed siebie. Znów uśmiechnęła się do swoich myśli, co jedynie wzmogło niepokój przyjaciółki.

- Są takie grzybki - zaczęła - które mają właściwości halucynogenne. Mogłabym je...

- Nie! Tego nie wolno ci zrobić!

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Wiem, że nie wolno - zgodziła się Heaven. -A jednak zamierzam udzielić mu lekcji.

- W ten sposób? Zamroczysz go i nawet nie będzie wiedział, co się dzieje.

- Słusznie. Zrobię coś, co bardziej mu wyjdzie na zdrowie.

- O ile wcześniej cię nie rozpozna i nie pośle do diabła.

- Nie ma mowy. Po pierwsze, dla Tiffany jestem panią Tiggywinkle. Po drugie, nie będę podawała do stołu osobiście. Tiffany była tym nawet nieco zażenowana, ale starała się namówić mnie usilnie, bym trzymała się z dala od gości. Widać Harold chce, aby pomyśleli, że to jego wspaniała narzeczona wszystko sama przygotowała. Tak więc ona będzie serwować kolejne dania i zbierać pochwały, a ja mam zaszyć się w kuchni. Wierz mi, znam Harolda na tyle dobrze, by mieć pewność, że będzie trzymać się z dala. Kuchnia

miejsce, którego nie zaszczyca swoją obecnością, a poza tym na pewno będzie chciał odwlec moment zapłaty, ja zaś zażądałam gotówki pod koniec wieczoru. Nie, Harold mnie nie zobaczy i nie rozpozna. Przy- najmniej dopóki będą jedli. A zjedzą wszystko co do ostatniego okruszka. Łącznie z puddingiem na deser... - przerwała na chwilę. - Jeśli to prawda, że zemsta jest słodka, to mój plan z pewnością się uda - zachichotała.

- Naprawdę wolałabym, żebyś tego nie robiła. -Janet popatrzyła na przyjaciółkę z zatroskaną miną.

- Zrobię - odparła radośnie Heaven. - Nie masz

nawet pojęcia, jak lekko poczułam się w ciągu ostatnich kilku dni. Pomyśl tylko - wreszcie dopadnie go karząca ręka sprawiedliwości! Zrobię to więc, a potem będę mogła w spokoju cieszyć się Bożym Narodzeniem - powiedziała, po czym otworzyła piec, by wstawić doń kolejną porcję puddingów.

- Naprawdę będziesz się cieszyć Bożym Narodzeniem po czymś takim? Siedząc tu sama? - Janet nie dowierzała. - Mam nadzieję, że zmienisz zdanie i że pójdziesz z nami do rodziców Lloyd'a. Serdecznie cię zapraszają.

- Nie... wolę być sama... Następny rok ma być moim rokiem i muszę się do niego przygotować.

- Widzę, że cię nie przekonam - westchnęła Janet. - O rany, cudownie pachną te puddingi!

- Prawda? - przyznała Heaven, chytrze się uśmiechając.

Rozdział 2

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz puścić mu tego płazem.

Louisa popatrzyła na brata nieszczęśliwym wzrokiem i odłożyła list, który właśnie skończyła czytać. List przysłał radca prawny jej eksmałżonka, a ona natychmiast postanowiła podzielić się nowinami z bratem.

- Nie zamierzam - odparła. - Jeśli Harold nie będzie chciał płacić czesnego, dziewczęta będą musiały zmienić szkołę. Belle i tak już mocno przeżyła nasz rozwód... Tylko że... naprawdę nie mam pojęcia, jak wpłynąć na tego człowieka.

- Mój Boże - westchnął Jon - kiedy pomyślę, jak szybko to się stało...

- Wiem, wiem - Louisa nie pozwoliła mu dokończyć. - Przyznaję, że mogę winić jedynie siebie samą. Gdybym nie odeszła tak szybko, gdybym nie uniosła się honorem i nie naciskała na natychmiastowy rozwód, gdybym pomyślała choć przez chwilę o konsekwencjach, inaczej by wyglądało teraz to wszystko. Zamiast myśleć o jakimś zabezpieczeniu materialnym, myślałam tylko o tym, żeby uciec od tego drania.

- Nie obwiniaj wyłącznie siebie. Wszyscy byliśmy

zaskoczeni jego chciwością. Kto mógł przypuszczać, że zechce pozbawić środków do życia nie tylko ciebie, ale też własne dzieci? Żałuję tylko, że kiedy toczyła się sprawa, byłem akurat za granicą. Gdybym nie był taki zajęty, to może dowiedziałbym się przynajmniej, w jaki sposób zdołał przekonać sąd, by pozbawił cię majątku, do którego miałaś pełne prawo.

- To jasne - odparła ponuro Louisa. - W końcu to ja od niego odeszłam, nie on. To ja się wściekłam, złożyłam pozew, a on tylko patrzył, jak wszystko idzie zgodnie z jego planem i zacierał rączki. Manipulował mną, chciał mnie sprowokować, udawał, że ma romans z Heaven...

- Mówię ci: nie obwiniaj wyłącznie siebie. Zachowałaś się gwałtownie, ale uczciwie.

- Zachowałam się jak idiotka. Przecież mogłam się najpierw zastanowić, w końcu to nie była jego pierwsza kochanka... Och, nie chcę powiedzieć, że oni naprawdę mieli romans. Wiem, że Heaven też padła ofiarą jego machinacji. Może nawet w większym stopniu niż ja. Kiedy pomyślę, co wycierpiała ta biedna dziewczyna...

- Widziałaś się z nią od tamtej pory? - Jon spytał mimochodem, odwracając twarz, by siostra nie mogła odczytać z niej żadnych uczuć.

- Tylko raz. Nie spodziewałam się, że zechce ze mną rozmawiać, ale dosłownie wpadłyśmy na siebie na ulicy i nie miała chyba wyjścia.

Przeprosiłam ją. Powiedziałam, że staram się tłumaczyć wszystkim, iż jest niewinna i padła ofiarą ohydnej manipulacji.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Rzeczywiście. Gazety nie zostawiły na niej suchej nitki.
- Zastanawiam się, czemu potraktował ją tak okrutnie. Może to była zemsta? Może faktycznie odgrywał przed nią jakąś gierkę i dostał kosza?
- Naprawdę tak myślisz?
- Nie wiem. To wyjaśniałoby oczywistą przyjemność, jaką znajduje w jej oczernianiu... - Louisa przerwała, by za chwilę powrócić do głównego wątku ich rozmowy. - Powiedz mi, Jon, co ja mam teraz zrobić? Jeśli zgodzę się na takie obcięcie dochodów, na odmowę pokrywania chesnego, to po prostu nie wiem, co my poczniemy.
- Będę naprawdę szczęśliwy, mogąc łożyć na edukację dziewczynek. W końcu to moje siostrzenice -oświadczył z powagą Jon.
- Tak, wiem. Lecz może pewnego dnia będziesz miał własne dzieci, a twoja żona nie będzie patrzeć przychylnym okiem na to, że troszczysz się o nie tak samo, jak o moje.
- Żadna kobieta, która byłaby w stanie tak pomyśleć, nie zostanie moją żoną - zapewnił siostrę z przekonaniem, a Louisa z wdzięczności chwyciła go w objęcia. - Louiso, daj spokój - uwolnił się z jej uścisków - wróćmy do naszego listu. Harold napisał w nim, że zamierza ograniczyć wydatki na ciebie i dziewczynki, gdyż planuje ponownie się ożenić, a jego wybranka chce mieć własną rodzinę...
- Ma do tego prawo. Istnieje minimum alimentacyjne.

31

- Nie do końca - Jon pokręcił głową. - Jest dla mnie pewne, że wprowadził w błąd skład sędziowski i zataił przed nim faktyczny stan swego majątku. Mam nadzieję, że uda mi się ustalić, w jaki sposób tego dokonał, ale do tego potrzebne mi jest jego zaufanie.

- Sądzisz, że sam ci się przyzna? Nie jest taki głupi.

- W każdym razie usiłuję go przekonać, że ważniejsza niż twoje obecne kłopoty jest dla mnie nasza stara przyjaźń. Na razie nie jest ze mną szczery, wiem o tym, ale chyba zaczyna łapać przynętę. Zaprosił mnie na kolację w przeddzień Bożego Narodzenia. Przysłał mi nawet faks z Nowego Jorku w tej sprawie.

- Spotkanie towarzyskie tuż przed gwiazdką"? -zdziwiła się Louisa.

- No właśnie... Trochę to dziwne, nie? Przyjęcie ma się odbyć w jego nowo wyremontowanej rezydencji w Knightsbridge. Podejrzewam, że bardzo mu na nim zależy i chce ubić w jego trakcie jakiś interes. Harold nie jest bezinteresowny.

- Rezydencja w Knightsbridge... Pewnie ją kupił za pieniądze ze sprzedaży naszego domu.

- Pewnie tak - przytaknął Jon. - Chciał zrobić wrażenie na nowej narzeczonej.

- Biedna dziewczyna. Mam nadzieję, że szybko się zorientuje, z kim naprawdę ma do czynienia.

- Rory powiedział to samo...

Jon zauważył, że siostra zaczerwieniła się, słysząc imię starego przyjaciela rodziny, który podtrzymywał ją na duchu od czasu fiaska jej małżeństwa. Cóż, dla nikogo nie było tajemnicą, że Rory Stevens kocha się

GWIAZDKA MIŁOŚCI

w Louisie, ostatnio zaś Jon coraz częściej miał powody do podejrzeń, że siostra zaczyna odwzajemniać to uczucie.

- Sądzisz, że Harold uwierzy, iż zależy ci na jego przyjaźni, że pochwalasz to, co zrobił? - zapytała szybko, by powrócić do głównego wątku.

- Na to wygląda. Muszę jednak przyznać, że jestem trochę zawiedziony. Miałem nadzieję, że do tej pory uda mi się zebrać jakieś dowody na to, że zataił przed sądem faktyczny stan posiadania i dochodów.

- Przecież wiadomo, że to zrobił!

- Sąd nie ma żadnych podstaw, by to stwierdzić. Dopóki zaś jest jak jest, Harold ma prawo ograniczyć wysokość alimentów do niezbędnego minimum.

Więcej o Haroldzie nie rozmawiali, bo oboje mieli serdecznie dość tego tematu. Kiedy jednak Jon wrócił wreszcie do własnego mieszkania w Fulham - obok zabytkowej posiadłości na szkockim pograniczu oraz okazałego zameczku w Belgii jednej z trzech nieruchomości, które były jego własnością - na powrót zatopił się w niewesołych rozmyślaniach. Sprawa kłopotów finansowych siostry wciąż nie dawała mu spokoju. Harold doprowadzał go do furii, coraz trudniej przychodziło mu ukrywanie prawdziwych odczuć! w jego obecności. Wściekało go, że tak zdeprawowany i pozbawiony wszelkich zasad człowiek wyrządza krzywdę innym, czyniąc to w majestacie prawa. Ten łajdak był wyjątkowo zręczny i przebiegły, Jon wiedział o tym doskonale. Nie był też na tyle naiwny, by wierzyć, że cała ta gra Harolda, który łaskawie podtrzymywał ich

przyjaźń, jest bezinteresowna i płynie z potrzeby serca. Harold miał w niej jakiś cel, zaś Jon przeczuwał, że ten cel jest w niejasny sposób związany z Louisą, że to jeszcze nie koniec jej krzywd - oczywiście, jeśli on, jej brat, się temu wcześniej nie przeciwstawi.

Niech go diabli, jeżeli pozwoli wywinąć się Haroldowi tanim kosztem! Oszukiwał Louise, upokorzył dzieci, wyłgał się z finansowych zobowiązań, doprowadził do sprzedaży ich rodzinnego domu - za dużo zuchwałości jak na jednego drania!

Otwierał właśnie drzwiczki samochodu, gdy nagle przeszył go dreszcz - tuż obok niego przeszła kołyszącym się krokiem piękna, wysoka dziewczyna. Ciemne loki opadały na jej ramiona, o wiele za duży płaszcz chronił szczupłe ciało przed przenikliwym grudniowym wiatrem.

Gdy w końcu się odwróciła i zobaczył jej twarz, jęknął w duchu z rozczarowania. Boże, czy kiedyś mu to przejdzie? Czy przestanie czuć takie podniecenie na widok każdej kobiety, która choć trochę przypomina Heaven?

Heaven...

Cóż za imię, cóż za kobieta... Spodobała mu się od pierwszego wejrzenia, oczarowała go, podbiła jego serce, wyostrzyła zmysły. Instynktownie czuł, że nie wolno jej spłoszyć, przestraszyć, że nie wolno narzucić zbyt ostrego tempa. Kiedy zaś wreszcie zaproponował jej spotkanie, kiedy dotknął jej włosów, posmakował ust, wiedział, że nie było i nie będzie w jego życiu kobiety zdolnej dać mu tyle szczęścia, co Heaven.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Wciąż pamiętał jej lśniąca od pocałunków wargi, szeroko otwarte oczy, rzęsy, które przymykały się z rozkoszy...

Bóg jeden raczy wiedzieć, **gdzie** się teraz podziewa ta dziewczyna, ale jedno jest pewne - z pewnością nie chce mieć do czynienia ani z nim, ani z nikim z jego rodziny. Mógł się **jej kojarzyć** wyłącznie z nieszczęściami i przykrościami. Jego siostra zniszczyła **jej** reputację, jego szwagier publicznie oskarżył **ją** o rozbicie szczęśliwej rodziny, **zaś on sam** nie odezwał się do niej i nie próbował **jej** pomóc.

A przecież próbował. Odwiedził nawet jej rodziców, by dowiedzieć się, co się z nią stało i gdzie może **ją** znaleźć. **Niestety**. Byli uprzejmi, lecz stanowczo oświadczyli, **że** ich córka nie życzy sobie kontaktów z nikim z otoczenia Harolda - i odmówili podania adresu czy telefonu.

Później Jon rozważał jeszcze zatrudnienie prywatnego detektywa, by w ten sposób **ją** odnaleźć, doszedł jednak do wniosku, że byłoby to niewybaczalnym naruszeniem jej prywatności. Nic nie mogło go wszakże powstrzymać przed przypatrywaniem się na ulicach twarzom, które choć trochę były podobne do twarzy Heaven. Tak na wszelki wypadek...

Czy dalej ma takie dobroduszne poczucie humoru, ten szelmowski uśmiech? Miał nadzieję, że tak-. Czy zdołała podźwignąć się po ciosie, który **ją** spotkał? Czy myślała o nim kiedykolwiek? W to akurat wątpił. W ponurym nastroju zatrzasnął drzwi i ruszył w stronę domu. Nie miało sensu mieć za złe losowi,

że kiedy rozpętała się ta ohydna afery, on musiał akurat wyjechać z kraju. Cóż, przypadek, zły los, a może zrządzenie opatrności, która w ten sposób postanowiła zrealizować swój niejasny zamysł. Wiedział, że to nieracjonalne, ale i tak nie przestawał kląć w duchu i złorzeczyć sobie, ludziom oraz całemu światu. Tylko jedna randka...

I o jedna za dużo. Wystarczająco dużo, by myśleć

o reszcie życia jak o nędznej egzystencji w oczekiwaniu na coś, na kogoś, kto i tak nie będzie w stanie sprostać wspomnieniu ideału.

Idąc nadrzecznym bulwarem na spotkanie z Tiffany, Heaven raz po raz spoglądała w zamyśleniu na płynący dostojnie nurt Tamizy. Dzień był ładny, choć chłodny

i rześki. Bładoniebieskie niebo odbijało się w stalowo-szarych wodach rzeki, zaś spoza niewielkich chmur co jakiś czas wyglądało słońce.

Na najbliższe dni zapowiadano silne mrozy, więc Heaven zaczęła się zastanawiać, jak by tu wyglądało życie, gdyby Tamiza któregoś dnia zamarzła. Czytała, że kiedyś lód skuł rzekę tak silnie, że jeździli po niej łyżwiarze, a tłumy podniecone niecodziennym wydarzeniem przechadzały się po twardej jak stal promenadzie, racząc się przekąskami.

Hm, cóż wtedy mogli podawać? Pierożki z wędzorem, smażone rybki, słodkie bułeczki na ciepło, a może jakieś inne wyroby cukiernicze?

Przypomniała sobie dziewiętnastowieczną książkę kucharską, którą dostała od rodziców na dwudzieste pierwsze urodziny, i swoim

GWIAZDKA MIŁOŚCI

zwyczajem natychmiast zaczęła układać w myślach stosowne menu.

Ech, ileż to już rautów, koktajli, uroczystych kolacji i przyjęć urządziła w swojej wyobraźni. Życia by nie starczyło, żeby przygotować je wszystkie. Z pewnością jednak wystarczy jej życia - i odwagi - by przygotować to jedno, którego szczegóły omówić miała właśnie z Tiffany Simmons.

Jak się spodziewała, młodziotka Tiffany nie miała większego doświadczenia w tym zakresie, a co za tym idzie - nie zgłaszała większych zastrzeżeń. Chętnie za to opowiadała o sobie i o Haroldzie, który podobno wprost oszalał na jej punkcie, czego wyrazem miał być ów świeżo wyremontowany dom, do którego szczęśliwi nowożeńcy mieli się wprowadzić tuż po ślubie.

- Rozumie pani, moi rodzice są raczej staroświeccy - wyjaśniała z lekkim westchnieniem. - Nie byliby zachwyceni, gdybym przeprowadziła się jeszcze jako łanna. Tak się o mnie martwią, aż za bardzo. Mama urodziła mnie po czterdziestce. Zaszła w ciążę, kiedy stracili już nadzieję, że stworzą prawdziwą rodzinę...

Heaven słuchała tego wszystkiego cierpliwie, choć na myśl o tym, że owi troskliwi i opiekuńczy rodzice skłonni są uznać, że najlepszym kandydatem na męża dla ich córki jest Harold, miała ochotę zerwać się z miejsca i zmusić dziewczynę, by się opamiętała. Tyle tylko że w ten sposób nic by nie osiągnęła, a straciła za to okazję do pomszczenia swoich krzywd. Tak, bezpieczniej było zająć się omawianiem menu.

- Pudding Figgy? - spytała Tiffany, gdy doszły do deserów. - Cóż to właściwie jest?

- Pudding Figgy - zaczęła tłumaczyć Heaven - to pudding przyrządzony według starej, tradycyjnej receptury. Ma niezwykle bogaty smak.

Mężczyźni wprost go uwielbiają - dodała, widząc niepewność w ślicznych brązowych oczach rozmówcy.

Tiffany natychmiast się rozchmurzyła.

- Ach, doprawdy? W takim razie wszystko w porządku - radośnie przystała na propozycję. - Obawiam się, że nie znam się najlepiej na kuchni i gotowaniu. Dlatego właśnie Harold chciał, żebym znalazła kogoś, kto przygotuje za mnie to przyjęcie. Spadła* mi pani chyba prosto z nieba.

- Och, to tylko moja praca - odparła Heaven, ignorując nieśmiały głos sumienia, który sugerował, że może jednak nie powinna wykorzystywać łatwowierności Bogu ducha winnego dziewczęcia.

- Najwyraźniej ci ludzie - ciągnęła tymczasem Tiffany - których przywozi ze sobą ze Stanów, są jakimiś niezwykle ważnymi biznesmenami. Czy mówiłam już pani, że Harold ma firmę zajmującą się komputerowym oprogramowaniem? Coś mi się zdaje, że ci Amerykanie chcą kupić od niego tę firmę. Bo Harold jest nieprawdopodobnie zaradny - uśmiechnęła się z dumą do Heaven. - Powiem pani w sekrecie, że nawet jeśli ta transakcja dojdzie do skutku, to zatrzyma on nowy program, nad którym właśnie pracuje. Powiedział, że choć nie będzie mógł od razu sprzedawać go w Ameryce, to i tak istnieje

GWIAZDKA MIŁOŚCI

ogromny rynek zbytu na Tajwanie i na Bliskim Wschodzie...

Heaven słuchała potulnie tej paplaniny, kiwała głową, a nawet uśmiechała się z podziwem i niby-zazdrością, gdy Tiffany opowiadała o kolejnych zaletach swego wybrańca. Tak naprawdę jednak szczerze jej współczuła. Cóż, znała dobrze Harolda i wiedziała, że jest mistrzem w robieniu dobrego wrażenia i w grze pozorów. Miała prawo podejrzewać, że owszem, nie tylko skorzysta na interesie z Amerykanami, lecz znów wda się w jakieś machlojki i machinacje, by jak zwykle odnieść kolejny finansowy sukces kosztem innych. Śmierć frajerom, to było chyba jego zawodowe credo.

- Przepraszam, ale będę musiała jeszcze zajrzeć do kuchni, a zostało mi niewiele czasu, skoro już dziś mam zacząć przygotowania do przyjęcia - przerwała w pewnym momencie tę laudację. - Wygląda pani na zadowoloną z menu, które uzgodniłyśmy.

- Tak, jest doskonałe - zapewniła uszczęśliwiona Tiffany. - Szczególnie pudding. Harold uwielbia słodczyce.

- W takim razie... - zaczęła Heaven, nie zdążyła jednak dokończyć, bowiem w pokoju obok rozdzwonił się telefon i Tiffany wyszła, by podnieść słuchawkę.

Rozmowa, której fragmenty dobiegły do salonu, była nerwowa, prowadzona na poły szeptem. Heaven zdołała się jednak zorientować, że dzwoni architekt wnętrz, który wciąż czeka na pieniądze - nie zapłacono ani za projekt, ani za wykonanie, ani nawet za materiały. Żadna niespodzianka, po prostu cały Harold.

- Tak więc podsumujmy... - odezwała się rzeczowo, gdy Tiffany wróciła, lekko zaczerwieniona i speszona. - Lekka zupa z brokułów, coś z ryb, sorbet cytrynowy, aby zmienić smak, a potem *casserole* z mięsa i warzyw. No i pudding Figgy, na deser.

- I przygotuje pani to wszystko tak, bym mogła sama podawać na stół?

- Oczywiście, wszystko będzie gotowe - uspokajała Heaven. - Proszę się nie martwić, nikt się nawet nie domyśli, że to nie pani przygotowała te potrawy.

Tiffany znów spiekła raka.

- Normalnie nie posunęłabym się do takiego oszustwa, ale Harold uważa, że koniecznie trzeba wyrzeć doskonale wrażenie na tych Amerykanach. Nic podobno nie działa na nich tak, jak domowe przyjęcie z domowym jedzeniem.

- Mówiła pani, że będzie osiem osób?

- Tak, osiem. Harold, ja, trzech biznesmenów ze Stanów, księgowy Harolda z żoną i jego przyjaciel, który zajmuje się konsultingiem.

Księgowy, no tak... Heaven była pewna, że to szczęśliwy mąż pewnego skąpego babska o ciętym języku, od którego nie raz się nasłuchiwała cierpkich uwag, gdy Louisa odeszła z dziećmi od Harolda. Ta jędza usiłowała ją pouczać, jak ma gotować! Potem zaś posłużyła za tubę do nagłaśniania wyssanych z palca plotek na temat romansu Harolda z „tą kuchtą”. Była tak antypatyczna, że Heaven nie miała żadnych wyrzutów sumienia, iż także i ją spotka los Harolda.

Poczekajcie, myślała mściwie. Ja wam dam roman-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

se, ja wam dam kuchnię! Po tym, co was spotka, odechce się wam wszystkiego, a wszystkim odechce się was!

Szkoda tylko, że ucierpi na tym Tiffany. Była naiwna, głupiotka, ale za to pełna entuzjazmu i szczerą. Heaven naprawdę polubiła tę dziewczynę. Nic to. Wymyśli jakiś sposób, by Tiffany nawet nie tknęła puddingu Figgy.

Nie, żeby z tym daniem było coś nie tak, Boże uchroni. Pudding był świetny.

Oczywiście, jeśli przyrządzała go bez specjalnych dodatków, które przewidziała na tę szczególną okazję.

Rozdział 3

Heaven wygładziła nerwowo biały nakrochmalony fartuszek i po raz kolejny zerknęła z niepokojem w stronę kuchennych drzwi. Nie denerwowała się pracą, którą miała wykonać, lecz żołądek kurczył się jej ze strachu na każdy odgłos, który mógł zwiastować pojawienie się gościa dfaz Harolda.

Zanim tu przyszła, przekonywała Janet, że jej plan jest bezpieczny, że na pewno uda jej się dokonać aktu zemsty, a potem niepostrzeżenie wymknąć się na zewnątrz; powtarzała, że nie ma żadnej możliwości, by Harold zorientował się, kto przygotował mu taki pasztet (a właściwie pudding).

A jednak zawsze istniało ryzyko. Gdyby Harold mimo wszystko wszedł przypadkiem do kuchni...

Brr, wołała o tym nawet nie myśleć.

- Nie wejdzie - zapewniała Heaven przyjaciółkę. - Harold jest tym typem mężczyzny, który chwali się, że jedyne co potrafi zrobić w kuchni, to otworzyć lodówkę.

- Nie wejdzie - utwierdzała Heaven w tym przekonaniu Tiffany, przeprasząc ją tuż przed rozpoczęciem przyjęcia, że z panem domu prawdopodobnie w ogóle się nie zobaczy, a jedynie otrzyma od mego

za jej pośrednictwem pieniądze. - Ten interes jest dla niego bardzo, ale to bardzo ważny - mówiła. - Prawdę mówiąc, wątpię, czy znajdzie czas nawet dla mnie. Dzwonił wczoraj trzy razy, żeby sprawdzić, jak idą przygotowania. Powtarzał, że to niezwykle istotne, by skłonić Amerykanów do podpisania kontraktu jeszcze przed końcem roku. Chodzi o jakieś tam patenty związane z jego nowym oprogramowaniem... Tiffany nie była milczkiem i w ciągu ostatnich kilku dni Heaven dowiedziała się o jej związku z Haroldem mnóstwo rzeczy; wzbogaciła też swoją wiedzę na temat podejrzanych interesów, jakie prowadził jej były pracodawca. Opinię na jego temat miała wyrobioną od dawna, a jednak słuchając teraz opowieści tej młodej, naiwnej i samotnej dziewczyny, żałowała jej coraz bardziej. Boże, czy ona ma bielmo na oczach, że nie widzi, jakim łajdakiem, bufonem i arogantem jest jej przyszły mąż?

Skrzypnięcie kuchennych drzwi natychmiast wyrwało ją z rozmyślań. Podskoczyła na taborecie i natychmiast zajęła się ozdabianiem tac z jedzeniem, okazało się jednak, że na razie to tylko Tiffany.

- Harold dzwonił właśnie z lotniska - wyrzuciła z siebie zdyszana. - Będą tu za niecałą godzinę. Harold zażyczył sobie, żeby podawać już do stołu, bowiem o ósmej trzydzieści...

- W porządku - uspokoiła ją Heaven. - Wszystko mamy gotowe.

- Tak, ale już ósma - gorączkowała się Tiffany. -Ktoś może pojawić się wcześniej. Bogu dzięki, że wykończono wreszcie wszystkie łazienki i sypialnie...

Heaven posłała jej krzepiący uśmiech, lecz w głębi duszy, aż zagotowała się z uciechy. Ciekawe, co powie Harold, gdy przekona się, że jego wspaniałe łazienki są wykończone tylko częściowo? Owszem, wyglądają na gotowe i są bardzo eleganckie. Zrobiłyby wrażenie na każdym, gdyby nie pewien szczegół - otóż wszystkie te piękne pomieszczenia można jedynie oglądać, bowiem wykonawca, wściekły z powodu odwlekającej się wypłaty wynagrodzenia, nie podłączył do sieci kanalizacyjnej ani wanien, ani umywalek, ani sedesów!

43

- To nie wie pan, że facet spodziewa się gości?
- spytała go Heaven dzień wcześniej, gdy wylewał przed nią swoje żale nad filiżanką kawy i talerzem wybornej zupy.
- Trudno... W razie czego na dole jest wychodek.
- Mężczyzna mrugnął do niej okiem. - Może to go czegoś nauczy. Rany boskie, co za klient! Pierwszy raz mam z takim do czynienia. I ostatni! - zapowiedział twardo, a potem podziękował za zupę i pożegnał się z Heaven.

Hm, może więc teraz powinna ostrzec Tiffany i powiedzieć jej, co się święci?

Nie, nie, odpowiedziała sobie natychmiast. Po co dodawać stresów biednej dziewczynie?

Zresztą po chwili zabrzmiał dzwonek u drzwi i zrobiło się za późno na wahania i dywagacje. Wszystko było gotowe. Przebieg zdarzeń został zaplanowany co do najdrobniejszego szczegółu i teraz pozostawało jedynie wykonać kolejne części planu.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Heaven przełknęła ślinę i spojrzała na grzejące się w piekarniku puddingi. Puddingi Figgy...

Stary przepis, z którego skorzystała, wzbogacony został na tę wyjątkową okazję trzema dodatkowymi składnikami: płynną parafiną, korą szakłaku amerykańskiego oraz szklanką aromatycznej sherry. Ta ostatnia miała zamaskować podejrzany smak naturalnych, lecz niezwykle skutecznych środków przeczyszczających.

Złośliwy uśmiezek wykrzywił jej usta, gdy zaczęła wyobrażać sobie nieodległe, a pewne skutki swojej kulinarnej „inwencji”. Harold i jego goście poczują najpierw niepokojące wiercenie w brzuchu, a potem... Potem będzie się liczyła każda sekunda. Gdy zaś dowiedzą się, że sedesy w eleganckich łazienkach nie są podłączone do kanalizacji...

Och, naturalnie nie dodała tej parafiny i kory tyle, żeby wystawić ich zdrowie na poważne niebezpieczeństwo. Wystarczająco jednak dużo, by każdy z gości poczuł się mocno zażenowany gwałtowną reakcją swoich kiszek.

Harold będzie oczywiście wściekły i szybko się domyśli, że ta gastryczna katastrofa jest dziełem perfidnej kucharki. Ale wtedy ona będzie już daleko. Owszem, znała go i wiedziała, że zrobi wszystko, by odszukać sprawczynię jego kompromitacji, lecz przecież szukał będzie pani Tiggywinkle!

O tak, jej zemsta będzie doskonała! Sporo wydała na zakup produktów potrzebnych do zorganizowania tej kolacji i wiedziała, że wydatek ten nigdy się jej

nie zwróci. Warto było jednak odżałować trochę grosza, aby Harold na własnej skórze się przekonał, co to znaczy publiczne upokorzenie.

Całe szczęście, że puddingu nie skosztuje Tiffany, która wyznała jej w zaufaniu, iż Harold nie życzy sobie, by przybrała na wadze, a to danie zdaje się być bardzo kaloryczne. Mądra decyzja.

Jon od początku starał się uspokoić Tiffany swym łagodnym uśmiechem.

Gospodyni była tak spięta i przejęta swoją rolą, że przywodziła mu na myśl spłoszoną łanię, niepewną swoich ruchów i szukającą sposobności do ucieczki. Ładną dziewczyną, bardzo wrażliwą, pod wieloma względami bardziej dziecko niż kobieta, pomyślał. Tak bardzo nie pasowała do Harolda, że Jonowi zrobiło jej się żal.

- Jestem pierwszym gościem? - zapytał, gdy odbierała od niego płaszcz.

- Tak. Ale Harold niebawem się zjawi. Concorde z Nowego Jorku opóźnił się trochę z powodu pogody - odparła nerwowo.

- Taak... w Nowym Jorku mieli niezłą śnieżycę. Jeśli wierzyć prognozom, niebawem i nas czeka to samo. Ale może to dobrze. Dawno już nie mieliśmy białego Bożego Narodzenia, co?

Przytaknęła tylko z niepewnym uśmiechem, więc Jon pomyślał, że z pewnością jej będzie rozmawiać o przyjęciu.

- Jak rozumiem, Harold przywozi ze sobą znajomych biznesmenów - zagadnął.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Tak - ożywiła się - ma nadzieję, że kupią jego firmę. Ach... - znów się zaczerwieniła - nie powinnam z nikim rozmawiać o interesach, Harold mi zabronił. Lecz skoro pan jest jego przyjacielem, to chyba nic się nie stało...

- Oczywiście, że nie - Jon uspokoił dziewczynę. - A skoro jestem przyjacielem twego narzeczonego, to nie powinnaś się mną tak bardzo przejmować. Pewnie chciałabyś zajrzeć jeszcze do kuchni. Śmiało, sam się sobą zajmę, zanim przyjdą kolejni goście...

- Och, ja... Dobrze - rozpromieniła się. - Może pan się chociaż czegoś napije?

Tiffany zniknęła za kuchennymi drzwiami, po chwili wróciła ze szklaneczką whisky, a potem zaprowadziła go do salonu. Po drodze Jon zastanawiał się intensywnie, jak to możliwe, by Haroldowi udało się kogokolwiek przekonać, by odkupił od niego interes. Według dokumentów przedstawionych w czasie rozwodu jego firma była poważnie zadłużona i przynosiła niemal same straty. Ciekawe kto i dlaczego ma zamiar kupić upadłe przedsiębiorstwo.

Nie zdążył jednak sformułować żadnej hipotezy, bowiem gdy tylko minął na w pół uchylone drzwi i przekroczył próg salonu, zamarł z wrażenia. W obszernym pomieszczeniu pysznił się wspaniały zestaw antycznych mebli podarowany Louisie w prezencie ślubnym przez rodziców.

W trakcie rozwodu Harold odmówił ich zwrotu, argumentując, że był to prezent dla obojga nowo poślubionych małżonków, a skoro Louisa wyprowadziła się

z domu, zrzekła się tym samym praw do mebli. Później próbowali je jeszcze odzyskać. Zrozpaczona Louisa, nie bacząc na koszty, wynajęła meblowóz i pod nieobecność Harolda pojechała do domu upomnieć się o swoją własność. Były mąż zmienił oczywiście zamki, lecz tak długo łomotała do drzwi, aż zlitował się nad nią dozorca i pozwolił jej wejść do środka. Niestety, nie zastała już tam żadnego z drogocennych sprzętów, a jedynie tandetne krzesła i prosty stół z lat pięćdziesiątych.

Cóż, Harold zawsze był zaradny i zapobiegliwy.

- Piękne meble - powiedział Jon i uśmiechnął się kwaśno.

Tiffany poczuła się nieco zbita z tropu, zaraz jednak ponownie zabrzmiał dzwonek przy drzwiach i pobięła, żeby przywitać kolejnych gości.

Jon od razu rozpoznał basowy głos księgowego Harolda oraz piskliwy szczebiot jego żony. Nigdy nie darzył ich specjalną sympatią, choć starał się ukrywać przed nimi swe uczucia.

- Harolda jeszcze nie ma? - spytał Jeremy Parton. Stał przed imitacją jodłowej belki, wieńczącej imitację kominka w stylu Regencji, i zatarł zmarznięte dłonie.

- Nie, ale wkrótce powinien się pojawić - odparła uprzejmie Tiffany. -

Przynajmniej mam taką nadzieję... Prosił, żeby kolacja była gotowa na ósmą trzydzieści.

- A kto się zajmuje kolacją? - przerwała jej obcesowo Freda, właścicielka piskliwego głosu. - Pewnie

GWIAZDKA MIŁOŚCI

jakaś wynajęta specjalistka - zaakcentowała kpiąco ostatnie słowo. - Niektóre z tych firm liczą sobie horrendalne sumy, a jedzenie, które serwują... No, cóż...

- Tak czy inaczej - wtrącił Jeremy - w kuchni na pewno siedzi sobie jakaś apetyczna kobietka, na której sam widok cieknie człowiekowi ślinka.

Typowa uwaga, całkiem w stylu Jeremy'ego, pomyślał Jon. Co takiego jest w tym facecie, że co się odezwie, to chciałoby się go sprać po pysku?

- Jeremy, pohamuj się - zdyscyplinowała męża Freda.

- Dajże spokój! To żadna tajemnica, że Harold ma apetyt na kobiety.

Zresztą, któż by go za to winił! Sam nie miałbym nic przeciwko temu, żeby popробować trochę z jego talerza.

- Jeremy! - tym razem ton Fredy był lodowaty. Przeniosła wzrok z męża na Tiffany, która zażenowana całą tą sytuacją, nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować, i wyjaśniła z nienaturalnym uśmiechem: - Kochanie, Jeremy po prostu sobie dworuje. Chodziło mu zapewne o tę młodą kobietę, która rozbiła pierwsze małżeństwo naszego Harolda. Wstrętna dziewczucha! Musiała użyć jakiegoś podstępu, inaczej Harold nie wdałby się w żaden romans...

- On... Harold... nigdy mi o tym nie wspominał - wyjąkała Tiffany.

- Oczywiście, że nie - Freda Parton po raz kolejny spiorunowała wzrokiem małżonka - wcale się temu nie dziwię. Po prostu nie ma o czym wspominać, bo to zwykła drobnostka. Harold nie ma sobie nic do zarzu-

cenia, więc to zupełnie naturalne, że chciałby o wszystkim jak najszybciej zapomnieć. Nawiasem mówiąc, gdyby Louisa, jego była żona, zachowała zdrowy rozsądek, gdyby zauważyła wcześniej, co się święci... A właśnie - przeniosła wzrok na Jona - jak tam się miewa twoja siostra? - zapytała z sarkazmem.

- Świetnie - Jon zdobył się na uśmiech. - Spędzi święta u naszych rodziców, wraz z dziećmi. - Spojrzał na Tiffany, która coraz bardziej zdezorientowana słuchała tej wymiany zdań, i dopowiedział na jej użytek: - Poprzednia żona Harolda, Louisa, jest moją siostrą.

Tiffany zarumieniła się i znów zaczęła tłumaczyć łamiącym się głosem: " - Och, przepraszam... ja... ja nic nie wiedziałam. Nie wiedziałam, że pan i Harold... byliście właściwie rodziną.

- No właśnie - Jeremy postanowił przejąć inicjatywę. - Niektórym może się wydać dziwne, że nadal utrzymujesz z Haroldem tak bliskie stosunki. W końcu rozwód z Louisą odbył się w dość burzliwej atmosferze i z tego, co wiem, raczej nie zostali przyjaciółmi.

- Jestem po prostu człowiekiem interesu. - Jon niedbale wzruszył ramionami. - Nie pozwalam, żeby powodowały mną emocje i odbierały mi jasność spojrzenia. Harold doprowadził do kilku bardzo udanych transakcji i...

- I masz nadzieję, że będzie ich więcej? Jeśli tak, to masz szczęście. Podejrzewam, że Harold zaprosił cię na dzisiejszy wieczór, aby mieć pewność, że jego najnowsza transakcja została dopięta na ostatni guzik.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Jeremy uśmiechnął się chytrze, a na widok tego pełnego zadowolenia uśmiešku Jonowi znów zjeżyły się włosy na karku.

- No cóż, jeśli poprosi mnie o radę w tej sprawie, z przyjemnością mu pomogę. Domyślam się zresztą, co zamierza - sprzedać firmę w całości, prawda?

- Z całym dobrodziejstwem inwentarza - przytaknął Jeremy. - Ano właśnie - przerwał, widząc za oknem światła nadjeżdżającej taksówki - zdaje się, że o wilku mowa...

- Tak, to Harold i jego goście - Tiffany westchnęła z ulgą. - Niech państwo zaczekają w salonie. Pójdę ich wpuścić.

Dokładnie dwadzieścia minut po ósmej Heaven usłyszała Harolda przez grube kuchenne drzwi i natychmiast ścierpła jej skóra na sam dźwięk jego głosu. Wcześniej jednak skóra jej ścierpła z zupełnie innego powodu - nie w odruchu niechęci i strachu przed jak zwykle głośnym i pewnym siebie byłym pracodawcą, lecz z zaskoczenia wywołanego ciepłą, znajomą barwą głosu mężczyzny, którego nie spodziewała się więcej spotkać w swoim życiu.

Czyżby to był Jon?

Krew od razu zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach.

Ale nie, na pewno nie, musiała się przesłyszeć. Niemożliwe, żeby ten głos, tak podobny do tamtego, należał do Jona. W końcu Jon jest bratem Louisy; mało prawdopodobne, by utrzymywał przyjacielskie stosunki z kimś, kto tak okrutnie potraktował jego siostrę.

51

Ostatecznie zdołała sobie wmówić, że to jedynie gra wyobraźni. Może ostatnio za dużo myślała o czymś, co mogłoby się zdarzyć, ale nie zdarzyło się i nigdy nie zdarzy?

Przestań śnić na jawie, upomniała się surowo. Nie pamiętasz, po co tu przysłaś? Cel numer jeden to zemsta na Haroldzie!

- Wszyscy zachwycali się twoją zupą! - Tiffany wpadła rozpromieniona do kuchni i Heaven natychmiast wróciła do rzeczywistości.

- Świetnie. Z ryby będą jeszcze bardziej zadowoleni - odparła.

- Freda Parton nie przestaje się dopytywać, kto przygotował to wszystko... Nałgałam trochę, powiedziałam, że pomagała mi przyjaciółka. W końcu to nie jest nieprawda - uśmiechnęła się do Heaven - chyba w ciągu tych ostatnich dni trochę się zaprzyjaźniłyśmy.

- Tak... - Heaven odwzajemniła uśmiech i szybko odwróciła wzrok. Całą swoją uwagę skupiła na ozdabianiu półmiska, by w ten sposób zagłuszyć wyrzuty sumienia.

Sama była zdumiona, że odnajduje w sobie tyle opiekuńczych uczuć wobec tej biednej dziewczyny. Jak to w ogóle możliwe, żeby istota tak krucha i delikatna, jak Tiffany mogła związać się z Haroldem? A Louisa? Przecież Louisa też musiała kiedyś go kochać. Widocznie ten łajdak opanował do perfekcji umiejętność stwarzania pozorów. Nawet ona, Heaven, poznała się na nim dopiero wówczas, gdy było za późno, by odwrócić bieg spraw.

Ech, chyba tylko Jon nigdy go nie polubił. Harold był wprawdzie jego szwagrem, lecz Heaven wyczuwała, że Jon jest podejrzliwy i nie darzy męża siostry szczególną sympatią. Tak, Jon był mądrzejszy od nich wszystkich.

Jon, Jon...

Co ty wyprawiasz, dziewczyno, upomniała się natychmiast. Zamiast skoncentrować się na tym, co teraz najważniejsze, śniesz o mężczyźnie, który na zawsze odszedł do historii!

Dobrze... Zupę zjedli, ryba podana. Został tylko sorbet i główne danie, a potem zaserwuje im wreszcie swój pudding.

Z rozmowy między Haroldem a Amerykanami Jon starał się nie uronić ani słowa. Pozornie nie było powodu, żeby podejrzewać ze strony szwagra jakiś podstęp. Harold otwarcie mówił o zaletach, ale i wadach swej firmy, chwalił swoje oprogramowanie, lecz nie ukrywał sukcesów konkurencji.

Jon znał go jednak na tyle, by wiedzieć, że jeśli tylko można kogoś wykorzystać, to Harold zrobi to bez skrupułów, nie patrząc na uczciwość, zasady, czy nawet prawo. Jon zaś tylko czekał na okazję, by go na tym przyłapać, udowodnić mu przy okazji sądowe hołota i doprowadzić wreszcie do zadośćuczynienia krzywd wyrządzonych Louisie.

Na razie wszystko przebiegało zgodnie z planem Harolda - Amerykanie czuli się wyróżnieni zaproszeniem do domu swego potencjalnego kontrahenta,

chwalili jego narzeczoną za wspaniałe potrawy i zdawali się ufać mu całkowicie.

- Twoja kuchnia jest wyśmienita, Tiffany! - pochwalił jeden z nich, gdy dziewczyna stawiała przed nim aromatyczny pudding.

- Spróbujcie deseru - odezwała się - to dopiero delicje!

- Przyznaj się lepiej, ile porcji już zjadłeś - żartował drugi.

- Ja... ani jednej - zafrapowała się Tiffany. - Dbam o linię.

Chciała postawić kolejny pudding przed Jonem, lecz ten pokręci głową i podziękował. W przeciwieństwie do Harolda, który właśnie domagał się największej porcji, nigdy nie przepadał za słodyczami.

- Nigdy tego nie rozumiałem - odezwał się trzeci z Amerykanów. -

Odmawiać sobie takiej rozkoszy? - Podniósł łyżkę do ust, a potem, zachwycony, rozpoczął kolejną litanię pochwał i komplementów. Gdy zaś Tiffany zaczęła odnosić do kuchni „wyczyszczone” talerze, podniósł się natychmiast i zaoferował jej pomoc.

- Widzę, że chcecie zniknąć gdzieś sobie na zapleczu - zarechotał Harold, po czym żartobliwie pogroził narzeczonej palcem i przypomniał, by podała w jego gabinecie sery, winogrona oraz ciasteczka.

Gdy tylko Heaven ujrzała w drzwiach kuchni Tiffany w towarzystwie postawnego, wysokiego mężczyzny, zeszywniała ze strachu.

Harold!

Nie, nie Harold. Uff...

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Po serach i ciasteczkach będzie musiała czym prędzej stąd czmychnąć, a teraz udawać przed Amerykaninem, który pomógł Tiffany odnieść brudne talerze, że jest gosposią od zmywania i innych prostych prac.

- A cóż to za ślicznotka? - Mężczyzna wyraźnie miał ochotę na nową znajomość.

- Pomagałam pani przygotować kolację - rzuciła prędko Heaven, nim Tiffany zdobyła się na odpowiedź.

- Hej, czy to nie jest czasem ten pudding, który właśnie jedliśmy? - Amerykanin zwrócił uwagę na reszkę potrawy w żaroodpornym naczyniu. - Koniecznie musisz tego spróbować - zwrócił się do Heaven. - Taka piękna dziewczyna powinna jeść same słodkości... żeby była jeszcze słodsza - dodał, po czym podsunął jej kopiastą łyżkę do ust. Heaven odsunęła się o krok. Wszystko, tylko nie to! Za żadne skarby świata nie może zjeść tego puddingu!

- Gdzie się, do cholery, podziewa Tiffany razem z tym serem? - zapytał Harold z wyraźną irytacją. - Jon, bądź kumplem, zobacz, co ona tam porabia, dobrze?

Zabrzmiało to jak rozkaz i Jon musiał zacisnąć szczęki, żeby nie zareagować jak przystało mężczyźnie. Dla dobra Louisy musiał jednak udawać, że między nim a byłym szwagrem wszystko jest w porządku i że nie między nimi żadnego antagonizmu. Nie powiedział więc ani słowa, odstawił krzesło i ruszył posłusznie do kuchni. Dostrzegł jeszcze głupi uśmie-

szek, którym obdarzył go Jeremy Parton, i typową dla niego uwagę:

- Powinieneś zapytać: „co oni tam porabiają?”, Haroldzie. Może Rosenbaum dostanie coś od niej za odniesienie talerzy?

Jon zniknął w korytarzu, by po chwili szarpnąć z wściekłością drzwi od kuchni. Wszedł szybko do środka i... stanął w miejscu jak wryty.

Eddie Rosenbaum rzeczywiście przymilał się do jakiejś kobiety, lecz wcale nie była nią Tiffany. Znad szerokiego ramienia Amerykanina rozszerzonymi ze strachu oczami patrzyła na niego Heaven.

- Jon? Coś się stało? Wszystko w porządku? -świergotała Tiffany. - Czy Harold...?

- Harold przysłał mnie właśnie, żebym sprawdził, co się dzieje z serem i ciasteczkami - odparł Jon ponurym głosem.

Amerykanin natomiast uznał Jona za sprzymierzeńca i pozalił mu się jak mężczyzna mężczyźnie:

- Widzisz, bracie, taka słodka dziewczyna, a nie chce spróbować tego pysznego puddingu. A ja tak bym chciał osłodzić jej życie.

- Nie... nie mogę - wyjąkała Heaven. - Jestem uczulona na orzechy. I migdały...

Strach przed połknięciem „doprawionego” puddingu mieszał się teraz w jej sercu ze strachem przed Jonem. Rozpoznała go natychmiast. Cała krew odpłynęła z jej twarzy i przez chwilę myślała, że zemdleje. Skąd, do licha, wziął się tu Jon? I co ona ma teraz zrobić?

Rozpoznał ją, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Nie ma też wątpliwości, że kiedy zobaczył, z jaką determinacją odmawia skosztowania deseru, od razu nabrał podejrzeń.

Podszedł do nich i przez chwilę sądziła, że zamierza pomóc

Amerykaninowi i wspólnie z nim nakarmić ją nieszczęsnym puddingiem na siłę. Jon jednak wyjął jedynie Rosenbaumowi łyżkę z dłoni i powiedział poważnie:

- Wracaj do salonu, przyjacielu. Harold chce z tobą porozmawiać.

Heaven odetchnęła z ulgą, lecz ulga ta była krótkotrwała. Oto Jon wcale bowiem nie opuścił kuchni wraz z gościem, lecz został i teraz gapił się na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Heaven? - Tiffany bezradnie spojrzała na nową przyjaciółkę. - Czy wy...?

- Sery, Tiffany - przerwał jej Jon. - I ciasteczka. Harold czeka.

Tiffany spojrzała na nich po raz ostatni, po czym wzięła tacę i szybko zniknęła w ślad za Amerykaninem. Zostali sami, tylko ona i on - mężczyzna, który przyprawiał ją o dreszcz emocji, kiedyś z powodu swoich znaczących spojrzeń, wiele mówiących uśmiechów i opiekuńczych gestów, teraz - po prostu ze strachu.

A jednak to był Jon, to jego głos słyszała w korytarzu, to on zawitał w domu swego byłego szwagra, nie licząc się z tym, że ten oszukał jego siostrę. Czyżby

Harold i Jon byli sprzymierzeńcami, prowadzili jakąś wspólną, perfidną grę? Jeśli tak, to lepiej nie myśleć, co będzie, kiedy Jon dowie się, jaki pasztet (a właściwie pudding) przygotowała.

- Powiedz mi, Heaven, o co chodzi z tym puddingiem?

- Jak to, o co chodzi? - Próbowała się roześmiać, ale wyszło to nadzwyczaj żałośnie. - O co może chodzić z puddingiem? Je się go - i tyle...

Boże, dlaczego nie uciekła stąd wcześniej? De jeszcze czasu upłynie, zanim zaczną działać specyfiki, którymi nafaszerowała wykwintny deser? Może zdąży jeszcze jakoś wyłgać się przed Jonem, a gdy ten wróci do salonu, uciec, zniknąć i nie pojawić się tu więcej ani razu?

Cóż, zależy to oczywiście od indywidualnej odporności układu trawiennego każdego z uczestników przyjęcia, ale można zakładać, że jeszcze chwila...

Serce Heaven zaczęło walić jak oszalałe. Jeżeli chce żyć - tak, żyć! - nie może czekać ani sekundy dłużej. Gdyby Harold zdemaskował wcześniej sprawcę swej kompromitacji, marny byłby jej los. Mężczyzna ten, sprowokowany i wściekły, zdolny jest do najgorszych rzeczy. Wystarczy przyjrzeć się jego twarzy... zajrzeć w oczy...

- Ty nie chciałaś go skosztować - chłodno przypomniał Jon.

- Mówiłam już... Mam alergię. Orzechy...

- To coś nowego? Nie byłaś na nie uczulona, kiedy poszłaś ze mną do teatru i na kolację. Doskonale pamiętam, że jadłaś deser z orzechami.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Heaven spojrzała na niego zdziwiona. Zapamiętał taki szczegół? Po co? To przecież ona powinna pamiętać każdy detal. To ona zakochała się w nim wtedy i wiązała z jego osobą wielkie nadzieje.

- Więc... ile zjadłeś tego puddingu? - spytała ostrożnie.

- Wcale - odparł Jon. - Wiesz, że nie przepadam za takimi deserami.

- Pamiętam... - uśmiechnęła się z wyraźną ulgą. - I naprawdę nie zjadłeś ani odrobiny?

- Nic a nic. Pytam cię po raz kolejny: co zrobiłaś z tym puddingiem?

Heaven spuściła głowę. Zrozumiała, że nie wydobędzie się stąd, jeśli nie powie mu prawdy. Trudno, musi zagrać *va banque*, zaskoczyć go swym wyznaniem, skorzystać z jego zaskoczenia i wymknąć się szybko, zanim Jon zorientuje się, co się stało. . - Dodałam kory szakłaka i trochę płynnej parafiny - wyszeptała i nim zdumiony Jon zdołał odzyskać głos, dokończyła: - Powinieneś też wiedzieć, że hydraulicy nie podłączyli instalacji sanitarnych w łazienkach, choć akurat w tym nie ja maczałam palce.

Szarpnęła się, by skoczyć do drzwi, jednak w tym samym momencie usłyszała pukanie i dochodzący z korytarza głos:

- Jon, co ty tam robisz, u licha?!

Od razu rozpoznała Harolda i mróz przeszedł jej po krzyżu. Zaraz potem drzwi otworzyły się gwałtownie i gdy Heaven gotowa była niemal dźgnąć się kuchennym nożem, by nie wzięto jej żywej, Jon zrobił

coś zdumiewającego - popatrzył na nią z nagłym błyskiem zrozumienia, a potem chwycił ją w objęcia i przycisnął wargi do jej ust.

Całował ją powoli, z zapamiętaniem. A właściwie bardzo powoli i z wielkim zapamiętaniem. Heaven topniała w jego ramionach niczym lody polane gorącą czekoladą. Otrzeźwiło ją dopiero dosadne pytanie Harolda, który swoim zwyczajem nie owijał słów w bawełnę:

- A co to za lizanie się po kątach? Kim jest, do cholery, ta dupcia w białym fartuszk?

Heaven zadrżała i instynktownie wtuliła się w Jona, składając głowę w bezpiecznym zagłębieniu jego ramienia, tak żeby Harold nie mógł widzieć jej twarzy.

- To moja narzeczona, Haroldzie - skłamał gładko Jon. - Zadzwoń do niej, żeby mnie odwiozła do domu. Popiłem trochę, nie chcę stracić prawa jazdy.

- Narzeczona? No to pięknie - warknął Harold. - My tu gadamy o interesach, a ty się pieprzysz na stole w mojej kuchni! A ten fartuszek, to niby... - nie dokończył, ścisnął się nagle za brzuch i westchnął cicho: - Boże... co jest?... co za cholera?... - wyjęczał jeszcze, po czym popędził co sił na korytarz.

Ale korytarz wcale nie był pusty. Pusty był salon, za to tutaj rozpętało się nagle istne pandemonium. Wszyscy - głównie jednak mężczyźni - skręcali się z bólu, trzymali za brzuchy i zgodnie narzekali na niezwykle dolegliwości, które dopadły ich niemal jednocześnie. Wszyscy też dopytywali o drogę do toalety.

- Chodź! - rzucił Jon i zaczął kierować Heaven

GWIAZDKA MIŁOŚCI

w stronę tylnego wyjścia. Chciała protestować, lecz przytrzymał jej ramię i powiedział: - Na twoim miejscu zwiewałbym stąd, póki jeszcze można.

- Właśnie zamierzałam to zrobić - odcięła się i szarpnęła ręką. - Ty mi w tym przeszkodziłeś. Gdybyś zechciał puścić moje ramię...

- Tiffany!!! Tiffany, słyszysz!? Daj mi tu szybko, do cholery, tę kucharkę!

- dobiegł ich z holu wściekły wrzask Harolda.

Jon uśmiechnął się kwaśno do dziewczyny.

- Mam ochotę z tobą pogadać, Heaven. Decyduj się, zostajesz tutaj czy wychodzisz ze mną?

- Tiffany!!! - znów wrzasnął Harold, a Jon, nie czekając już na jej decyzję, otworzył tylne drzwi i pociągnął Heaven za sobą.

- Dokąd idziemy? - spytała trwożliwie.

- Do samochodu. Harold nie byłby sobą, gdyby nie zemścił się na tobie w okrutny sposób. Musisz uciekać. - Dobiegł do auta, otworzył drzwi od strony pasażera i wpakował ją do środka. - Amerykanie też chyba nie mieliby ochoty zapomnieć o wszystkim i puścić ci płazem to, co zrobiłaś. Mam nadzieję, że jesteś zarejestrowana jako kucharka i ubezpieczona od oskarżeń o spowodowanie uszczerbku na zdrowiu. W razie czego powiemy, że to był błąd w sztuce...

Przerwał, bowiem światło pod sufitem samochodu bezlitośnie ujawniło wyraz twarzy Heaven, jej przestach, bezradność i całkowite zmieszanie.

- No tak, rozumiem. Nie dbasz o tego rodzaju ubezpieczenia, prawda? -

Westchnął ciężko. - To

głupio, jeśli oczywiście wolno mi wyrazić swoją opinię.

Heaven siedziała w milczeniu i patrzyła tępo, jak Jon uruchamia silnik, włącza światła, rusza podjazdem ku bramie. Pozwalam prowadzić się i wieźć jak dziecko, myślała. Czy miała jednak jakieś inne wyjście? Mogła tylko liczyć na to, że Jon, który odkrył jej sekret, wywiezie ją jak najdalej od tego miejsca i z powodów, których nie знаła, pomoże jej uniknąć zemsty Harolda.

Tylko jaki jest w tym jego interes, zastanawiała się usilnie, gdy wyjeżdżali na ulicę. Przecież Jon pracuje dla Harolda. Jest wobec niego lojalny, cieszy się jego zaufaniem. Gdyby było inaczej, skąd wzięłby się na tym przyjęciu?

Cóż, to oznaczać może jedno: Jon nie jest już tym mężczyzną, za którego kiedyś go uważała. Myślała, że jest szlachetny, że on jeden poznał się na grach i gierkach Harokfe, a tymczasem... A tymczasem dla wspólnych z nim interesów gotów był zdradzić swoją siostrę i samego siebie, własną godność. Harold odezwał się do niego jak pan do sługi, a on nic! To właśnie odkrycie sprawiało, że choć siedziała tuż obok Jona, choć czuła zapach jego wody toaletowej i pamiętała dokładnie pocałunek, którym ją zniewolił i uratował, jej serce było zimne i twarde jak gład.

- Dlaczego mnie pocałowałeś? - zapytała, lecz natychmiast pożałowała swoich słów. Powinna jak najszybciej o tym zapomnieć, a nie prowokować upokarzającą dla niej rozmowę.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- A jak sądzisz? - odpowiedział pytaniem na pytanie.
- Nie mam pojęcia.
- Gdybym tego nie zrobił, Harold mógłby cię rozpoznać.
- Dlaczego mnie przed nim broniłeś? Jesteś w końcu jego kompanem, doradcą, płatnym doradcą, nikim innym niż... - urwała raptownie i zasłoniła dłonią usta.
- No, dalej. Nikim innym niż kto? Człowiekiem pozbawionym honoru? Sprzedajnym pacholkiem? To właśnie miałaś na myśli? Heaven uniosła głowę i spojrzała na niego wyzywająco.
- A czy to nie jest prawda? Harold jest oszustem i łajdakiem. Cwaniakiem, który lubi wpuszczać innych w maliny. Jeśli nawet jest w porządku w świetle prawa, to moralnie znaczy dla mnie mniej niż zero. Dziwię się, że utrzymujesz z nim kontakty po tym, jak oszukał twoją siostrę.
- Skąd masz takie wiadomości?
- Nie kpij sobie - zachnęła się.
- Nie mówię o Louisie i o sobie, ale o oszustwach i wpuszczaniu w manny.
- Tiffany opowiedziała mi wszystko o kontrakcie z Amerykanami. - Heaven wzruszyła ramionami. - Wiem, że Harold chce im sprzedać firmę, nie dając jednocześnie patentu na nowy program, nad którym zaczął pracować. Sprzeda go innym, ci będą zgrzytać zębami, a on zarobi podwójnie.

63

- Co takiego? - Włączyli się właśnie w ruch na głównej trasie i Jon, ku zdziwieniu Heaven, zamiast przyspieszyć, nacisnął gwałtownie na hamulce. - Mogłabyś powtórzyć wszystko jeszcze raz? - poprosił, zdejmując nogę z hamulca. Jaguar z potężnym rykiem silnika znów wystrzelił do przodu niczym strzała.

- Wszystko?

- Ze szczegółami - odparł i spojrzał na nią poważnie. .

- Widzę, że po raz pierwszy zaczęłaś mnie słucnąć. - Heaven wytrzymała jego spojrzenie. - Wiem zatem, że Harold zamierza sprzedać firmę Amerykanom, utrzymując ich w przekonaniu, że transakcja obejmuje cały jej dorobek, oprogramowanie, które powstało do tej pory, i to, nad którym wciąż trwają prace. Tymczasem jego nowy program, już zresztą prawie gotowy, będzie lepszy od aktualnego i z powodzeniem go zastąpi. Chodzi o to, jak sprzedać dwa razy to samo. Najpierw zamierza podpisać transakcję, a dopiero potem opatentować nowy program. Tiffany powiedziała mi o wszystkim, to nie są żadne tam moje domysły.

- Rzeczywiście, mógł sobie coś takiego wykombinować, ale ci Amerykanie też nie są idiotami. Do kontraktu dołączono odrębne klauzule, które mają uniemożliwić podobne praktyki. Nie może sprzedać czegoś, co powstało wcześniej w firmie, którą sprzedał wraz ze wszystkimi prawami.

- Owszem, tylko że klauzula ta nie dotyczy Bliskiego i Dalekiego Wschodu - triumfalnie obwieściła Heaven. - Tam właśnie zamierza handlować nowym

GWIAZDKA MIŁOŚCI

towarem. Podobno to niemałe rynki, tak twierdzi Tiffany. Harold liczy na krociowe zyski.

Jon błyskawicznie ocenił wagę tego, co usłyszał, i uśmiechnął się do swoich myśli. Oto Heaven bezwiednie dostarczyła mu narzędzia, dzięki któremu przygwoździ wreszcie Harolda i zmusi go, żeby sprawiedliwie potraktował Louise. Przyszło mu jednocześnie do głowy, że Harold prawdopodobnie od początku podejrzewał, że jego były szwagier czyha na jakiś fałszywy krok z jego strony i usiłuje zwieść jego czujność, opowiadając się w małżeńskim sporze po jego stronie.

Harold nie dał się zwieść, pozostał czujny, nie obdarzył go zaufaniem. Nie wspominał ani o patencie, ani o nowym programie, a jedynie o transakcji z Amerykanami, którą polecił mu ocenić i przygotować. prosię, czy Harold nie jest mistrzem wszelkich **\$\$tjfc?** **Był** o krok od kolejnego finansowego sukcesu, a pfsy okazji wystawiał na szwank reputację Jona. Bo przecież skoro tylko Amerykanie odkryją oszustwo, od razu oskarżą o nieuczciwość nie tylko głównego kontrahenta, ale i jego doradców. Co z tego, że udział Jona w transakcji był minimalny? Spotka go dokładnie to samo, co przydarzyło się Heaven - straci dobrą opinię, a co za tym idzie, źródło niemałych dochodów.

Teraz jednak ważniejsze było co innego. Kiedy tylko Harold odkryje, kto gotował dzisiejszego wieczoru, kiedy zorientuje się, jak wiele Tiffany wypaplała na temat jego lewych interesów, Heaven znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie.

Błyskawicznie podjął decyzję. Droga była pusta, pogoda dobra, bak pełny. Można jechać na szkockie pogranicze i nie zatrzymać się po drodze ani razu...

- Możesz mnie tu wysadzić? - Heaven przerwała jego myśli. Sięgnęła do klamki, kiedy samochód zatrzymał się na światłach, jednak przekonawszy się, że drzwi są zamknięte, odezwała się tylko z wyrzutem:

- Jon, chciałabym wysiąść.

Samochód ruszył szybko na zielonym świetle, kierowca zmienił pas, a znak drogowy poinformował, że kierują się ku autostradzie M25.

- Jon! - tym razem Heaven-była bardziej stanowcza. - Słyszałeś, o co prosiłam? Chcę wysiąść...

- Nie da rady - uciął. - Nie na środku drogi.

- Więc zjedź na pobocze - Heaven była coraz bardziej zirytowana. - Ja... muszę wrócić do domu.

Zamiast zwolnić, Jon wrzucił wyższy bieg i auto pomknęło przed siebie, rozświetlając jasnym snopem światła asfalt pustej szosy.

- Chcę do domu! - powtórzyła z desperacją Heaven.

- Jesteś pewna? - odezwał się wreszcie Jon. - Harold nie będzie potrzebował wiele czasu, żeby się do ciebie dostać.

- Harold nie wie, że to byłam ja - odpaliła. - Tiffany znalazła mnie dzięki ogłoszeniu w gazecie. Pani Tiggywinkle... ,

- Tak, tak - przerwał jej. - Zauważyłem jednak, że Tiffany zwracała się do owej wymyślonej pani Tig-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

gywinkle po imieniu, konkretnie - Heaven. Nie jest to zbyt częste imię, prawda?

- Boże - Heaven przycisnęła dłoń do ust - rzeczywiście. ..

- Domyślam się też, że jeśli nawet nie podałaś jej adresu, to na pewno zostawiłaś Tiffany swój telefon - ciągnął bezlitośnie Jon. - Czy naprawdę sądzisz, że Harold jest taki tępy i nie złoży wszystkiego w logiczną całość? A kiedy już to zrobi...

- Nie robi! - odparła szybko, jakby chciała przekonać samą siebie. - Przynajmniej nie przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Poza tym dziwi mnie, że mając o nim tak złe zdanie, pracujesz dla niego i pomagasz mu w jego machinacjach.

Jon nie odpowiedział od razu. Uśmiechnął się tylko, szczęśliwy, że los podsunął mu nagle tak wiele okazji. Mógł teraz wymóc na Haroldzie sprawiedliwość, a przede wszystkim mógł uprowadzić do swego wiejskiego gniazda kobietę, o której myślał nieustannie przez ostatnie miesiące. Mógł ją tam uwięzić, ukryć przed światem, mieć tylko dla siebie. A zanim to nastąpi, jechać z nią pustą autostradą, gadać, przekonywać... aż znajdą się dostatecznie daleko od miasta, żeby musiała przystać na jego plany.

Powinna się zgodzić, musi się zgodzić. Ewentualna zemsta ze strony Harolda to nie tyle wygodny pretekst, co rzeczywisty, poważny powód do tego, by zniknąć na jakiś czas z Londynu. A że schronieniem będzie akurat jego szkockie siedlisko...

- Pracuję dla niego - odezwał się wreszcie - lecz

nie łączy mnie z nim żadna zażyłość. Wręcz przeciwnie.

- Ach, rozumiem - uśmiechnęła się ironicznie. -Po prostu zarabiasz na życie, bo z czegoś trzeba żyć, tak? A co z twoją siostrą? Co z Louisą? Z czego ona żyje?

- Robię to właśnie ze względu na Louisę - przerwał jej i spojrzał na nią z uśmiechem. - Posłuchaj,

Heaven... _

- Nie! Nie chcę tego więcej słuchać. Chcę tylko, żebyś zatrzymał samochód i pozwolił mi wysiąść. Natychmiast!

- A jednak posłuchaj...

- Nie!

- Skoro nie chcesz znać prawdy...

- Prawda! - zachnęła się i spojrzała na niego z pogardą.

- Tak, prawda jest taka, że straciłem całe miesiące, starając się zdobyć zaufanie Harolda. A robiłem to tylko i wyłącznie po to, żeby rozpracować jego finanse, dowiedzieć się, w jaki sposób przekonał sąd rodzinny, że nie jest w stanie zapewnić dziewczynkom i Louisie należnych świadczeń, i znaleźć sposób na to, żeby mojej siostrze nie działa się krzywda. On ją oszukał i okradł, Heaven. A ja nie robię nic innego, jak tylko próbuję odzyskać dla niej wszystko, co jej się należy. I zrobię to, ten łajdak zwróci jej każdy zagrabiony funt. Tylko honoru nie może zwrócić...

Heaven spojrzała na niego skonsternowana.

- Czemu niby miałabym ci wierzyć? Możesz po

GWIAZDKA MIŁOŚCI

prostu... Przecież jesteś doradcą Harolda, tak powiedziała Tiffany.

- Nie jestem, byłem - przerwał jej ponurym głosem. - Kiedy Harold zorientuje się, kto go tak smacznie nakarmił, natychmiast przypomni sobie ów incydent, kiedy to zataiłem przed nim twoją tożsamość. Oboje będziemy na celowniku.

- Dlaczego więc to zrobiłeś? I jak teraz zrealizujesz swój plan?

- Na pierwsze pytanie ci nie odpowiem. Przynajmniej na razie. A jeśli chodzi o drugie, to powiedz mi więcej o tym nowym oprogramowaniu, które Harold zamierza...

- Zaraz, zaraz. Najpierw ty mi coś powiedz. Gdzie my właściwie jedziemy? Gdzie ty mnie wiesz, Jon?

- Na pogranicze - odpowiedział spokojnie.

- Jakie znów pogranicze?

- Szkockie. Mam tam posiadłość. Nie mówisz chyba poważnie.

- Jak najbardziej.

Heaven opadła na fotel i spojrzała na niego z przerażeniem.

- Nie... Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Zjedź na bok i zatrzymaj ten samochód, bo jeśli nie, to...

- To co? - wpadł jej w słowo. - Wyskoczyć nie możesz, zablokowałem wszystkie drzwi.

- To... to... to się nie mieści w głowie! - wykrztusiła wreszcie Heaven. - To jest... gwałt! porwanie! naga przemoc!

- Raczej zwykła ostrożność. Najlepsze rozwiązanie, które przyszło mi do głowy.

- Ostrożność... - powtórzyła Heaven przez ściśnięte gardło. Nerwowo zwilżyła zaschnięte wargi koniuszkiem języka. Kto inny nie dojrzałby przewrotnego figlarnego błysku w oczach Jona, ona jednak dostrzegła go i od razu zinterpretowała na swój użytek.

- Porywasz mnie przez ostrożność...

- Tak - potwierdził. - Musimy teraz oboje być ostrożni, Heaven. Kiedy Harold zorientuje się, że rozmawiałś z Tiffany nie tylko o kulinarnych przepisach

- a powtórzę raz jeszcze: na pewno szybko się w tym połapie - znajdziesz się w poważnym niebezpieczeństwie. Każdy, kto posiada takie informacje, powinien czuć się zagrożony. Ja też. Przynajmniej do chwili, kiedy transakcja z Amerykanami nie zostanie sfinalizowana po jego myśli.

- Nie przesadzasz?

- Ani trochę. Moim zdaniem Harold nie bez powodu tak bardzo się śpieszył z tą transakcją. Chciał podpisać umowę jeszcze przed świętami, żeby wszystko zdążyło zostać zatwierdzone i uprawomocnione przed nowym rokiem, kiedy to jego nowy patent ujrzy światło dzienne. Nie wziął jednak pod uwagę ciebie i twoich puddingów, które sprawia, że Amerykanie me będą zdolni do podpisania czegokolwiek przez następne kilka dni. Nie może już prawdopodobnie zablokować postępowania w urzędzie patentowym, a to stawia go w bardzo nieciekawej sytuacji. Jeśli nie zdąży sprzedać firmy przed nowym rokiem, nie uda mu się to w ogóle i nie wyjdzie z długów, a wiem, że ma ich sporo Co więc zrobi? Po pierwsze, będzie starał się

GWIAZDKA MIŁOŚCI

upewnić, że nie zrobisz użytku z informacji wydobytych od Tiffany...

W klimatyzowanym samochodzie było ciepło, lecz mimo to Heaven dostała dreszczy.

- Rozumiem, że za wszelką cenę usiłujesz mnie przestraszyć.

- Ty już się boisz.

- Nieprawda! - zaprzeczyła. - Naprawdę przesadzasz. Harold nie mógłby...

- Mógłby - przerwał jej spokojnym głosem. - Stać go na to, o czym myślisz, a czego boisz się powiedzieć głośno. Może to, co robię, jest nieco melodramatyczne, ale uznałem, że tak będzie najlepiej dla nas obojga. Harold chyba nie wie o mojej posiadłości na północy. Ty więc będziesz tam bezpieczna, a ja uzyskam szansę zrobienia użytku z tego, czego ty dowiedziałaś się od Tiffany, a ja od ciebie.

- Nie boisz się, że będzie ci chciał odpłacić? Że...

- Że co? Że zniszczy moją reputację, tak jak to zrobił z twoją? I tak zamierzał to zrobić. Tyle że dzięki tobie już mu się nie uda.

- Rozumiem, że nie mam wyboru - Heaven westchnęła ciężko i wpatrzyła się w wieczorny pejzaż za szybą.

- Masz. Jeśli naprawdę tego chcesz, odwiozę cię z powrotem. Ale... - zawahał się.

-Ale?

- Ale wiem, że nie chcesz.

- O! - powiedziała tylko, lecz nie dodała nic więcej. Rzeczywiście, nie chciała. Jon skutecznie

ją nastraszył i przekonał do swoich racji, a poza tym...

- Czy coś się stanie, jeśli nie wrócisz do domu?

- spytał troskliwie, nie pozwalając jej dokończyć przerwanej myśli. -

Przyjaciółka... kochanek... ktoś inny?

- Nie - pokręciła głową - nie ma nikogo. Rodzice z bratem wyjechali do Australii.

- I zamierzałaś spędzić Boże Narodzenie sama?

- To znaczy... Byłam zaproszona przez rodzinę przyjaciółki, ale... - wzięła głęboki oddech. - A co z tobą? Czy Louisa...? Gdzie ty...?

- Louisa zabiera dzieci do naszych rodziców - wyjaśnił szybko, uprzedzając jej pytania - a ja miałem przyłączyć się do przyjaciół, którzy wybierają się na narty. Jednak w takiej sytuacji - znów spojrzął na nią tak, że ciarki przeszły jej po plecach - zadzwonię i powiem, że nie przyjadę.

- Dlaczego? Chyba do świąt wszystko się wyjaśni?

- zaniepokoiła się Heaven, przerażona nagle myślą o kilku dniach spędzonych z Jonem pod jednym dachem.

- Może tak, a może nie. Raczej nie... Pamiętaj też, że upłynie sporo czasu, zanim Harold zapomni, jaką rolę odegrałaś w jego upadku. Chociaż, przy odrobinie szczęścia, może się zdarzyć, że będzie miał na głowie ważniejsze rzeczy niż ściganie pani Tiggy-winkle.

- Sporo czasu... - powtórzyła Heaven. - Ile? - Nie chciała pytać, ale bardziej niż perspektywa przymusowego wygnania niepokoiło ją to, czy Jon będzie

GWIAZDKA MIŁOŚCI

przebywał cały czas z nią i czy w posiadłości będą prócz nich jeszcze jacyś mieszkańcy.

- Nie wiem, trudno powiedzieć - odparł poważnie. Prawdę mówiąc, Jon zmuszał się do tej powagi, bowiem w istocie jego serce biło żywo z radości, że udało mu się przekonać Heaven, jego Heaven, piękną i uroczą Heaven z jego marzeń i snów.

- A co z Tiffany? - zaniepokoiła się nagle jego pasażerka. - Nie chciałabym się znaleźć w jej skórze.

- Nie martw się. Harold nie może jej skrzywdzić. Tak się składa, że znam jej rodziców. Strasznie się troszczą o swoją ukochaną córeczkę i nie są zbyt szczęśliwi, że Harold im ją zabiera. Będą mieli okazję, żeby oświecić swą latorośl i pokazać jej, za jakiego łajdaka chciała wyjść. Możesz sobie spokojnie jechać do Szkocji, droga Heaven, i nie przejmować się losem swojej przyjaciółki.

- Ale... ja nie mogę tak po prostu z tobą jechać! Nie mam nawet żadnych ubrań...

- Żadnych? - Uśmiechnął się do niej tak, że Heaven zaczerwieniła się niczym nastolatka. Bała się, a jednocześnie czuła dziwne podniecenie na myśl

o tym, co jeszcze może się zdarzyć.

- No... nie mam na przykład bielizny na zmianę.

- Możemy temu zaradzić. Do miasta jest całkiem niedaleko.

- Ale przecież nie mogę, ot tak, wejść do sklepu

i kupić sobie kompletną garderobę - zaprotestowała Heaven. - Przede wszystkim nie mogę...

Ugryzła się w język, jednak Jon szybko odgadł jej myśli i spokojnie dokończył za nią:

- Nie mogę sobie na to pozwolić? A czy Harold zapłacił ci za przygotowanie kolacji?

- Nie.

- Zatem jako jego finansowy doradca proponuję, abyś w ostrych słowach upomniała się o honorarium. Zanim zaś to nastąpi, z przyjemnością udzielę ci niewielkiej pożyczki a konto.

- Przecież wiesz, że nigdy mi nie zapłaci.

- Zapłaci, już moja w tym głowa. Straciłem miesiąc, bezskutecznie usiłując nakłonić go do wypłacenia Louisie należnych świadczeń, lecz teraz mam na niego haka. Do tej pory wciąż utrzymywał, że jego firma przynosi straty. Nie było wątpliwości, że kłamie, że ten jego nędzny księgowy przelewa wszystkie aktywa do jakiś zamorskich rajów podatkowych. Nijak jednak nie mogliśmy mu tego udowodnić. Poczul się tak pewnie, że ostatnio zagroził nawet, że przestanie płacić chesne za dziewczynki.

- Boże, czemu ludzie stają się... tacy podli? - Heaven pokręciła z niedowierzaniem głową. - Czy wiesz, że Harold zatrzymał meble, które Louisa dostała od waszych rodziców?

- Dzięki za przypomnienie. To następna sprawa, która powinna znaleźć się na liście.

- Co właściwie zamierzasz zrobić?

- Nic wielkiego. Nie jestem aż taki mściwy. Harold może liczyć na to, że będę milczał na temat oszustwa, które zamierzał popełnić, zaś ceną za moje milczenie będzie zabezpieczenie finansowe Louisy oraz dziewczynek, a także sprzedaż jego firmy w całości, ze wszystkimi projektami w trakcie realizacji.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Krótko mówiąc, szantaż?
- To dla niego dobra oferta. Nasze prawo, amerykańskie zresztą też, jest bardzo surowe jeśli chodzi o podobne oszustwa. Gdyby plany Harolda przedostały się do opinii publicznej, to nie tylko utraciłby reputację, ale... Cóż, jakoś nie wyobrażam sobie Harolda jako szczęśliwego więźnia.
- Więzienie? - Oczy Heaven zrobiły się okrągłe ze zdumienia. - Chcesz powiedzieć, że groziłoby mu więzienie?
- W końcu to oszustwo. - Jon wzruszył ramionami. - Oszuści są przestępcami, a przestępców ściga prawo. Rozumiesz teraz, dlaczego tak bardzo troszczę się o twoje bezpieczeństwo?
- A ty?
- Ja? Mnie nic nie będzie.
- Chyba naprawdę nie mam wyboru - westchnęła Heaven, coraz bardziej zmęczona jazdą oraz wrażeniami tego obfitującego w niezwykle wydarzenia wieczora. Szum silnika działał na nią usypiająco, łagodne kołysanie rozleniwiało umysł i usypiało czujność. Zamknęła oczy. - Szkockie pogranicze. Hm, brzmi romantycznie... - szepnęła jeszcze do siebie, a potem zapadła w sen.

Rozdział 4

Heaven przetarła oczy i przeciągnęła się w fotelu. Za oknem samochodu wciąż było ciemno.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała.

- Już niedaleko. Niedługo będziemy na miejscu - odparł Jon, ona zaś poczuła, jak serce zaczyna jej bić szybciej. - Zobacz, zaczyna padać śnieg...

- Śnieg! - Heaven dojrzała drobniutkie białe płatki, wirujące w świetle reflektorów, i ucieszyła się jak dziecko. - Ojej, rzeczywiście!

- Wyglądasz teraz jak szesnastolatka - roześmiał się Jon. - Rozczochrana, rozmarzona, zaspana, ale radosna i spontaniczna - dodał nieco poważniej.

- I z rozmazanym makijażem - zażartowała Heaven, by ukryć zmieszanie, w jakie wprawiły ją te słowa. Oblizwała językiem usta, jakby chciała sprawdzić, czy pozostały na niej ślady szminki, a potem dotknęła warg opuszką palca.

Jon przytrzymał jej rękę.

- Nie rób tego.

- Dlaczego?

Nie odpowiedział. Pokręcił tylko głową i zafci[^]mał łagodnie auto na pustej drodze, a potem wyciągnął ku niej ramiona i chwycił ją w objęcia.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Bo gdy to widzę, mam wielką ochotę cię pocałować - wyszeptał wprost do jej ucha.

Heaven chciała zaprotestować - tak nakazywała logika i zdrowy rozsądek. Chciała go odtrącić, odepchnąć, a nawet spoheczkować. Jednak gdy tylko poczuła na ustach gorące wargi Jona, westchnęła błogo i poddała się jego pieścizotom.

- Och, Jon...

- Heaven...

Oboje nie sądzili, że tak łatwo, tak naturalnie może dojść do pierwszego pocałunku. Tak szybko...

Spodziewali się raczej dystansu, oporu, pretensji, nieufności. Tymczasem nie minęło dwanaście godzin od ich pierwszego spotkania po kilkunastu miesiącach, a całowali się już po raz kolejny. Nie zwracali uwagi na to, że znajdują się na poboczu pustej drogi, że jest trzecia nad ranem, że na zewnątrz zrobiło się zimno i pada śnieg. Tu, w środku obszernej limuzyny, zdawało się wręcz gorąco, tak bardzo rozpalone były ich ciała, tak gwałtowny i nagły był ten wybuch namiętności.

Heaven wsunęła dłoń pod sweter Jona, aby poczuć go lepiej, bliżej.

Jęknął i przycisnął ją jeszcze mocniej, a potem zaczął badać dłonią rozkoszne kształty jej ciała. Heaven miała wrażenie, że zapada się w jakąś słodką, miękką otchłań - jak migdał w czekoladowy pudding! Że zagłębia się niebezpiecznie w tę słodycz i ginie w niej, tonie, przestaje istnieć.

- Co się z tobą działo przez ten czas? - usłyszała jak szepce jej do ucha. - Jak ja to przeżyłem? Boże,

już dawno powinniśmy byli to zrobić. Tyle miesięcy... Dlaczego...? Heaven dobrze wiedziała dlaczego. Ona znalazła się w krytycznej sytuacji, a on odfrunął sobie za ocean. A potem...

Wzdrygnęła się, przypominając sobie wstyd i upokorzenia, których zaznała ze strony Harolda oraz Loui-sy. Po chwili jednak jej ciałem wstrząsnął dreszcz, wywołany zupełnie innym odczuciem - odczuciem rozkoszy i podniecenia, które ogarnęło ją ze zdwojoną siłą, gdy Jon zbłądził dłonią pod jej bluzkę i dotknął delikatnie nagiej piersi.

- Och... - westchnęła cicho, zdziwiona własną uległością. Wobec takiej pieśczości była całkowicie bezbronna. Nie mogła się opanować, nie mogła nie zdradzić, co czuje. Odgięła głowę do tyłu, przygryzła wargę, jednocześnie zawstydzona i zachwycona tym, jak szybko jej piersi odpowiedziały na dotyk ciepłej męskiej dłoni.

- Dprowadzasz mnie do szaleństwa - Jon wydusił z siebie słowa, które i ona mogłaby wypowiedzieć. -Sprawiasz, że zachowuję się jak szczeniak, a nie dorosły mężczyzna.

- Jon... - wyszeptała tylko tyle, a potem niemal instynktownie objęła go za szyję i przycisnęła do siebie, by poczuć na piersiach ciężar jego głowy. Jon skwapliwie skorzystał z tego przyzwolenia. Oswobodził ją szybko z krępującej bielizny i z pijanym zachwytem zatopił twarz między dwiema nagimi półkulami, twardymi i pełnymi od pożądania. Były ta-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

kie gładkie, takie delikatne, takie kształtne. Doskonałe...

Zaczął je pieścić, obejmować, całować. Marzył o piersiach Heaven tyle razy, wyobrażał sobie, że na nie patrzy, że podziwia, jak falują pod jej bluzką, że je obnaża, bierze w dłonie, zachwyca się ich ciężarem... I oto teraz jego marzenia stały się jawą. Oddała mu je dobrowolnie, a on złożył im hołd i daninę rozkoszy.

Heaven również nie wierzyła własnemu szczęściu. Namiętność, która ją ogarnęła, była dzika, gorąca, gwałtowna jak letnia burza. Czuła na sobie dłonie Jona, parzyły ją jego gorące wargi, przeszywał rozkoszą giętki język. Brał ją całą, a ona pozwalała mu na wszystko. Więcej - sama go przynaglała!

Sięgnęła pożądliwie ku guzikom jego koszuli. Szarpnęła. Przesunęła palcami po nagim torsie. Pierś, zebra, bok... I niżej...

Wstrząsnął nim spazm. Jon wydał niski, gardłowy jęk, chwycił ją za nadgarstek i przycisnął do siebie mocniej jej dłoń.

- O, tak... - zmrużył oczy - tak, kochana... Dotykaj mnie, dotykaj... Tu...

Dopiero teraz, gdy Heaven przekonała się, jak bardzo Jon jej pragnie i jak potężną jest siłą, która pcha go do ostatecznego spełnienia, poczuła ukłucie niepewności. A potem strachu. Jeśli czegoś natychmiast nie zrobi, ta zabawa skończy się w wiadomy sposób, a potem...

No właśnie. „Potem” było co najmniej wielką nie-

wiadomą. Znali się wprawdzie i nie byli sobie obcy. Kiedyś czuli do siebie chyba coś więcej niż tylko sympatię, a dzisiejsze spotkanie... Cóż, od początku zanosilo się na to, że padną sobie bez tchu w ramiona. Tej magii, tego czaru, tego przyciągania - tej chemii, jak to mówią - nie dało się po prostu zignorować. Gdyby mieli odmówić sobie pieszczot i pocałunków, byłoby to tak, jak gdyby odmówili sobie powietrza.

Z drugiej jednak strony, nie była pewna prawdziwych uczuć Jona. Nie widziała go tak długo, nie rozmawiała z nim. Pewnie się zmienił.

Przede wszystkim jednak nie podobała się sobie w roli ochoczej kochanki, której wystarczy kilka godzin, kilka słów, a oddaje szczerze wszystko, co ma. To nie było w jej stylu. To nie była prawdziwa Heaven. Pewnie otumanila ją potężna dawka adrenaliny, wywołana najpierw obecnością w domu Harolda, potem zaś nieoczekiwanym sam na sam z Jonem i perspektywą spędzenia co najmniej kilku dni w jego prywatnej posiadłości. Straciła na moment głowę i nie zrobiła nic, by się bronić.

Posunęła się za daleko, lecz na szczęście w porę przyszło otrzeźwienie.

- Coś nie tak? - spytał miękko Jon, wyczuwając jej nagłe napięcie.

- Nie... - zaprzeczyła. - To znaczy... tak. - Spojrzała mu w oczy, zaraz jednak je opuściła. - To nie powinno było się zdarzyć. Ja... nie chcę, nie mogę...

- Co nie powinno było się zdarzyć? Podróż samochodem przez pół kraju czy ten wybuch namiętności?

- Ani jedno, ani drugie - odparła, po czym ukryła

GWIAZDKA MIŁOŚCI

szybko swą nagość i odwróciła głowę, by nie mógł widzieć jej twarzy.

- Przepraszam - odezwał się po chwili. - To naprawdę nie było zaplanowane. Jesteś... wyjątkową kobietą, Heaven. Tak szczególną, że... Nie dokończył zdania, uruchomił silnik i w milczeniu podjęli przerwana jazdę. Jon nie odezwał się już ani razu, Heaven zaś do końca podróży zastanawiała się, co by usłyszała, gdyby Jon dopowiedział jednak zdanie do końca. Niezwykła czułość w jego głosie kazała się domyślać, że może nie kieruje nim tylko nagie, fizyczne pożądanie; że Jon czuje do niej coś więcej.

Może jednak tak jej się tylko zdawało. Może gdyby kazała mu wyrazić słowami myśli, opisać uczucia, prysnąłby czar, a zamiast dyktowanych tęsknym sercem wyobrażeń zostałaby brutalna prawda.

Tak czy inaczej, wszystko stało się zbyt szybko. Tak szybko, że aż żałownie. Miał rację Jon, mówiąc, że zachowuje się jak szczeniak. Ona zachowywała się jak wypuszczona z internatu nastolatka.

- No i jesteśmy na miejscu - odezwał się Jon, gdy wjechali do niewielkiej osady, wciśniętej malowniczo pomiędzy wzgórze. Kamienne domy stały tu po obu stronach krętej drogi, garbaty mostek był zaś tak wąski, że Heaven mimo woli wstrzymała oddech, gdy przeprawiali się po nim na drugą stronę.

Główna ulica miasteczka udekorowana były światełkami, oplecionymi wokół przydrożnych drzew. Śnieg przestał padać, wypogodziło się, a na czystym, nocnym niebie pojawiły się gwiazdy.

81

- Och, Jon, jakie to piękne! - Heaven nie mogła powstrzymać się od wyrażenia zachwyty. - Taka bożonarodzeniowa atmosfera!
- Fakt, miasteczko wygląda jak z bajki, prawda?
- uśmiechnął się, lecz na nią nie spojrział. - Jego historia jest jednak dość krwawa. Granica ze Szkocją jest niedaleko stąd, więc przez lata była to baza wypadowa angielskich rozbójników i oczywiście cel ataków z przeciwnej strony. Kiedy wreszcie zawarto rozejm, postanowiono, że rocznicę tego wydarzenia będzie się obchodzić właśnie podczas Bożego Narodzenia. Nic dziwnego, że te Święta to dla tutejszych mieszkańców szczególna pora, prawdziwy czas radości. Jest nawet taka tradycja, że wszyscy gromadzą się wtedy na specjalnej dziękczynnej wieczerzy i błogosławią Boga za to, że dał im pokój. Moglibyśmy pójść, jeśli masz ochotę...
- Naprawdę? - podchwyciła z entuzjazmem Heaven, lecz zaraz urwała, przypomniawszy sobie główny powód swojej obecności w tym miejscu. Nie przyjechała tu przecież, by cieszyć się Bożym Narodzeniem, lecz aby uciec przed zemstą Harolda Lewisa. Odnośnie zaś Bożego Narodzenia miała inne plany, inny przepis.
- Pewnie i tak nic z tego nie wyjdzie - odezwała się powściągliwie. - Święta dopiero za tydzień, a ja nie mogę przecież...
- Wiem, nie możesz zostać - dokończył za nią cicho. - i nie chcesz. Heaven przygryzła wargę i skoncentrowała się na widoku za oknem. Miasteczko zostało z tyłu. Wspinali

GWIAZDKA MIŁOŚCI

się teraz drogą wijącą się wśród wzgórz, pokrytą sporą warstwą śniegu, która na szczęście nie sprawiała kłopotu jaguarowi Jona.

Ogarnęło ją zmęczenie, poczuła nagle, że znów kleją się jej oczy. Osunęła się w miękkim fotelu, lecz nie dane jej było usnąć, bowiem auto zaczęło zjeżdżać żwirową drogą, trzęsąc się i podskakując, aż wreszcie zatrzymało się na wprost budowli, która wprawiała Heaven w nieklamane zdumienie.

- A cóż to takiego? - zapytała.

- Dom - odparł Jon ze śmiechem. Jej zdumienie najwyraźniej mocno go rozbawiło.

- Dom? - Heaven powątpiewająco patrzyła na starą, kamienną wieżę o wąskich oknach, wydobytą z mroku przez światła samochodu. - Czy właśnie tu mieszkasz?

Przytaknął pogodnie.

- A cóż to właściwie jest?

- Zabytkowa baszta strażnicza - wyjaśnił. - Mieszkańcy pogranicza budowali dla siebie domostwa, w których można było się bronić.

Nawiasem mówiąc, często używali do tego kamieni „pozyskanych” z muru Hadriana, niestety. W każdym razie w takiej baszcie mogła się schronić w razie ataku cała rodzina, a na dodatek można w niej było przechowywać nie tylko zapasy, ale też łupy, a nawet jeńców uprowadzonych w trakcie zbójeckich wypraw.

- Na przykład branki - powiedziała Heaven dziwnie nieswoim głosem.

- Na przykład - przytaknął Jon, po czym mówił

dalej: - Pierwotnie na dole mieściły się pomieszczenia dla żywego inwentarza; rodzina mieszkała na samej górze, gdyż uważano, że tak jest bezpieczniej. Ze względu na swą wysokość baszty służyły jednocześnie za punkty obserwacyjne. W pogodny dzień ze szczytu można śledzić granicę na przestrzeni wielu mil. Oczywiście ta wieża została jakiś czas temu, jeszcze zanim ją kupiłem, odrestaurowana i zmodernizowana.

- Jak ją znalazłeś?

- Parę lat temu byłem w miasteczku i usłyszałem, że mają zabytek na sprzedaż. Zawsze byłem zakochany w tej okolicy, a ta nieruchomość była znacznie tańsza niż nowy dom w Cotswold, więc nie wahałem się długo i złożyłem ofertę.

- O rany, wyobrażam sobie, co te mury mogłyby opowiedzieć... - westchnęła Heaven z rozmarzeniem.

- Mhm - zgodził się Jon. - Miejscowi powiadają, że dawno temu, pewnej mglistej listopadowej nocy -idealny czas na kradzież owiec - właściciel baszty postanowił złamać rozejm i złupić sąsiada. Przekroczył granicę, wdarł się do jego posiadłości, lecz na miejscu zastał jedynie siedemnastoletnią siostrzenicę swojej ofiary. Dziewczyna przyjechała właśnie w odwiedziny z Edynburga, a on prócz bydła wprowadził również i ją. Była piękna i dobra, toteż łotr zakochał się w niej bez pamięci, co zaś dziwniejsze - z wzajemnością. Porwanie nie doprowadziło więc do kolejnej krwawej wendety, lecz do ślubu.

- Jasne. A potem żyli długo i szczęśliwie - roześmiała się Heaven.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Nie wierzysz w takie historie? -zapytał poważnie, jednak nie po to chyba, by usłyszeć odpowiedź, bowiem po chwili wysiadł, obszedł auto i otworzył drzwi od strony Heaven.

Gdy prowadził ją do baszty, z jakichś niejasnych powodów starała się trzymać blisko niego. Niby się nie bała - na pewno nie - lecz podskoczyła i krzyknęła cicho, spostrzegłszy pośród bluszczu porastającego mur dwa tajemnicze, zielone światelka.

- Spokojnie, to tylko sowa. - Jon wziął ją za rękę, otworzył drzwi i przepuścił przodem do środka.

Heaven dała kilka kroków, lecz zaraz stanęła w miejscu ze zdumienia.

- Jon! Tu jest... cudownie!

Rzeczywiście - jasnokremowe ściany, rustykalne kinkiety, zapewniające miłe, ciepłe oświetlenie, prosta mata na podłodze oraz schody i drzwi z ciemnego, lśniącego drewna tworzyły wnętrze eleganckie, komfortowe, lecz zarazem swojskie i przytulne.

- Tam jest kuchnia, obok mój gabinet i nieduży, nieogrzewany salonik. Właściwy salon jest nad nami. Choć, pokażę ci. Zobaczysz też sypialnię, piętro wyżej.

Salon zajmował całą powierzchnię pierwszego piętra.

- Imponująca przestrzeń - odezwała się Heaven.

- Tak, tylko że to rozwiązanie ma jedną zasadniczą wadę: kuchnia znajduje się na innym piętrze niż jadalnia. No, ale mamy stąd za to wspaniały widok na okolicę. Uwierzysz, że w pogodny dzień można nawet dostrzec wybrzeże?

- Naprawdę? - Heaven zainteresowała się uprzejmie, usiłując ukryć ziewanie. Wciąż była podekscytowana tym wszystkim, lecz była w końcu czwarta albo piąta nad ranem. Najchętniej wyciągnęłaby się wygodnie na jednej z pokrytych lnianym obiciem sof i pozwoliła zamknąć się znużonym powiekom.

- Czuję, że resztę odłożymy na jutro. - Jon uśmiechnął się, widząc jej dyskretne ziewnięcie. - Teraz jesteś za bardzo zmęczona. Chodź, zaprowadzę cię od razu na górę i pokażę ci twój pokój.

Pozwoliła się prowadzić po skrzypiących schodach, a potem weszła za nim do obszernej sypialni po prawej stronie korytarza.

- Wszystkie sypialnie mają oddzielne łazienki - poinformował, zapalając światło przy olbrzymim, miękkim łożu z mosiężną ramą. - Pościel jest świeża. Przygotuj się do snu, a ja zejść na dół i zrobię coś gorącego do picia, zgoda? Aha, w szafce znajdziesz ręczniki, szczotkę do zębów i inne drobiazgi. Pani Fra-zer, która dogląda domu, kiedy mnie nie ma, uważa, że trzeba być przygotowanym na każdą niespodziankę.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Heaven podeszła ostrożnie do łóżka. Chciała je najpierw dotknąć, wypróbować tylko, czy jest takie wygodne, na jakie wygląda. Jednak zamiast dotknąć, natychmiast na mm usiadła, potem oparła się na łokciu, opadła na plecy, wyciągnęła wygodnie nogi - aż wreszcie zamknęła oczy z błogim westchnieniem. Kiedy Jon wrócił z gorącą herbatą, Heaven już smacznie spała. Z początku próbował ją obudzić. Kiedy zorientował

GWIAZDKA MIŁOŚCI

się jednak, że dziewczyna śpi jak kamień, zrezygnował. Postanowił przykryć ją kocem i zostawić, lecz nagle przez głowę przemknęła mu nader interesująca myśl: Czy nie powinien zapewnić jej lepszych warunków do wypoczynku? Hm, właściwie nic w tym złego. Znał kobiety i mógł się domyślać, że Heaven nie byłaby zachwycona, gdyby odkryła rano, że spała w dziennym ubraniu. Tym bardziej że nie miała żadnego na zmianę.

Pochylił się i zaczął ostrożnie zsuwać jej pantofle. Natychmiast zrobiło mu się gorąco, a przed oczami stanęły niebezpieczne wizje, w których bose stopy Heaven wspierały się mocno na jego...

Nie, nie teraz. Nie może wykorzystać jej słabości i zmęczenia. Nigdy by sobie tego nie darował. Nie wiedząc, czy robi to bardziej dla siebie, czy dla niej, zgasił światło i w półmroku kontynuował pozbawianie Heaven kolejnych części garderoby.

Prawdę mówiąc, ciemności nie przesłoniły mu specjalnie piękna jej nagiego ciała. Zobaczył wystarczająco dużo, by jego pożądanie urosło do poziomu, który był w stanie przełamać opór woli i odrzucić wszystkie dane sobie wcześniej obietnice. Pokusa, żeby samemu zrzucić ubranie, wślizgnąć się pod kołdrę, a potem chwycić w ramiona tę piękność, była potworna, straszliwa, nie do zniesienia.

A jednak Jon zdołał się pohamować. Zebrał ubranie Heaven, okrył ją kołdrą i ułożył fantazyjnie jej włosy na poduszce. Już miał opuścić sypialnię, kiedy spojrzał na dziewczynę raz jeszcze i... złożył jednak na jej wargach delikatny pocałunek. Zaraz potem wyszedł szyb-

ko na korytarz, by nie patrzeć, jak usta Heaven ułożyły się w uśmiechu pod wpływem tej przelotnej pieszczoty.

Rozebrał się we własnej sypialni, zaniósł swoje ubranie do kuchni i wrzucił je do pralki wraz z rzeczami Heaven. Myśl, że jej garderoba - bluzka, pończochy, stanik, koronkowe majteczki - połączy się w praniu z jego bielizną, sprawiła mu dziwną, niemal zmysłową przyjemność.

Nastawił odpowiedni program i stał chwilę na progu, zanim maszyna nie rozpoczęła pracy.

A więc znów spotkał Heaven... Ta śliczna dziewczyna wpadła mu w oko osiemnaście miesięcy temu. Od początku pragnął poznać ją bliżej. Kiedy zaś zabrał ją na kolację, zachwycił się jej osobą i przekonał, że taka kobieta to prawdziwy skarb. Już pod koniec tego wieczoru wiedział... wyczuwał, że Heaven jest tą osobą, z którą ewentualnie... o ile ona czułaby to samo...

Ale zaraz potem zaczął się cały ten koszmar z Loui-są i Haroldem i Jon szybko sobie wmówił, że jest ostatnią osobą, z którą Heaven chciałaby mieć cokolwiek do czynienia. Dzisiaj jednak stało się coś, co pozwalało mu mieć nadzieję, że być może jest inaczej. Być może... W każdym razie owo upajające interludium w samochodzie przekonało go ostatecznie, że mimo upływu tylu miesięcy on nadal pragnie jej do szaleństwa. Może nawet bardziej niż wtedy.

A ona? Niewątpliwie reagowała na jego pieszczoty; reagowała silnie, żywiołowo. Co więcej, nie była, zdaje

się, typem kobiety, która łatwo i chętnie angażuje się w erotyczne przygody. Czy wobec tego mógł mieć nadzieję na lepszą przyszłość? Wspólną przyszłość?

Uśmiechnął się do swoich myśli, lecz zaraz wrócił na ziemię. Tak, był między nimi magnetyzm ciał, może dusz. Nim jednak poprosi ją, by dzieliła z nim życie, / musi pomyśleć o terażniejszości - o bezpieczeństwie

Heaven, o krzywdzie Louisy i o paskudnym byłym szwagrze.

Skrzywił się i zaczął przetrawiać w myślach fakty, które Heaven poznała dzięki Tiffany. Popatrzył raz jeszcze na schody, prowadzące do sypialni, w której spała Heaven, po czym westchnął ciężko i ruszył do swego gabinetu.

Zamknął za sobą drzwi, włączył komputer. Do tej pory nie dysponował niczym, co pozwoliłoby mu stawiać warunki w rozmowie z Haroldem. Teraz wreszcie miał argumenty. I to jakie!

Rozdział 5

Heaven przeciągnęła się z lubością i powoli otworzyła zaspane oczy. Kiedy jednak nie rozpoznała wokół siebie znajomych sprzętów i ścian, usiadła raptownie na łóżku.

To nie było jej łóżko! Nie jej pokój, nie jej meble
- nie jej mieszkanie, lecz..

Boże! Nie była nawet w Londynie, ale kilkaset kilometrów na północ, na szkockim pograniczu, w starodawnej fortecy, która kiedyś dawała schronienie zbójcom i przemytnikom, a teraz była domem Jona Huntingtona! . . ., Instynktownie naciągnęła na siebie koc, by osłonie nagie piersi. No właśnie - były nagie! Jak to się stało? Przecież usnęła i nie zdążyła nawet rozebrać się przed snem. Czyżby Jon...

Na samą myśl o tym, co mogło się stać, poczuła mrowienie w całym ciele. Nie, wcale się nie bała. Reakcja jej ciała nie miała nic wspólnego ze strachem, gniewem czy zdenerwowaniem. To zmysły domagały się nowych podniet, pobudzone przelotną myślą o Jonie, wspomnieniem wczorajszych pieszczot w samochodzie, wyobrażeniem tego, co mogło się dziać, gdy usnęła.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Przeniosła nieprzytomny wzrok na okno, za którym lśniły w ostrym zimowym słońcu ośnieżone wzgórza. Popatrzyła na błękitne niebo i drobne białe obłoczki, gonione porywistym wiatrem. W Londynie z pewnością jest teraz mglisto, szaro i ponuro, pomyślała. Ale za to w swym małym, przytulnym mieszkanku czułabym się bezpiecznie i pewnie, dodała natychmiast w duchu.

Bezpiecznie? Czy aby na pewno? A gdyby Harold odkrył jej tożsamość, wytropił ją i postanowił odwiedzić osobiście? Tak, w Londynie czułaby się może pewniej niż tu, ale po pierwsze - tylko do czasu, a po drugie - nie byłoby przy niej Jona.

Rumieniec natychmiast oblał jej policzki. Teraz nie miała już wątpliwości co do swoich uczuć. Miała natomiast sporo wątpliwości odnośnie tego, co zrobił Jon, kiedy usnęła, zdruzona podróżą. Jedno było pewne: sama się nie rozebrała. Co zaś do reszty...

Jon zamknął oczy, wystawił twarz na działanie gorącego strumienia wody, odgarnął włosy do tyłu. Zmęczone, napięte mięśnie rozluźniały się powoli pod prysznicem, z ciała uchodziło zmęczenie.

Gdy się położył spać, było już dobrze po szóstej, teraz zaś dopiero co wybiła dziewiąta. Nie spał zbyt długo, był za to niezwykle zadowolony ze swoich dokonań. Przejrzał jeszcze raz dokładnie wszystkie dane na temat Harolda Lewisa, jakie przechowywał w pamięci swego komputera, i skonfrontował je z tym, czego dowiedział się od Heaven. Niektóre podejrzone

sprawy i operacje wyjaśniły się same i teraz Jon miał Harolda - jak to mówią - na widelcu.

Uśmiechnął się do siebie, próbując wyobrazić sobie, jaką minę zrobi Harold, gdy dowie się, że odkryto jego malwersacje. A gdy jeszcze usłyszy, iż kulisy jego transakcji mogą stać się publiczną tajemnicą... Ho, ho!

Oczywiście nie tylko on był przekonany o nieuczciwości Lewisa. Jednak przypuszczać, wiedzieć nawet, a udowodnić swoje podejrzenia - to dwie różne sprawy. Teraz, dzięki Heaven, będzie wreszcie w stanie tego dokonać. Gdy zaś o wszystkim dowie się sąd, Louisa przestanie się martwić o utracony majątek.

Tylko że sąd o niczym się nie dowie. Harold zrobiłby wszystko, by do tego nie dopuścić, bo to oznaczałoby dla niego koniec, innej możliwości nie było. Nie miałby nic do stracenia, byłby zdesperowany, a to czyniłoby go groźnym. Zamiast więc przedstawiać w sądzie wykaz wszystkich jego aktywów, zrobią z Louisą inaczej - obiecują mu milczenie w zamian za wycofanie się z wszelkich nieuczciwych transakcji i operacji oraz sprawiedliwy podział majątku po rozwodzie.

I pomyśleć, że jest to możliwe dzięki Heaven, jedynej kobiecie, którą kochał i której pragnął naprawdę. I że stało się to w dniu, w którym ją odnalazł, w którym wraz z nią wróciły nadzieje i marzenia.

Czyżby Święty Mikołaj pomylił dni i postanowił podarować mu upragniony prezent, nie czekając do Wigilii?

A może to wszystko mu się przyśniło?

Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - pójść do sypialni Heaven i sprawdzić osobiście.

Zaparzył szybko herbatę, wyjął z suszarki jej czyste ubranie i po chwili stanął w progu z tacą w dłoniach.

Heaven nie spała. Siedziała na łóżku, trzymając prześcieradło pod szyją, i patrzyła w zamyśleniu przez okno. Na jego widok poruszyła się niespokojnie i zarumieniła ze wstydu, gdy położył jej rzeczy na krześle obok.

- Wyprałem to wczoraj dla ciebie.

- Moją... bieliznę?

Zaczerwieniła się jeszcze bardziej i spuściła wzrok, w końcu jednak, jakby nie mogąc dłużej znieść niepewności, zapytała cicho:

- Czy my... w nocy... czy ty...?

- Nic nie wiesz? - Jon nie pozwolił jej dokończyć. Uśmiechnął się tajemniczo, a potem odezwał się zmysłowym głosem, całkiem słusznie licząc na to, że spotęguje tym sposobem jej wstyd: - Nie przypominasz sobie? Nic nie pamiętasz?

Kochał ją właśnie taką - wstydliwą i nieśmiałą w rozmowie, namiętą i pełną inicjatywy w miłosnej akcji. Ze taka właśnie jest jego Heaven, przekonał się w nocy, w samochodzie. Teraz chciał raz za razem potwierdzać swoje spostrzeżenia.

- A więc to, że jestem naga... - Oczy Heaven zrobiły się okrągłe, duże i wpatrywały się teraz w niego ze zdumieniem i niedowierzaniem. On zaś tak się na nie zapatrzył, że gdy stawiał tacę z herbatą na nocnej szafce obok jej łóżka, ta przechyliła się niebezpiecznie i filiżanki zsunęłyby się niechybnie, gdyby w ostatniej chwili nie przytrzymała ich Heaven.

Przytrzymała filiżanki, lecz wypuściła z dłoni prześcieradło.

Jej nagie piersi ukazały się w pełnej krasie i Jon natychmiast zareagował na ten widok.

Oczywiście zaraz je okryła, przyciskając ze wszystkich sił prześcieradło do siebie, jednak to z kolei pozwoliło mu się przekonać, że i na nią silnie działa jego bliskość. Obfity biust prężył się prowokacyjnie pod warstwą materiału, a sutki znaczyły się na bieli cienkiego prześcieradła dwoma wypukłościami.

- Nie pamiętasz, prawda? - Jon powtórzył przez zaschnięte gardło i ostrożnie usiadł obok niej na łóżku.

Heaven odwróciła wzrok. Czuła, że nie powinna na niego patrzeć, nie powinna patrzeć w błyszczące namiętnością źrenice, na wilgotne po porannej kąpieli włosy, luźny płaszcz kąpielowy, niedbale rozchylony na torsie i nieco niżej. Bała się poruszyć i bała się, że poruszy się Jon, a wówczas jego szlafrok rozchylił się całkowicie i odsłonił...

Och, chciała wzbudzić w sobie gniew, oburzyć się i zrobić mu awanturę z powodu własnej nagości, niezależnie od tego, jak i kiedy ją rozebrał i co zrobił z nią potem. Chciała - ale nie mogła. Tak naprawdę bowiem myślała o tym, że Jon mógł ją dotykać i pieścić, budziła w niej jedynie nowe pragnienia.

Tylko jak to możliwe, że niczego nie czuła, nie pamiętała?

- Więc uważasz, że mógłbym wykorzystać twoje zmęczenie, wykorzystać... ciebie? - zapytał Jon, przerywając jej myśli.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- W każdym razie zdjąłeś ze mnie ubranie.

- Z pobudek czysto altruistycznych. Chciałem, żebyś dobrze wypoczęła, a rano mogła założyć świeżą garderobę.

- Ach, tak...

Jon uniósł brwi i uśmiechnął się do niej przekornie.

- Ach? Czy to „ach” ma być przeprosinami za niecne podejrzenia, czy też wyrazem rozczarowania?

Sporunowała go wzrokiem. Nim jednak zdążyła dać mu ostrą odprawę, uprzedza ją i powiedział coś, na co podświadomie czekała, a co wytrąciło jej broń z ręki:

- Nie mówię, że nic przy tym nie czułem - jego głos zabrzmiał miękko, uwodzicielsko. - Pokusa była wielka. Jesteś piękna, Heaven, zniewalająca... A ten cudowny pieprzyk... o, tutaj - pomimo prześcieradła bezbłędnie wskazał miejsce na udzie - aż sam się prosi, żeby go całować.

- Pocałowałeś?

Spojrzała mu prosto w oczy, a on nachylił się ku niej, wytrzymał jej pełne napięcia spojrzenie i odparł niemal szeptem:

- Nie, pocałowałem cię tylko w usta. Lekko, tak na dobranoc - uśmiechnął się znowu, a potem przysunął się jeszcze bliżej i z ustami tuż przy jej ustach dodał: - A gdybym nawet uległ pokusie i zaczął się z tobą kochać, to z pewnością pamiętałabyś o tym i nie musiałabyś pytać.

- Pamiętałabym... - powtórzyła jak echo Heaven, wstrząśnięta tym wyznaniem i oczarowana tak intymną bliskością.

- Mhm... Na pewno byś tego szybko nie zapomniała. Kochalibyśmy się z takim zapamiętaniem, tak długo... tak namiętnie... tak mocno... Właśnie tak!

Jęknął, nie zdolny dłużej się powstrzymać, i nim Heaven zdążyła coś powiedzieć, ujął jej twarz w dłonie i wycisnął na jej wargach cudownie długi pocałunek. Oderwał usta od jej ust, ale tylko po to, by po chwili pocałować ją znowu, tym razem miękko, niespiesznie, jakby chciał wsmakować się, wsłuchać w każde wewnętrzne poruszenie jej wstrząsanego rozkosznymi dreszczami ciała.

- Och, Jon... A... a co byłoby potem? - wyszeptała mu prowokacyjnie wprost do acha.

Jon znowu jęknął, czując gorący oddech dziewczyny, i z radością podjął grę.

- Potem zrobiłbym tak... - Odgarnął jej włosy z karku i zaczął wodzić po nim gorącymi wargami, potem językiem. - I tak...: - Zaczął obsypywać pocałunkami szyję, nagie ramiona, dekolt. - A potem tak... - Wyjął delikatnie prześcieradło z jej dłoni i musnął ustami twarde koniuszki spragnionych dotyku piersi.

- Och... - Heaven syknęła, jakby przeszył ją ból. Bezwiednie zacisnęła palce na ramionach kochanka i przyciągnęła go do siebie. - Och... - westchnęła znowu, gdy poczuła przy sobie jego nagie ciało, twardy tors, łomoczące z podniecenia serce.

- Boże, Heaven...

- A potem...? Co byś zrobił potem? - dociekała, Heaven, ośmielona nagle tym, jak wielki wpływ ma na mężczyznę, który do tej pory zdawał się mieć we

GWIAZDKA MIŁOŚCI

wszystkim inicjatywę. - Powiedz mi - poprosiła słodko. - Pokaż...

- Dobry Boże, dziewczyno, czy ty masz pojęcie, co ze mną wyprawiasz? - wymamrotał z twarzą wtuloną w jej szyję. - Pragnę cię, pragnę jak nikogo, pragnę aż do bólu...

- Ja też cię pragnę - odważyła się wyznać Heaven.

- Może tego aż tak nie widać - spojrzała znacząco w dół, rozdarta pomiędzy przystającą kobiecie nieśmiałością a ciekawością i przestraczem, który budził w niej ów dowód jego pożądania i pragnienia -ale...

Jon roześmiał się gardłowo, sięgnął łapczywie do jej ust. Ona zaś oddała pocałunek, wyciągając jednocześnie dłoń ku nabrzmiałej męskości.

- Heaven! - zaprotestował zaskoczony. - Heaven?

- powtórzył już łagodniej, z westchnieniem, w którym była zarazem rozkosz i udreka. - Heaven... - uśmiechnął się błogo, całkowicie bezbronny wobec tej pieśczoły.

- Coś nie tak? — Heaven drażniła się z kochankiem.

- Nie lubisz tego?

- Czy ja tego nie lubię? - wymruczał, przymykając oczy. - Poczekaj tylko, niech ja się do ciebie dobiore!

- odparł i szybkim chwytem przewrócił ją na plecy.

- To będzie coś jeszcze?

- Przecież dopiero wczoraj się spotkaliśmy. -Unieruchomił jej ręce nad głową i zajrzał śmiało w oczy. - To dopiero pierwszy dzień...

- Pierwszy po kilkunastu miesiącach.

- Tak... - Jon spoważniał. - Wiesz, jak często o tobie myślałem? - zapytał, teraz już całkiem serio.

- Akurat.

- Nie wierzysz? - Opuścił twarz i zaczął całować jej wilgotne usta.

- Nie próbowałeś się ze mną skontaktować - odparła, gdy przestał, by zaczerpnąć tchu.

- Próbowałem - pokręcił głową - ale nikt nie wiedział, gdzie cię szukać. Byłem u twoich rodziców, lecz nie chcieli mi nic powiedzieć. Uznałem, że nie masz zamiaru stykać się z nikim, kto miałby cokolwiek wspólnego z... z tamtymi wydarzeniami.

- Mniej więcej tak się wtedy czułam. - Heaven odwróciła głowę. - Myślałam, że ty... Powiada się, że w każdej plotce jest ziarno prawdy, więc...

- Przestań! - przerwał jej stanowczo. - Może i inni uwierzyli w te kłamstwa, ale ja Haroldowi nigdy nie dałem się nabrać. Nigdy nie uwierzyłem w ani jedno słowo, które o tobie opowiadał. Nie chciałem w to uwierzyć, rozumiesz? - powtórzył, odwracając jej twarz, tak że musiała spojrzeć mu w oczy. - Nie chciałem i nie uwierzyłem.

- Ale Louisa...

- Przecież się z nią spotkałaś. Wiesz, że Louisa zrozumiała swój błąd. Kiedy do Heaven dotarł sens usłyszanych przed chwilą słów, jej oczy wypełniły się łzami. Jon scałował z powiek słone krople, a potem przycisnął do piersi jej twarz i zaczął głaskać powoli miękkie jak jedwab włosy.

98 GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Jon... - wyszeptała niepewnie, nie wiedząc, jak się zachować wobec takiej czułości.

- Wiem - wyszeptał w odpowiedzi - wszystko wiem. Nie musisz nic mówić.

Tak było lepiej. Zamiast mówić, wołała pozwolić się pieścić, głaskać, całować, rozbudzać coraz bardziej i tak pobudzone już ciało. Jon był niestrudzony w swoich staraniach, a ona otwierała się przed nim niczym kwiat w promieniach porannego słońca. Gdy jego pieścizny dotarły do miejsca, które zdawało się samym centrum rozkoszy, Heaven zadrżała i wydała z siebie cichy pisk.

- Coś nie tak? - tym razem on drażnił się z partnerką. - Nie lubisz tego? Uśmiechnęła się tylko w odpowiedzi i mocniej przycisnęła go do siebie. Jeszcze chwila, a jęknęła błagalnie, nie mogąc znieść dłużej domagającego się rozładowania napięcia. Jon zdusił jej protest ostatnim pocałunkiem, odczekał jeszcze chwilę, a potem zagłębił się w ukochanej i oboje stracili poczucie rzeczywistości.

To było jak poezja, jak przejście w nowy wymiar, jak wędrówka w rajskim ogrodzie. Byli naprawdę jednym ciałem, ciałem przesyconym rozkoszą do ostatniej tkanki, ciałem uwolnionym od grawitacji. Płynęli wspólnie, poruszając się życiodajnym rytmem, ku ostatecznemu spełnieniu, aż wreszcie zalała ich jasność i nie było już nic prócz ekstazy, wszechogarniającej ulgi i całkowitego oszołomienia.

- Boże, było mi jak w niebie... - szepnął Jon, gdy po kilku minutach doszli wreszcie do siebie.

Heaven zaczęła chichotać, a on w lot pojał niezamierzoną grę słów - Heaven to znaczy niebo. Było mu jak w niebie, bo rzeczywiście był w Heaven...

Roześmiał się wraz z nią, lecz zaraz spoważniał, widząc, że ukochana zastygła nagle w napięciu.

- Co się stało?

- Samochód - odparła zaniepokojona. - Słyszę samochód. Czy myślisz, że to może być...?

- Poczekaj - Narzucił szlafrok i szybko wyszedł z sypialni.

Heaven została sama ze swoimi emocjami. Wciąż jeszcze czuła w sobie rozkoszne porywy, a jednak nie mogła się nimi cieszyć wobec niespokojnych myśli, które rodziły się w jej głowie na dźwięk natarczywie dzwoniącego dzwonka. Przybysz, kimkolwiek był, musiał mieć jakąś wyjątkową pilną sprawę. Zważywszy zaś, w jakich okolicznościach opuścili wczoraj z Jonem przyjęcie u Harolda ...

Nie, nie da się złapać tak łatwo! Zebrała swoje ubranie, poszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Wykapie się szybko, potem ubierze, potem zaś...

Nieważne, coś na pewno wymyśli! Tak czy inaczej Harold na pewno jej nie dostanie!

Woda ciekąca z prysznica zagłuszała wszystko, co działo się na dole.

Heaven czuła się teraz tak, jak zapewne czuć się musiały nieszczęsne niewiasty w czasie oblężenia baszty - schowane gdzieś na samej górze, przerażone, pełne wiary, a jednocześnie najgorszych domysłów.

Wytarła rozgrzane ciało do sucha, odwiesiła czysty, gruby ręcznik, a potem zaczęła się ubierać. Zarumie-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

niła się lekko, wkładając koronkowe majteczki. Normalnie nie nosiła tego typu bielizny. Dostała tę parę od Janet na urodziny i był to raczej żart niż praktyczny upominek; prezent z gatunku „rozchmurz się, skarbie”.

Prędko włożyła resztę garderoby, po czym wróciła do sypialni, gdzie wciąż leżała skotłowana pościel, w której przeżyła tak cudowne chwile w ramionach Jona.

Ach, Jon... Samo wspomnienie tego imienia wywoływało rozkoszny dreszczyk. Kochał się z nią, pragnął jej, pożył - co do tego nie miała wątpliwości. Tyle że „pragnąć”, „pożądać”, „kochać się” to jedno - a po prostu „kochać” to zupełnie co innego. Heaven chciała, by Jon ją kochał, lecz czy tak jest w istocie

- tego nie mogła być pewna.

Kiedy klamka w drzwiach sypialni poruszyła się lekko, Heaven zamarła z przerażenia. Zaraz jednak odetchnęła z ulgą. Na szczęście to tylko Jon.

- Czy to był on? - Oblizła spierzchnięte wargi. Jon pokręcił głową, lecz minę wciąż miał niewyraźną.

- A więc ktoś od niego, ktoś kto mnie szukał? - nie dawała za wygraną.

- Tak, Harold cię szukał, lecz nie pojawił się tu osobiście. - Złośliwy uśmieszek przemknął przez wargi Jona. - Widocznie nie czuje się najlepiej po wczorajszej uczcie.

- A jednak zdołał zorganizować pościg...

- Nie bój się, Heaven. Tutaj nic ci nie grozi - zapewnił Jon, po czym chwycił dziewczynę w ramiona,

przytulił ją mocno, a ona złożyła ufnie głowę na jego piersi.

- Kogo przysłał? - spytała, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie i rzeczowo.

- Dwóch mężczyzn, swoich współpracowników z Glasgow. Polecił im cię odnaleźć, oni odnaleźli mnie, ale szczęśliwie udało mi się chyba ich przekonać, że przyjechałem tu wczoraj sam. Harold powiedział im, że wysłałaś wczoraj ze mną, więc dopytywali się, czy wiem, gdzie cię szukać...

- Nie mógł zapytać cię o to przez telefon? Musi nasyłać tu jakichś facetów?

- Myślę, że chciał "podkreślić, jak ważne jest dla niego ustalenie miejsca twojego pobytu - odparł Jon, starannie dobierając słowa. Nie chciał, by wpadła w panikę, więc nie powiedział jej, że ci dwaj to para najętych osiłków, którzy mieli go zastraszyć oraz pouczyć o możliwych konsekwencjach ukrywania przed Haroldem niejakiej Heaven Matthews.

- I co im powiedziałaś?

- Powiedziałem, że mówiłaś mi przed rozstaniem, iż zamierzasz polecieć do Australii, by spędzić tam święta z rodziną.

Heaven odsunęła się nieco i spojrzała na niego z uznaniem.

- Uwierzyli?

- Chwilowo, ale Harold na pewno będzie sprawdzał granice. A to oznacza, że nie byłabyś bezpieczna, wracając już teraz do Londynu. Musi minąć co najmniej kilka dni.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Co najmniej? - zapytała rozpaczliwie Heaven. Jon wypuścił ją z objęć i podszedł w milczeniu do

okna. Wciąż był przekonany, że to miejsce idealnie nadaje się na schronienie. Już chociażby samo to, że w pobliżu baszty nie mógłby się zaciąć i ukryć żaden człowiek, nie mówiąc o samochodzie, przemawiało na jej korzyść. Wszystko wokół widać stąd było jak na dłoni.

Może zresztą do „obleżenia” twierdzy przez armię Harolda Lewisa wcale nie dojdzie. Jeśli Harold odkryje nawet, że Heaven wcale nie poleciała do Australii, lecz schroniła się na szkockim pograniczu, to być może nie zdąży podjąć próby jej schwytania, bowiem wcześniej on, Jon Huntington, stawia mu czoło. Był już przecież do tego całkiem dobrze przygotowany. Wystarczyło zgromadzić jeszcze trochę informacji, a potem sformułować dla byłego szwagra ofertę nie do odrzucenia.

Odwrócił się od okna, spojrzał na Heaven i uśmiechnął się do niej uspokajająco. Podszedł do niej, ujął jej dłonie opiekuńczym gestem, a potem opowiedział jej powoli o swoich planach.

- Ale czy to wypali? I czy to na pewno jest bezpieczne? - dopytywała się niespokojnie, gdy skończył.

- Nie jest to najbezpieczniejsza rzecz, którą się zajmowałem - przyznał Jon bez entuzjazmu. - Muszę to jednak zrobić, przez wzgląd na Louise. Przykro mi, że wciągam w to także ciebie, ale bez twojej pomocy nigdy nie uzyskałbym najważniejszej informacji o kontrakcie z Amerykanami.

- Mógłbyś wyciągnąć ją od Tiffany.

- Wątpię. To ty posiadasz ten niezwykły dar bu-

dzenia ufności i życzliwości. Dzięki niemu ludzie garną się do ciebie. Jest w tobie jakieś naturalne ciepło... - Przerwał, widząc jej zafrasowane oblicze, i spytał łagodnie: - Co się stało?

- Martwię się o Tiffany. Nadużyłam jej zaufania. Jeśli Harold się dowie, co mi wypaplała...

- Naprawdę nic jej nie będzie - zapewnił Jon.

- Nie możesz być tego pewien.

- A jednak jestem. Przypuszczam, że jej kochani staruszkowie są właśnie w drodze do Londynu, by tam wyrwać swoją niewinną owieczkę z łap podstępnego, starego wilka. Nie martw się, już oni ją przekonają, żeby dała sobie z niimi spokój na zawsze. Wysłałem im faks, ostrzegłem, że Harold nie jest odpowiednią partią dla ich córki, i poradziłem, by poszperali trochę w jego przeszłych i bieżących sprawkach. Ot, choćby to - jak człowiek, który zostawił na lodzie żonę i dwie córki, może zagwarantować bezpieczeństwo nowej wybrance i dzieciom poczętym w nowym związku?

- Przedstawiasz to tak, jakby wszystko było dziecinnie łatwe i proste, ale ja naprawdę jestem wystraszona. Skoro Harold decyduje się wysłać kogoś taki kawał drogi, żeby mnie szukać...

- To tylko zraniona męska duma - Jon próbował bagatelizować sprawę. - W końcu to ty sprawiłaś, że wyszedł na durnia w oczach tych Amerykanów. Owszem, będzie cię szukać, mówiłem ci o tym od początku. Może się nawet zdarzyć i tak, że faceci, których nasłał, będą mieli mnie na oku przez jakiś czas. W końcu jednak się znudzą i wrócą do siebie. My musimy

GWIAZDKA MIŁOŚCI

pamiętać tylko o jednym - że ani na chwilę nie wolno opuszczać ci baszty.

Czy to nie jest łatwe i proste? Heaven popatrzyła na niego znacząco.

- Och, wiem, wiem... - Podniósł do góry ręce w obronnym geście. -

Czujesz się jak księżniczka uwięziona w wieży. Pewnie, że są i niedogodności. Na przykład z obiecanych zakupów nici... Chociaż...

-uśmiechnął się nagle do swoich myśli. - Poczekaj sekundę! - poleciał, po czym szybko podszedł do olbrzymiej szafy z ubraniami, zajmującej całą przeciwległą ścianę. Rozsunął drzwi i wykrzyknął triumfalnie, wskazując na imponującą kolekcję damskich strojów: - Tak właśnie myślałem! Nie wiem, co z tego będzie na ciebie pasować, ale nie krępuj się, poprzymierzaj...

Heaven zastygła niczym kamienny posąg. Nie odezwała się ani słowem, odwróciła tylko twarz, by nie dostrzegł bólu w jej oczach i nie zorientował się, jak bardzo poczuła się dotknięta.

Ależ była głupia! Śniła na jawie, układała fantastyczne plany na temat wspólnej przyszłości, oddawała się marzeniom. Widziała w nim ideał mężczyzny, a oto teraz ów ideał sięgnął bruku. Cudowny, dobry i uczciwy Jon proponuje jej ubrania jakiejś kobiety, która poprzednio korzystała z jego gościny.

Z jego sypialni.

I zapewne z jego łóżka.

- Co się stało? - widząc jej reakcję, zmieszał się i natychmiast spoważniał.

- Czy powiedziałem coś, co...

- Nie, Jon - przerwała mu lodowatym głosem. - Po prostu nie mogłabym nosić rzeczy po innej kobiecie.

- Ale dlaczego? - zdziwił się, zakłopotany, zaraz jednak zrozumiał, co stało się powodem tej zmiany nastroju, i roześmiał się głośno, zupełnie jakby był zadowolony, słysząc jej chłodne słowa. - Daj spokój, Heaven...

- Przecież się nie obrażam. - Dumnie uniosła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Jasne, bo nie ma o co. Jestem pewien, że Louisa nie miałaby nic przeciwko pożyczeniu ci paru ciuchów - wyjaśnił łagodnie.

- Louisa... twoja siostra? - Nagle zrobiło jej się głupio. - To jej rzeczy? - Ulga, która ją ogarnęła, była tak wielka, że Heaven nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Oczywiście. Wszystkie należą do Louisy. Na moje oko nie jest tak szczupła, jak ty, może jednak coś będzie pasowało. A dla twojej informacji - uzupełnił z pełnym zadowolenia uśmiechem - ty oraz Louisa jesteście jedynymi kobietami... - nie dokończył, bowiem przerwał mu nagle natarczywy dzwonek telefonu. - Cholera! - Jon zaklął pod nosem. - Przepraszam cię, muszę odebrać. Czekałem na kilka pilnych wiadomości odnośnie spraw, o których ci mówiłem.

To powiedziawszy, zniknął i Heaven ponownie została sama ze swoimi domysłami. Ona i Louisa - jedyne kobiety... Jedyne, które zaprosił w to miejsce; jedyne, które poznał bliżej? A może jedyne, które kochał? Skończ już te rojenia, napomniała się surowo. Przestań doszukiwać się w jego słowach czegoś, czego być może wcale w nich nie ma. Zrobiłaś wiele, by nauczyć się żyć bez nadziei, że jeszcze kiedykolwiek go zobaczysz, więc nie pozwól, by z powodu jednej, być

GWIAZDKA MIŁOŚCI

może nic nie znaczącej nocy twoje serce znów zaczęło krwawić!
A jednak ta jedna noc wystarczyła, żeby przekonać się, iż stłumione uczucie wcale nie umarło. Trwało uśpione i czekało, wbrew zdrowemu rozsądkowi, aby ujawnić się z pełną siłą. I doczekało się.

Tak, musiała to wreszcie przyznać przed sobą uczciwie - kochała Jpna Huntingtona. Czy to możliwe, żeby kochać kogoś, kogo właściwie w ogóle nie zna?

Och, nie, przecież go znała! Znała doskonale. Przez długie tygodnie poznawała go coraz lepiej, gdy przychodził odwiedzić Louise i siostrzenice. Widziała, jakim uczuciem darzy swych bliskich, czuła, jak traktuje ją - i z każdą kolejną wizytą była w nim coraz bardziej zakochana. A gdy pewnego wieczora znalazła się wreszcie w ramionach Jona, stało się po prostu coś, na co czekała od dawna. Jej uczucie nie zrodziło się nagle, nie było głupim zadurzeniem. Heaven wiedziała, kogo kocha, i była pewna, że to miłość na zawsze, która zdarza się w życiu tylko raz. To jemu chciała urodzić dzieci i u jego boku budzić się każdego ranka.

Pytanie tylko, czy ta szczerą, świadomą miłość była wzajemna.

- Przepraszam. - Jon wrócił do salonu, kończąc jej rozmyślenia.

Heaven podniosła głowę znad puzzli, które właśnie rozsypała na blacie niewielkiego stolika i zaczęła pracowicie układać. Obrazek przedstawiał świąteczną kolację w wiktoriańskiej rodzinie - dziesiątki wujów i ciotek, masa podekscytowanych prezentami dzieci-

ków, śnieg za oknem, przystrojona choinka i stół, uginający się pod ciężarem dań oraz masywnych mosiężnych świeczników. Boże Narodzenie jak z dziecięcych marzeń.

- Widzę, że się nudzisz. - Zagadnął Jon i położył dłoń na jej ramieniu. - Mam dla ciebie dobrą wiadomość: wszystko wskazuje na to, że mój plan się powiedzie. Będziemy mieć Harolda w garści i nie będziesz więcej musiała się przed nim kryć.

- To wspaniale - odparła, lecz trudno było dojrzeć entuzjazm w jej oczach. Powinna się właściwie cieszyć, że przymusowy pobyt w przygranicznej twierdzy niedługo dobiegnie końca, a jednak jakoś nie było jej do śmiechu.

- Pomogę ci. - Jon usiadł obok niej na kanapie. - Chcesz?

- Proszę - uśmiechnęła się blado. - Ta rodzina musiała jadać na Boże Narodzenie pudding Figgy, nie sądzisz? - Wskazała na obrazek na pokrywie pudełka.

- Nie ma wątpliwości. Ale chyba bez specjalnych dodatków.

Oboje wybuchnęli śmiechem, Jon przygarnął Heaven do siebie, zaraz jednak znów przeszkodził mu telefon

- Oho - poderwał się z miejsca. - Sprawa za chwilę się wyjaśni. Trzymaj kciuki, Heaven. Miejmy nadzieję, że to ostatnia rozmowa na temat oszustw Harolda Lewisa.

Rozdział 6

Cztery dni później Jon wkroczył do salonu z dumną miną. Była Wigilia. Pogoda dostroiła się do świątecznego nastroju i od samego rana padał gęsty śnieg, przykrywając łąki, pola i drogi białą, puchową pierzyną.

- Wszystko w porządku? - spytała Heaven na jego widok. - Masz zgodę Harolda na ponowny podział majątku i godziwe alimenty?

- Tak, zatwierdzoną notarialnie. Adwokat Louisy potwierdził właśnie, że otrzymał wszystkie dokumenty, łącznie z kopią czeku na okazałą sumę. Groźba ujawnienia nadużyć wystarczyła, by tatuś okazał hojność swoim córkom i oddał zagrabione mienie byłej żonie.

- A Tiffany?

- Cała i zdrowa w domu rodziców. Uprzedzę następne pytanie - uśmiechnął się promiennie. - Amerykanie wrócili do Stanów, by raz jeszcze zastanowić się nad całym interesem. Pewnie mimo wszystko kupią tę firmę, tyle że do kontraktu dodadzą dodatkowe klauzule.

- A więc wszystko skończyło się jak w dobrym romansie - Heaven westchnęła i ułożyła usta w bladym uśmiechu. Nie było w nim specjalnej radości, nawet ulgi niezbyt wiele. Podeszła do okna, popatrzyła na

zaśnieżone wzgórza i płynące nisko po niebie chmury.

- Nic mi nie grozi i mogę bezpiecznie wracać do domu

- dodała dziwnie markotnym głosem.

- Tak, możesz - padła lapidarna odpowiedź. -Zdaje się, że Harold postanowił spędzić święta na Karaibach. Tam na pewno nie jedzą puddingów Figgy.

Heaven znów usiłowała się uśmiechnąć, ale tym razem mięśnie jej twarzy całkowicie odmówiły posłuszeństwa. Nie musiała się okłamywać.

Dobrze знаła powody swego rozgoryczenia.

Cztery dni spędzili razem, zamknięci w czterech ścianach szkockiej wieży, lecz nie żyli jak prawdziwi kochankowie. Od pamiętnego poranka, kiedy to po raz pierwszy i ostatni posmakowała miłości z Jonem, mężczyzna nie wykonał żadnego gestu i nie wypowiedział ani słowa, które mogłoby wskazywać, iż pragnie częściej przeżywać podobne radości.

Dlaczego? Żałował tego, co się stało? Był rozczarowany? Nie, przecież mówił, że było jak w niebie...

A może bał się, że ona zbyt serio potraktuje to wydarzenie, że będzie sobie Bóg wie co wyobrażać? Cholerna racja. Wyobrażała sobie o wiele za dużo.

- Jeśli wyjadę po południu, zdążę jeszcze na wieczór do Londynu - odezwała się cicho.

- Tak. Jeśli chcesz, zorganizuję ci podróż. Powiedz tylko, na co masz ochotę.

Co miała powiedzieć? Że ma ochotę z nim zostać? Że chce być z nim i najbardziej pragnie jego miłości?

Pochyliła głowę.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Dobrze. Może... - zawahała się - może odwieziesz mnie do pociągu?
- Nie ma sprawy - odparł krótko i włączył telewizor, zapewne po to, by zagłuszyć wyrzuty sumienia. Gdy zaś to zrobił, pokój natychmiast wypełnił się słodką świąteczną muzyką - dziecięcy chór śpiewał tradycyjne kolędy.

To było dla Heaven zbyt trudne do zniesienia. Anielskie dźwięki, Dzieciątko w żłobie, Maryja nachylona nad Maleństwem - wszystko to w połączeniu z myślą, że za chwilę być może na zawsze opuści Jona, sprawiło, iż łzy popłynęły z jej oczu. Próbowwała je powstrzymać, a potem ukryć, jednak wobec tak wielkich wzruszeń była zupełnie bezbronna.

- Heaven... - Jon podszedł do niej z troskliwym spojrzeniem. - Co ci...? Co się stało? - Wyciągnął ku niej ręce i nim zdążyła go odepchnąć, przytulił ją i zaczął głaskać po głowie.

Teraz Heaven rozryczała się na dobre.

- Ciii... - uspokajał ją łagodnie, a jej się zdawało, że serce pęknie jej z rozpacz. - Co się stało? Jeśli boisz się Harolda... jeśli lękasz się czegoś...

- Nie lękam!

- Więc?

- Chodzi o to... - szlochała - o to, że... że ja...

- Daj spokój. To ja powinienem się tak zachowywać, nie ty - powiedział, ocierając jej mokrą od łez twarz.

- Ty? - Spojrzała na niego zdziwiona. - Dlaczego?

- Bo nie chcę, żebyś odjeżdżała... nie chcę znów cię utracić. Chcę... żebyś została ze mną na zawsze.

- Naprawdę chcesz, żebym została? - Heaven nie potrafiła ukryć zdumienia. - Jak możesz tak mówić, skoro przez ostatnie cztery dni zachowywałeś się, jakbyś... - urwała na chwilę - jakbyś wcale mnie nie chciał!

- Bzdura! - Wyczuła prawdziwą pasję w jego głosie i zadrżała z niepokoju. On zaś ujął jej twarz w dłonie i zmusił, aby spojrzała mu w oczy. - Oczywiście, że cię pragnę, Heaven. Nie tylko pragnę, ale kocham. Przez tych kilka cholernych dni czekałem tylko na jedno: żeby znaleźć sposobność i wreszcie ci to wyznać. Ale najpierw chciałem uporać się z całym tym zamieszaniem, z Haroldem, z Louisą... Spieszyłem się, jak mogłem; i to nie tyle ze względu na tę sprawę. Był inny, ważniejszy powód - chciałem, żebyśmy na Boże Narodzenie zostali we dwoje, sami, by już nikt nam nie przeszkadzał. I żeby... żeby wszystkie kolejne święta były dla nas wspólne! Widzisz, kiedy spotkałem cię po raz pierwszy po osiemnastu miesiącach, wiedziałem, że nic się nie zmieniło, że wciąż jesteś dla mnie ideałem... Byłem szczęśliwy.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Wcześniej sądziłem, że spisałaś mnie na straty. Dobry los zetknął nas jednak ponownie i kiedy zobaczyłem, jak reagujesz... Delikatnie odsunął kosmyk z jej twarzy i spojrzał na nią tak, że Heaven ogarnęła fala nieopisanego radości. Nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach, nie wyobrażała sobie, że Jon spojrzy na nią takim pełnym miłości i uwielbienia wzrokiem.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- W każdym razie nic się nie zmieniło - wyszeptał namiętnie. - Moja miłość do ciebie jest wielka i niezmienna. Kocham cię i jeśli miałabyś ochotę dać mi na gwiazdkę jakiś prezent...

- Kochasz? - nie pozwoliła mu dokończyć.

- Kocham - powtórzył. - Kocham cię, a moje gwiazdkowe życzenie brzmi tak: odwzajemnij moją miłość i... zostań moją żoną.

Dziecięcy chór śpiewał teraz hymn na cześć nowo narodzonego Pana, a triumfalny refren mieszał się w głowie Heaven z radosną pieśnią na cześć miłości, która wszystko przetrzyma, wszystkiemu wierzy i we wszystkim pokłada nadzieję. Jon pocałował ją namiętnie i nie wiedziała już, która muzyka płynie z jej serca, a która dociera do nich na falach eteru. Cały świat zdawał się teraz wyśpiewywać jej szczęście.

- Przyrzeknij mi jedno - poprosił Jon, gdy wreszcie złapał oddech.

- Co takiego?

- Że nigdy nie uraczysz mnie swoją wersją pud-dingu Figgy.

- Przyrzekam - roześmiała się Heaven - mam inny przepis na Boże Narodzenie.

- Ja też - odparł Jon, po czym wziął ją na ręce i poniosł do sypialni.

EPILOG

- Czy to już koniec? - spytała Christabel. Jon spojrział na żonę z miłością.

- Nie, to nie koniec. Ta historia nigdy się nie kończy - wyjaśnił siostrzenicy. - To dopiero początek opowieści, która będzie trwać wiecznie, jak wieczna jest nasza miłość.

- Ach, ci dorośli! - westchnęła dziewczynka. - Jesteście zupełnie jak tata i mama - oni też ciągle ściskają się i całują. Ja chyba nigdy nie wyjdę za mąż.

- Poczekaj, zobaczysz, że zmienisz zdanie. - Jon pogłaskał siostrzenicę po głowie. - Nie przekonasz się, jak smakuje pudding, zanim go nie spróbujesz. Zapytaj ciocię Heaven.

- Tak - zgodziła się roześmiana Heaven. - Najpierw trzeba go spróbować. Ale musi to być właściwy pudding.

Christabel parsknęła rozgniewana. Niczego tu nie rozumiała. Wpierw te głupie pocałunki, a teraz śmieją się bez żadnego powodu. I co to znowu za pudding? Ech, ci dorośli naprawdę są jak dzieci...

Lindsay Armstrong

Świąteczne przysmaki

Rozdział 1

- Czy wiesz, Merryn, że do świąt zostały tylko trzy tygodnie? -
powiedziała Sonia Grey.

Merryn Millar spojrzała na nią zdziwiona.

- Ty chyba potrafisz czytać w myślach. To samo przed chwilą przyszło mi do głowy.

Siedziały na werandzie z tyłu domu Greyów, skąd rozciągał się widok na płynącą w oddali rzekę Brisbane. Merryn wychowała się w tym domu, chociaż z mieszkającą w nim rodziną nie łączyły jej więzy krwi. W wieku czterech lat została sierotą, a Tom Grey, teraz od roku już nie żyjący, był najlepszym przyjacielem jej ojca. Tom i Sonia wzięli ją do siebie i wychowali jak własną córkę. Właśnie dlatego była tu teraz - żeby spłacić chociaż niewielką część długu, jaki u nich zaciągnęła.

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczna za to wszystko - oznajmiła poważnie Sonia, elegancka sześćdziesięciolatka o pogodnej twarzy, której nieco zmarszczek dodały dopiero ostatnie powikłania po przebytej operacji wstawienia sztucznego stawu biodrowego. - Naprawdę nie powinnaś...

- Już o tym rozmawialiśmy - cierpliwie odparła Merryn. - Wbrew temu, co myślisz, bardzo się cieszę, że mogę tu z tobą być.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Ale przecież mogłabyś teraz lecieć gdzieś na koniec świata. Może nawet spędziłabyś święta tam, gdzie jest mroz i pada prawdziwy śnieg.

- Latanie, przynajmniej w charakterze stewardessy wcale nie jest takie atrakcyjne, jak się większości wydaje. A Święta Bożego Narodzenia z tobą, Soniu, to dla mnie wspaniała rozrywka i zasłużony wypoczynek

- I jesteś pewna, że półtora miesiąca urlopu nie zaszkodzi ci w dalszej karierze? Dałabym sobie radę z pomocą Rox i Michelle.

Merryn zmarszczyła brwi na myśl o córkach Soni Roxanne i Michelle, mężatkach, obarczonych opieką⁵ nad małymi dziećmi.

- Nie jestem taka pewna - powiedziała z wesołym błyskiem w oku. - O rany, przestań się wreszcie martwić, Soniu. Wcale się tutaj nie nudzę i wcale nie marzę

O tym, żeby być teraz na końcu świata. Dobrze mi z tobą, przecież wiesz, więc nie udawaj. Poza tym od dawna marzyłam o rodzinnych świętach.

Ale... - zawahała się - czy ty aby na pewno chcesz, żeby cała rodzina się do ciebie zjechała?

- Oczywiście. Zawsze spędzamy święta w tym domu. Wystarczy miejsca dla wszystkich.

Merryn rozejrzała się dokoła. Dom był piękny piętrowy, z dużym ogrodem pełnym drzew, basenem

i kortem tenisowym. Stał na zboczu wzgórza, co zapewniało nie tylko piękny widok na zatokę Moreton ale również sprawiało, że docierały tu powiewy nadmorskiej bryzy tak pożądane w tej gorącej i wilgotnej części Australii. Po śmierci męża dom stał się dla Soni

o wiele za duży, ale była do niego bardzo przywiązana, więc w dalszym ciągu w nim mieszkała. Zresztą Brendan, jedyny syn Soni i Toma, który po ojcu odziedziczył posiadłość, jakoś nie okazywał do tej pory ochoty do przejęcia spadku.

- Pomyślałam sobie, że w tym roku powinnyśmy ograniczyć świąteczny obiad do zimnego bufetu - oznajmiła nagle Merryn.

Sonia roześmiała się na te słowa.

- Moja droga, sama już nie pamiętam, ile razy groziłaś, że to zrobisz. - Westchnęła. - Ale przecież...

- Wiem, dzięki tobie nasze świąteczne obiady stały się wspaniałą tradycją - pieczony indyk, szynka i wszystkie inne przysmaki. Ale może będzie nam równie miło, jeśli podamy tylko zimne mięsa i sałatki, owoce morza i lody. Na pewno wszyscy będziemy się po tym lepiej czuli. To i tak bardzo wyczerpujący dzień.

- Może masz rację? Co prawda, chodzę już o wiele sprawniej i mogłabym wszystkiemu podołać, jednak w takim upale obfity świąteczny obiad raczej nie wyjdzie nam na zdrowie. Ale upieczemy przynajmniej tort, dobrze?

Merryn ze śmiechem sięgnęła po notes i pióro.

- Oczywiście, będzie świąteczny tort. Zaraz wszystko zapiszę, zobaczmy... Będzie nas dwoje, czworo... sześcioro dorosłych i siedmioro dzieci.

- Mhm... Rox i Dawid - Sonia zaczęła wyliczać na palcach - ty i ja, Michelle i Ray, Damien i Do-ugal... - Uśmiechnęła się na myśl o dziesięcioletnich bliźniakach, synach Michelle, którzy cieszyli się za-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

służoną opinią urwisów, jakich mało. - Dalej Mandy i Alison, Sophie i Dix, no i Miranda. To jej pierwsze w życiu święta! - rozpromieniła się na myśl o wnuczce. - Szkoda tylko, że Brendan nie mógł przyjechać - dodała ze smutkiem.

- Powiedział, że to całkiem wykluczone? - upewniła się Merryn.

- Tak. Gdybym wiedziała, że jako inżynier budowlany będzie tak często wyjeżdżał, nigdy bym się nie zgodziła na jego studia.

- Tak tylko mówisz. Zawsze marzył tylko o tym.

- Wiem - odparła Sonia ponuro - ale w ciągu minionych trzech lat widziałam go zaledwie cztery razy, a i to ostatnio na pogrzebie ojca. A ty, ile razy się z nim spotkałaś? Przecież nie mogłaś przyjechać na pogrzeb Toma.

Merryn westchnęła. Była wtedy na drugim końcu świata i nie zdążyłaby przybyć na czas. - Cóż, ostatni raz? Jakies trzy lata temu.

- No właśnie. Oj, Merryn, Merryn... To takie smutne. Ciagle się modłę, żeby któregoś dnia po korytarzach naszego rodzinnego domu biegały jego dzieci, ale...

- urwała, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się przepaszajaco. -
Widzisz? Tak wygląda gadanie starej baby.

- Jestem pewna, że niedługo tego doczekasz - pocieszyła ją Merryn, choć wiedziała, że to tylko dyktowane uprzejmością słowa. - Nikogo nie pominęłyśmy?

- zapytała, by zmienić temat.

- Nie, poza Brendanem mamy wszystkich

- O rany, będzie nam potrzebne co najmniej cztery kilo krewetek. -

Merryn pokręciła głową i zapisała tę uwagę w notesie.

- Albo i więcej. Przyszło mi do głowy, żeby zaprosić jeszcze Steve'a, brata Raya. To taki miły młody człowiek. Wiem, że Michelle ma o swoim szwagrze bardzo wysokie mniemanie, a i ty go lubisz, prawda? - zapytała niewinnie Sonia.

Merryn uśmiechnęła się w skrytości ducha. Bawiły ją wszystkie te próby wyswatania jej ze Steve'em, które Sonia podejmowała niestrudzenie od jakiegoś czasu, zapewne zachęcona nieśmiałym zainteresowaniem, jakie Steve okazywał osobie jej przyszywanej córki.

- Dobrze - zgodziła się szybko. Nie chciała, broń Boże, się żenić, ale lubiła Steve'a, więc nic ją to nie kosztowało. - W takim razie będzie siedmioro dorosłych...

- Najlepiej od razu zapisz osiem osób. Ósemka to ładna, okrągła liczba - odezwał się za nimi nagle jakiś głos.

Właściciel owego głosu, niezauważony przez pogrążone w rozmowie kobiety, od dobrych trzech minut przysłuchiwał się ich rozmowie. Spod zmrużonych powiek patrzył pod słońce na ciemnowłosą dziewczynę w żółtej sukni, która siedziała obok jego matki, a jego serce wypełniały na ten widok zmienne uczucia.

Widział jedynie jej profil, ale dobrze znał tę twarz. Zauważył, że wydoroślała. Pamiętał niezdarną nastolatkę, a teraz patrzył na kobietę o wdzięcznej sylwetce i miłych dla oka kształtach, rysujących się pod cienkim

GWIAZDKA MIŁOŚCI

materiałem lekkiej sukienki. Zastanawiał się, co jeszcze się w niej zmieniło. Chyba nie rzęsy. Te zawsze były długie i ciemne. I nie oczy - jasnoszare, często przybierające zamyślony wyraz.

Kiedy się odezwał, obie kobiety odwróciły się gwałtownie, a on wyszedł ku nim na werandę, wysoki, dobrze zbudowany, spoglądający na nie tym typowym dla siebie figlarnym spojrzeniem ciemnobrązowych oczu.

- Bren! - Uradowana Sonia usiłowała wstać. -A jednak przyjechałeś!

Brendan Grey podszedł do matki i objął ją na powitanie.

- Wytrzymasz ze mną przez jakiś czas? - zażartował.

- Och, Bren! - Po policzkach matki pociekły łzy. - Przecież wiesz, ile to dla mnie znaczy! - dodała, po czym ukryła twarz na jego piersi.

Brendan spojrzał ponad jej głową na Merryn i powiedział:

- Witaj, mała. Widzę, że jesteś już dorosła.

Dobre sobie, dorosła, myślała później Merryn, przygotowując obiad.

Mam wprawdzie dwadzieścia cztery lata, ale przy nim... Jak on to robi, że przy nim czuję się zawsze tak, jakbym nigdy nie miała dorosnąć? Przecież dziewięć lat różnicy to zupełnie co innego dla piętnastolatki niż dla dwudziestoczteroletniej - dorosłej! - kobiety.

Wyjęła z lodówki trzy soczyste steki i postanowiła skupić się całkowicie na przyrządzaniu posiłku. Składał

się z ziemniaków z kwaśną śmietaną i szczypiorkiem, przygotowanych wcześniej duszonych warzyw, które doskonale pasowały do steków, oraz kremu bananowego na deser.

Gdy zaś Merryn w skupieniu godnym neurochirurga soliła steki, smarowała je oliwą i smażyła na szerokiej patelni, Sonia rozmawiała w salonie z synem, popijając popołudniowy aperitif. Brendan uparcie wykręcał się od rodzinnego spotkania, tłumacząc swoją niechęć potrzebą aklimatyzacji po długiej podróży i brakiem przygotowania. Spotkanie z siostrzeńcami i siostrzenicami wymagało bądź co bądź dużej czujności oraz przytomności umysłu.

- Spędzimy ten wieczór we własnym towarzystwie, tylko ty i ja - nalegał, a jego matka w skrytości ducha na pewno bardzo się z tego cieszyła.

Tylko ty i ja, powtarzała Merryn z goryczą, nakrywając do stołu na werandzie. A ona? Czy dla niej nie ma miejsca?

Zapaliła grubą świecę pod szklanym kloszem, i jeszcze jedną, o zapachu cytronelli, dla odstraszenia komarów. Ustawiła kieliszki i włożyła butelkę szampana do kubelka z lodem. Wiedziała, że Sonia z pewnością zechce uczcić przyjazd ukochanego syna. Kiedy skończyła, wzięła głęboki oddech i zadzwoniła małym, kryształowym dzwonkiem. Obiad gotowy! Przeżycia minionego dnia zmęczyły Sonię tak bardzo, że nic nie wyszło ze wspólnego wieczoru na werandzie. Starsza pani przeprosiła zaniepokojonego nie-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

co syna i wcześniej udała się na spoczynek. Zapewniała go, rzecz jasna, że czuje się doskonale, jednak kiedy Merryn pomagała jej przygotować się do snu, wyraźnie spostrzegła, że Sonia jest wyczerpana i że dokucza jej ból.

- Jak ona się czuje? Ale tak szczerze - zapytał dociekliwie Brendan, kiedy Merryn wróciła z kawą na werandę.

- Wszystko będzie dobrze. Potrzeba tylko trochę czasu - uspokoiła go, nalewając do filiżanki wonny napar. Było już całkiem ciemno i zamiast świergotliwych papug w ogrodzie pokazały się owocożerne nietoperze, które za dnia spały, wisząc do góry nogami na gałęziach mangowców. Powietrze było gorące i nieruchome, więc świece paliły się równym płomieniem, a dym spokojnie unosił się nad nimi wąską smużką.

- To bardzo miło z twojej strony, że się nią opiekujesz.

Śftajrzała na niego, ale nie potrafiła rozszyfrować jego spojrzenia.

- Cóż, mogę przynajmniej odwdzińczyć się jej za wszystko.

- Mimo to czuję się trochę winny.

- Dlaczego? Nie przesadzaj. Dlatego, że ja nie należę do waszej rodziny? Jeśli tak, to czuję się odrzucona.

- Ależ Merryn - uśmiechnął się - wiesz, że nie to miałem na myśli. Czy kiedykolwiek traktowałem cię jak obcą?

- Nie - przyznała. - Zawsze traktowałeś mnie jak młodszą siostrę. - W jej głosie zabrzmiała jakaś dziw-

na nuta, jakby wyrzut, pretensja, żal. Merryn zastanawiała się, czy Bren dosłyszał tę nutę. I czy ona sama rozumie, jakie jest źródło tego żalu.

- Rzeczywiście, naprawiałem ci pęknięte dętki od roweru, nauczyłem cię grać w tenisa i pływać. Broniałem cię, kiedy moje siostry ci dokuczały...

Ano właśnie, wiesz może, jak się miewają Rox i Michelle?

- Cóż, Michelle przeobraziła się w szacowną ma-tronę, ale przy czwórce dzieci pewnie trudno tego uniknąć - Merryn pozwoliła sobie na żartobliwy ton. - Za to Rox, mimo swojej trójki, jest tak samo postrzelona, jak dawniej. No i nadal ciągle się kłóca.

Brendan uśmiechnął się do swoich wspomnień.

- Jak zwykle. Zdaje się, że ich kłótnie będą trwały do grobowej deski. Ale opowiedz mi o sobie. Jak to się stało, że tak nagle wydorostałaś?

Merryn uśmiechnęła się smutno.

- Zaskoczony? Od trzech lat pracuję jako stewardesa, a od półtora roku latam na rejsach zagranicznych.

- Więc to dlatego tak się zmieniłaś. - Pokiwał głową, przyglądając się jej uważniej.

- Nikt ci o tym nie wspominał?

- Tak, teraz sobie przypominam. Kiedy ostatni raz byłem w domu, opowiadano mi o twojej pracy - że jesteś taka niezależna i samodzielna... Chyba po prostu nie bardzo umiałem to sobie wyobrazić.

- Nie dziwi mnie to.

- Daj spokój - roześmiał się, zaraz jednak spoważniał. - Więc pewnie inne sprawy w twoim życiu też się zmieniły?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Na przykład jakie?

- Przypomina mi się twój bal w szkole średniej...

Merryn poczuła, że się rumieni. Miała wtedy siedemnaście lat. Chociaż włożyła piękną suknię i wszyscy powtarzali jej, że wygląda olśniewająco, tuż przed szkolnym bale ogarnęło ją nagle ogromne zdenerwowanie i trudna do przezwyciężenia nieśmiałość. To Brendan znalazł ją wtedy zapłakaną w pokoju - dwudziestosześcioletni Brendan, taki doświadczony i dorosły, poświęcił czas, żeby ją uspokoić, zapewnić, że wygląda niczym księżniczka z obrazka i że chłopcy będą się zabijali, żeby z nią zatańczyć. I tak było.

- Teraz lepiej potrafię nad sobą panować. Dzięki Bogu. - Uśmiechnęła się z przymusem.

- Czy to znaczy, że w twoim życiu jest teraz wielu mężczyzn?

- Jest kilku.

- Któregoś z nich traktujesz poważnie? - Zadał to pytanie lekko, jak wuj wypytujący swoją ulubioną siostrzenicę, co niezwykle ją rozzłościło.

- Być może - odparła sucho, chociaż nie była to prawda. - A ty? Twoja matka mówiła...

- Słyszałem - przerwał jej ponuro. - Marzy o tym, żeby usłyszeć tupot dziecięcych nóżek w naszym rodzinnym domu. Przykro mi, na razie nie mam żadnych planów.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - powtórzył zdziwiony.

- To znaczy... dlaczego nie masz żadnych planów? - wyjaśniła Merryn, nieco speszona. Zdała sobie spra-

wę, że to może zbyt intymne pytanie, chciała jednak usłyszeć odpowiedź.

- Ponieważ w tej chwili nie ma w moim życiu nikogo, z kim chciałbym się ożenić - wyjaśnił krótko Brendan, ona zaś natychmiast pomyślała o tych wszystkich pięknych i ekscytujących kobietach, z którymi był związany, zanim wyjechał za granicę. Czyżby żadna z nich mu się nie spodobała? Zaskoczona potrząsnęła głową i chciała coś powiedzieć, on jednak uprzedził ją pytaniem:

- Wydaje ci się to nieprawdopodobne?

- Cóż... chyba tak - przyznała. - W każdym razie twoja matka na pewno nie zechce w to uwierzyć.

Przeciągnął się i splótł ramiona za głową.

- I właśnie dlatego mam wyrzuty sumienia. Zwłaszcza kiedy widzę mamę w takim stanie. Pomijając jednak wszystkie inne przyczyny, trudno by mi było namówić jakąś kobietę, żeby prowadziła taki tryb życia, jaki ja prowadzę. Podróże do zapomnianych zakątków świata, życie na walizkach, często w samotności...

- I tak w twoim życiu będzie zawsze?

Patrzył przez chwilę w przestrzeń, a potem się uśmiechnął.

- Chyba nie. Chodź, pomogę ci przy zmywaniu.

- Wstał i wyciągnął do niej dłoń. - Potem zaś, jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko temu, pójdę w ślady mamy i też położę się spać. Jechałem tu kilka dni.

- Jeszcze raz się przeciągnął. - Mam wrażenie, że skurczyłem się od tego ciągłego siedzenia w samochodach i samolotach.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Merryn podała mu dłoń, wstała i zaczęła zbierać filiżanki.

- Nie fatyguj się - rzuciła znad stolika. - Sama pozmywam.

- Dzięki. - Podeszedł do niej i ujął ją pod brodę.

- Nie będę ukrywał, że padam z nóg. Zawsze byłeś takim miłym dzieciakiem, Merryn. Takim usłużnym...

- Popatrzył na nią tak jak kiedyś, gdy była wystraszoną czteroletnią dziewczynką, potem jednak, zamiast dać jej buziaka, pocałował ją lekko w usta, wcale nie jak wujek. - Ale nie martw się. Pomogę ci. Od jutra zabieram się za moje kochane siostrzyczki i ich potomstwo. Przynajmniej nie będą wam przeszkadzały w waszych przedsięwzięciach. Mama pewnie znów wyprawi prawdziwą ucztę, co? Nie powiedział już nic więcej, tylko pomachał jej w milczeniu na dobranoc i zniknął we wnętrzu domu.

Merryn przyłożyła dłoń do ust. Po chwili wahania* zrezygnowała ze zmywania naczyń i poszła do ogrodu. Na jednym z mangowców wisiała stara huśtawka, na której Merryn usiadła teraz, oparła policzek na dłoni i zamknęła oczy.

Dlaczego Brendan wrócił do domu? Przecież napisał, że nie będzie mógł się wyrwać, więc myślała, że te półtora miesiąca bezpiecznie spędzą z Sonią i resztą rodziny. A teraz zjawił się tak nagle i...

A przede wszystkim, dlaczego wcale się nie zmienił?

Nie, inaczej powinno brzmieć to pytanie: Dlaczego ona się nie zmieniła?

Jak można w piętnastym roku

życia zakochać się w mężczyźnie i od tamtej pory stale trwać w tej skrytej miłości?

Westchnęła. Rzecz jasna, nie była już nieśmiałą nastolatką. A jednak to niezmiennie, spokojne, tajemne uczucie do nieosiągalnego mężczyzny nadal tkwiło w jej sercu mimo upływu lat. Kochała go, bo też nikt jak ona nie poznał wszystkich stron jego skomplikowanej osobowości. Ten pozornie beztroski, pogodny człowiek często miewał chwile głębokiej zadumy; z natury łagodny, czasami wpadał w niepohamowany gniew, zwłaszcza gdy spotykał na swej drodze ludzi złych i głupich. To właśnie jego trudny charakter doprowadził Brendana do konfliktu z ojcem, który wywodził się z prawniczej rodziny i pragnął, aby jedyny syn podążył w jego ślady i przejął rodzinną kancelarię.

Niestety, prawo nie pociągało Brendana. Zawsze interesował się budowaniem dróg i mostów, fascynowały go nauki ścisłe, matematyka, fizyka. Postanowił zostać inżynierem budowlanym i został nim mimo dezaprobaty i rozczarowania członków rodziny. Mało tego, udało mu się dość szybko stworzyć własną, cenioną w wielu krajach firmę i jej poświęcał swoje życie. To właśnie z tego powodu stale był w rozjazdach, rzadko zaglądał do domu, a większość czasu spędzał w odległych, dzikich miejscach, zupełnie nie nadających się do małżeńskiego życia.

Merryn próbowała o nim zapomnieć, odkąd Brendan opuścił rodzinny dom. Nie chciała się łudzić, wiedziała, że same marzenia do życia nie wystarczą. Zwłaszcza niespełnione marzenia. Kto wie, może wybrała

GWIAZDKA MIŁOŚCI

pracę stewardessy właśnie po to, by nie mieć czasu na próżne rozmyślania; by jak Brendan żyć na walizkach i nie wiedzieć, co to powrót po ośmiu godzinach pracy do pustego mieszkania? I prawdę mówiąc, sądziła, że jej się udało, że znalazła wreszcie sposób na w miarę bezbolesne życie. Do dzisiaj...

Dzisiaj bowiem przeżyła prawdziwy wstrząs. Brendan powiedział „Cześć, mała”, a ona znów poczuła się dzieckiem, wpatrzoną w swego idola nastolatka.

No właśnie. Mała, dzieciak... Czy dla niego nigdy wystarczająco nie dorośnie?

Zaraz potem powiedział jednak: „Widzę, że jesteś już dorosła.”

Tak, masz rację, Brendanie, myślała. Jestem dorosła, nawet nie wiesz, jak bardzo...

Następnego ranka, tuż po przebudzeniu, Brendan Grey przez kilka chwil nie wiedział, gdzie się znajduje. Potem poczuł znajomy sufit, a kiedy za oknem zobaczył jasno świecące słońce i poczuł wilgotne, gorące powietrze, wiedział już, że jest w domu, w Brisbane, w samym środku lata.

Skrzywił się i ukrył twarz w poduszce. Biorąc pod uwagę interes firmy, powinien być teraz zupełnie gdzie indziej. Oczywiście, należało odwiedzić matkę, ale przecież mógł na to poświęcić kilka dni, a tymczasem w samym środku realizacji trudnego kontraktu wziął sobie cały miesiąc urlopu. Dlaczego? Po co? Co za licho go podkusiło? Czyżby dlatego, że zbladła trochę satysfakcja i ra-

dość, jakiej dostarczało mu trudne zadanie budowana tam, dróg i mostów, które miały zapewnić lepsze życie na ziemi? Tak, musiał przyznać, że opuścił go nieco młodzieńczy idealizm i ogarnęło pewne zniechęcenie. Nie wiedział tylko, dlaczego stało się to właśnie teraz.

Przez okno dobiegł go charakterystyczny plusk wody, jaki towarzyszy doświadczonemu pływakowi skaczącemu wprawnie do basenu. Jęknął cicho, wiedział, że już nie zaśnie. Odwrócił się na plecy i wsunął ramiona pod głowę.

Merryn. To pewnie ona postanowiła zażyć rano kąpieli. Zawsze była pierwsza do pływania. Pamiętał ją jako małą dziewczynkę bez przednich zębów, potem jako podlotka z aparatem dentystycznym, a wreszcie jako nieśmiałą nastolatkę o patykowatych nogach i rękach. Jak to możliwe, że tamta dziewczyna zmieniła się w tę obecną - piękną, dojrzałą, intrygującą. Takiej Merryn nie znał.

Oczywiście, było w niej wiele dawnych cech. W wielkich, szarych oczach kryła się inteligencja, w spojrzeniu, ruchach, gestach znać było wewnętrzny spokój, opanowanie i siłę. Wiedział, że taka właśnie jest Merryn, a jednak w przedziwny sposób tego wszystkiego nie widział. Może nie chciał widzieć? Dopiero teraz...

Wstał i podszedł do okna. To rzeczywiście była ona. Pływała spokojnie, przemierzając kolejne długości basenu, staranna i dokładna w ruchach, których sam kiedyś ją nauczył. Inna Merryn, dojrzała, dorosła.

Brendan wyjął z walizki kąpielówki, przebrał się

GWIAZDKA MIŁOŚCI

szybko i wybiegł na zewnątrz. Wziął krótki rozbieg po czym skoczył do wody; szczerze mówiąc, trochę mniej wprawnie niż ona.

Merryn natychmiast się zorientowała, że w basenie me jest sama. Woda rozprysnęła się z hukiem, wytrącając ją z równego rytmu, i po chwili obok niej wynurzyła się mokra głowa.

- Ach, to ty! - zawołała. - Myślałam, że jeszcze spisz.

- Już nie. Zawsze byłeś rannym ptaszkiem, co?

- A ty winisz mnie za to, że nie mogłeś sobie dłużej pospać, co? - odpowiedziała, utrzymując się na powierzchni wody.

- Fakt. Narobiłaś straszego hałasu - zażartował a widząc oburzenie w jej oczach, roześmiał się głośno! - Nie przejmuj się. I tak już nie spałem.

Kiedy usłyszałem twój skok, nie mogłem sobie odmówić porannej kąpieli.

- Dobrze, że mi to mówisz, bo byłam straszliwie przejęta.

- A nie byłaś? - zapytał poważniej. - Wiesz, mam dziwne wrażenie, że moja osoba bardzo cię denerwuje.

- Niby dlaczego? - Merryn stanęła w płytkiej wodzie i odgarnęła włosy do tyłu.

- Nie wiem. - Brendan wynurzył się obok niej.

- To niedorzeczne - zaprzeczyła szybko. Jednym zwinnym ruchem dźwignęła się na krawędź basenu i sięgnęła po puszysty, różowy ręcznik.

- Dopiero przyjechałeś, a przedtem nie widziałam cię całe trzy lata.

133

Brendan pozostał w wodzie i przez chwilę podziwiał jej szczupłe, opalone ciało w prostym, czarnym, doskonale skrojonym bikini, dopóki nie otuliła się szczelnie ręcznikiem.

- Więc nie jesteś na mnie zła? - zapytał w końcu i wyszedł z basenu.

- Nie. - Merryn przeczeswała włosy palcami. Wyraźnie unikała jego wzroku. - Dlaczego miałabym być zła?

- Może myślisz, że zaniedbałem matkę. Merryn westchnęła z ulgą. Spodziewała się bardziej kłopotliwego tematu.

- Nawet jeśli tak myślałam, to teraz trudno *by* mi było mieć pretensje. - Odważyła się spojrzeć na niego, a nawet zdobyła się na nikły uśmiech. - Sonia nie posiada się z radości. Ale i przedtem tak nie myślałam

- dodała cicho. Usiadła bokiem na wiklinowym, ogrodowym szezlongu i wystawiła twarz do słońca.

- W takim razie chodzi o coś innego.

- Nic podobnego. - Przełknęła nerwowo ślinę. - Coś sobie ubzdurałeś.

- Posuń się. - Zignorował jej słowa i usiadł obok niej. - Jesteś tego pewna?

- wrócił do głównego wątku.

- Nie chciałbym, żeby między nami były jakieś tajemnicze niedomówienia. - Ujął jej dłoń i spojrzał na nią uważnie. Paznokcie miała wspaniale wypielęgnowane. Na palcach nie zobaczył ani jednego pierścionka.

- Jestem najzupełniej pewna - odparła Merryn i chrząknęła niespokojnie, bo jej głos niespodziewanie przybrał nazbyt matową barwę.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- W takim razie opowiedz mi o tym mężczyźnie, którego traktujesz poważniej niż innych.

Zesztywniała, a ponieważ nadal trzymał jej rękę, Brendan doskonale to wyczuł.

- Cóż, tak naprawdę to jeszcze nic poważnego. Może w przyszłości... -

Merryn słuchała z zaskoczeniem własnych słów. - To szwagier Michelle, brat Raya. Nazywa się Steve. Spotkałeś go na pewno na pogrzebie ojca.

- Ten student medycyny? - Brendan zmarszczył brwi, ale nie wypuścił jej dłoni.

- Teraz jest już stażystą.

- No proszę - bąknął, a ona przypomniała sobie nagle, że Ray i Brendan nigdy za sobą nie przepadali. Prawdę mówiąc, ona sama nie lubiła za bardzo męża Michelle. Był prawnikiem, przejął rodzinną kancelarię Greyów zamiast Brendana, przez co woda sodowa uderzyła mu do głowy. Tak samo zresztą, jak jego żonie.

- Całkiem nie przypomina Raya, jeśli o to ci chodzi - zapewniła pośpiesznie.

- Mam nadzieję. Nigdy nie widziałem większego osła.

- Nie nazwałabym Raya osłem, ale masz rację. - Merryn prychnęła rozbawiona. - W każdym razie Ray nie jest w moim typie.

- To jego brat. Pewne cechy mogą mieć wspólne.

- Daj spokój...

- Może jeszcze tylko tego nie widać.

- Steve naprawdę jest inny - powtórzyła stanowczo.

- No dobrze. A co o tym myśli Michelle?

Merryn sama była ciekawa, co pomyślałaby Michelle, gdyby cokolwiek podejrzewała. A przecież nie podejrzewała niczego, bo nie mogła podejrzewać. Mogła jedynie zauważyć, że jej szwagier zwraca czasami uwagę na Merryn, to wszystko.

- Michelle? Czy sugerujesz, że mogłaby mieć cos przeciwko temu?

- Nie wiem. Może ty się domyślasz?

- Wiem tylko, że Michelle lubi wszystko organizować za innych.

- Byłby z niej doskonały generał - uśmiechnął się Brendan. -

Wytrzymujesz z nią jeszcze?

- Szczerze? Staram-się ją ignorować - wyznała. -A tak przy okazji, postanowiłam, że w sprawie świątecznego obiadu postawię w tym roku na swoim.

- Słyszałem.

- Zgodzisz się chyba ze mną, że to dobry pomysł? Z potrawami na zimno będzie o wiele mniej kłopotu, a przecież wiesz, jaka jest twoja mama.

Uważa, że nikt nie potrafi lepiej niż ona upiec indyka, przyrządzić nadzienia orzechowego albo zrobić szynki w galarecie. Uprze się, a potem będzie padać ze zmęczenia. Jeśli zaś zabronimy jej gotować, obrazi się na nas.

- Cała mama.

- Cały jej urok. Przyznała mi jednak rację, wyobraź sobie. W tym upale sałatki i inne specjały na zimno będą łatwiejsze i do przygotowania, i do strawienia. Sama dam sobie z nimi radę, zanim Sonia wstanie

- Jestem za. To wspaniały pomysł - przytaknął

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Brendan, patrząc w jej błyszczące oczy. - Sypiasz z tym Steve'em? - zapytał niespodziewanie, gdy Merryn już się zdawało, że zdołała niepostrzeżenie zmienić temat.

Z jej oczu natychmiast zniknął radosny zapał, a jego miejsce zajęła dawna rezerwa. Wstała, a on nie próbował jej zatrzymać.

- To nie twoja sprawa - oznajmiła spokojnie.

- Nie? Zawsze mi opowiadałaś o ważnych sprawach w swoim życiu, panno Millar.

- Minęło parę lat. Już nie jestem twoją małą siostrzyczką. I nigdy nią nie byłam. - Zagryzła wargę, po czym odeszła wolno z chłodnym wyrazem twarzy.

Brendan patrzył za nią z namysłem, a gdy zniknęła w salonie, wstał szybko i wskoczył do basenu.

Rozdział 2

Jeszcze tego samego dnia dom Soni odwiedziła tłumnie cała rodzina, spragniona rozmowy z niespodziewanie przybyłym na święta Brendanem. Zjawiły się Rox i Michelle, z kompletem dzieci, ale bez mężów, ponieważ dla nich był to normalny dzień pracy.

Merryn ze wzruszeniem patrzyła, jak Michelle i Rox radośnie witają się z bratem, pierwsza wysoka, zgrabna, elegancko ubrana, o włosach w takim samym kolorze jak włosy Brendana, druga drobna, jasna, o psotnym wyrazie twarzy.

Ta rodzinna sielanka pewnie długo nie potrwa, myślała. Wystarczy byle pretekst i wkrótce wszystko wróci do normy.

I rzeczywiście. Gdy zaczęto rozmawiać na temat świąt, okazało się, że Rox i Michelle mają własne, sprecyzowane plany odnośnie świątecznego obiadu. Merryn uparła się przy swoim, a Brendan ją poparł. Przez chwilę Michelle miała bardzo zagniewaną minę, a później zaproponowała, że może w takim razie zaprosi wszystkich do siebie, co oczywiście natychmiast zakwestionowała Rox, proponując, żeby obiad odbył się u niej. Spory te zmęczyły i zirytowały Sonię, więc

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Michelle, przywołana do porządku stanowczym spojrzeniem brata, ugięła się, choć bez entuzjazmu.

Ostateczny kres kłótni położyło odkrycie, że kochani milusińscy, czyli Damien i Dougal, uzbrojeni w nożyce krawieckie, postanowili całkowicie za darmo, ale za to przymusowo, ostrzyć młodsze dzieci. Jedne uznały to za doskonałą zabawę, inne natomiast wybuch-nęły głośnym płaczem i zaczęły rozpaczliwie wołać o pomoc.

Powstało jeszcze większe zamieszanie. Rox i Michelle pokłóciły się o to, które dzieci są najbardziej niegrzeczne i która z nich jest lepszą matką.

I tylko Merryn jak zwykle była spokojna. Patrzyła na te gorszące sceny i tuliła do policzka Miraadf, prześliczną, trzymiesięczną córeczkę Rox, w głębiej dpzy szczerze ubawiona awanturą.

- Jasny gwint! - zaklął Brendan, wchodząc do kuchni, kiedy o zachodzie słońca udało mu się wreszcie wyprawić obie siostry do domu. - Muszę się chyba czegoś napić. Jeśli tak ma wyglądać małżeństwo, wychowywanie dzieci, to chyba lepiej, że mnie to nie dotyczy!

- Dzieci nie są takie nieznośne, kiedy w pobliżu mają ojców - odparła Merryn z uśmiechem.

- Mam nadzieję! Nie powiesz mi, że cię nie zmęczyły.

- Szybko dojdę do siebie. Może zanieziesz Soni coś do picia? Ja posprzątam i zrobię kolację.

- Mam lepszy pomysł. Zamówmy coś na wynos.

- Miła propozycja, dziękuję, ale nie trzeba. Mam

gotową zapiekankę. Trzeba ją tylko odgrzać. Przygotowałam ją rano, przed wizytą rodziny.

- Jak zwykle jesteś przewidująca. Dobrze, zaniosę mamie drinka i trochę z nią posiedzę. Nie obrazisz się, jeśli zjem z nią kolację na gorze?

- Oczywiście, że nie - zapewniła ciepło. - Sonia będzie szczęśliwa.

Wszystko wam przyniosę.

- A ty do nas nie dołączysz? Nie ma sensu, żebyś jadła sama, kiedy...

- Nie - przerwała mu szybko. - Właśnie myślałam... Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym wyszła wieczorem do miasta?

- Ze Steve'em?

- Nie. - Urwała. Zastanowiła się, czy zrobiła słusznie, zafijaaczając. - Sklepy są dzisiaj otwarte dłużej, a ja jeszcze nie zaczęłam myśleć o świątecznych prezentach. Położę trochę po sklepach.

- Jasne, idź. Dlaczego miałbym cię zatrzymywać? Ale przecież i tak możesz zjeść razem z nami.

- Zjem coś na mieście. Będę miała więcej czasu.

- W takim razie nie zwlekaj. Sam potrafię odgrzać zapiekankę.

- No, nie wiem...

Niespodziewanie chwycił ją za rękę i pocałował troskliwie w czoło.

- Ale ja wiem, panno Millar. Rób, co ci każę.

Mniej więcej trzy godziny później Merryn zaparkowała w garażu swój elegancki, mały samochód i uginając się pod torbami, weszła do domu.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Zerknęła w górę i zobaczyła, że w pokoju Soni zgasło już światło, ale telewizor w salonie jest włączony. Kiedy szła korytarzem do siebie, z salonu wyłonił się Brendan i wyjął zakupy z jej rąk.

- Nie musiałaś kupować wszystkiego za jednym razem. - Położył pakunki na kanapie i wyłączył telewizor.

- To jeszcze nie wszystko, tylko prezenty dla dzieci - wyjaśniła Merryn. - Może już zapomniałeś, ale jest ich siedmioro.

- Pamiętam, pamiętam... - wymamrotał. - Napijesz się czegoś?

- Zrobię sobie herbaty. Jak się miewa Sonia?

- W porządku. Zasnęła. Poczekaj, zaraz ci przyniosę.

Kiedy wrócił z ustawioną na tacy filiżanką, Merryn siedziała na podłodze, otoczona zakupionymi prezentami.

- Dla bliźniaków wybrałam coś mądrego - powiedziała, unosząc wzrok znad dziecięcej encyklopedii, Wiem, że lubią czytać, jeśli oczywiście uda się je namówić, żeby na chwilę usiadły. Co o tym sądzisz?

- Sądzę, że z tymi chłopcami trzeba najpierw coś zrobić - stwierdził, podając jej filiżankę - a dopiero potem dawać im prezenty. Może wysłać ich do poprawczaka?

Merryn roześmiała się i pokazała mu upominki dla innych dzieci.

- Te drobiazgi włożę im do skarpet, które zawsze w Wigilię wieszają na kominku. - Wypiła łyk herbaty. Brendan usiadł naprzeciwko niej i spojrzał na nią uważnie.

141

- Bardzo jesteś z siebie zadowolona.
- Lubię kupować świąteczne prezenty, zwłaszcza dla dzieci.
- Szkoda, że cię nie poprosiłem, żebyś kupiła je za mnie.
- Mogę to zrobić - zaproponowała. - Z przyjemnością.

Roześmiał się.

- Nie, żartowałem. Przyda mi się jakieś zajęcie.

Merryn uzmysłowiła sobie, że podczas gdy ona chodziła po sklepach, on zjadł kolację z matką, a potem siedział tu samotnie i oglądał telewizję. Tak bardzo to do niego nie pasowało, zszarpane czoło i zapytała:

- Do kiedy zamierzasz tu zostać?
- Wziąłem miesiąc wolnego.
- Tak długo? - zdziwiła się.
- Owszem, długo. W każdym razie tak zarezerwowałem bilet powrotny.
- Pewnie interesy nie idą najlepiej - odezwała się po chwili milczenia.
- Przeciwnie. Idą znakomicie. Właściwie to rzeczywiście nie ma powodu, dla którego powinienem tu siedzieć dłużej niż tydzień.
- Więc co się stało? - zapytała wprost.
- Sam nie wiem. Ostatnio czuję jakiś... niepokój. Poza tym od lat nie miałem dłuższego urlopu, więc może potrzeba mi odpoczynku. -
Wzruszył ramionami, jakby chciał zrzucić z nich jakiś ciężar.
- A w firmie dadzą sobie bez ciebie radę?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Zamówiłem już tutaj faks. - Uśmiechnął się krzywo. - Zawsze można się ze mną skontaktować.

- Ale po co miałbyś siedzieć tu cały miesiąc? To znaczy... - zmitygowała się szybko, widząc jego niezbyt szczęśliwą mię - chodzi mi o to, że mógłbyś pojechać gdzieś na prawdziwe wakacje. Nie wiem...

Po-żeglować, powylegiwać się na plaży, co lubisz...

- Próbujesz się mnie pozbyć?

- Nie - odparła spokojnie. - Oczywiście, że nie. Tylko obawiam się, że jeśli utkwisz tu na cały miesiąc, to oszalejesz.

Spojrzał na nią z namysłem. Na zakupy przebrała się w obcisłe białe spodnie i jedwabną bluzkę w kolorze khaki. We włosach miała srebrzystą opaskę. Nawet po trzech godzinach intensywnych zakupów wyglądała świeżo i elegancko, chociaż miała na sobie codzienny strój. Nie umalowała się przesadnie, lecz widać było, że jest doskonale zadbana, od czubka starannie uczesanej głowy, przez wypiełgnowane dłonie, aż po obcasy srebrzystych pantofli. Zastanawiał się, czy teraz zawsze jest taka - piękna, spokojna i opanowana w każdej sytuacji.

- Był tu twój przyjaciel - odezwał się po chwili ciszy, jakby nie słyszał jej poprzednich słów.

- Mój przyjaciel?

- Steve.

- Och... W jakiej sprawie?

- Z pewnością nie przyszedł tu, żeby zobaczyć się ze mną - odpowiedział ironicznie. - Postanowił zabrać cię do kina.

- Powinien był najpierw zadzwonić.

- Tak też mu powiedziałem. Wysłuchał mnie uprzejmie, a potem polecił mi, żebym ci przekazał, że masz do niego zadzwonić.

Merryn zwilżyła wargi. Wyraźnie widziała, że dusza Brendana jest niespokojna. Targały nim jakieś wyjątkowo silne uczucia. Stąd ta ironia, ta złośliwość, ta zazdrość. No, może nie zazdrość. Chciałaby, żeby Brendan był o nią zazdrosny, ale to chyba nie wchodziło w grę.

A może ten niepokój duszy wywołała jakaś inna kobieta? Może tym razem, wyjątkowo, nie mógł jej zdobyć? Może to tłumaczyło jego kpiący stosunek do jej domniemanego romansu ze Steve'em? Bo chyba nie dlatego tak pogardliwie się o nim wyraża, że Steve jest bratem Raya? A zresztą, co go to wszystko może obchodzić?

- Rozumiem, że nie lubisz Steve'a - odezwała się spokojnie - ale...

- Ani lubię, ani nie lubię - przerwał jej szybko. - Sama powiedziałaś, że to nie moja sprawa. Jeśli miałbym powiedzieć coś na jego temat, to tylko tyle, że wydaje mi się jakiś... pospolity. - Wzruszył ramionami i odstawił filiżankę na stolik obok. - Zbyt pospolity jak dla ciebie.

Merryn przełknęła ślinę przez ściśnięte gardło. W tej chwili nie pamiętała, że i jej Steve wydawał się mało oryginalny.

- To przyzwoity chłopak - oznajmiła sztywno. - Jest pracowity, szczerze troszczy się o pacjentów...

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Jeśli myślisz, że to wystarczy, żeby stworzyć szczęśliwy związek... żeby oszaleć w łóżku i poza nim... to czeka cię smutne rozczarowanie, moje dziecko - powiedział z zabójczą wręcz łagodnością.

- To pewnie opinia eksperta w tej dziedzinie? - odcięła się ostro.

- Słowa doświadczonego człowieka - odparł cicho. - Potraktuj je jak radę starszego brata.

- I właśnie dzięki temu doświadczeniu siedzisz tu teraz i prawisz mi kazania, choć sam nie masz ani żony, ani nikogo bliskiego?

Uniósł brwi, ale był to grymas rozbawienia, nie gniewu.

- Bardzo się zdenerwowałaś, panno Millar. Dlaczego?

Merryn uśmiechnęła się blado i zbyła jego pytanie.

- Oczywiście, najlepiej się wykręcić, a potem patrzeć na mnie z pełną męskiej wyższości miną! Jeśli ten niepokój duszy, o którym mówiłeś, to tylko inne określenie nudy, jeśli dlatego postanowiłeś odgrywać wobec mnie rolę ojca, to...

- Ojca? - przerwał jej łagodnie. - Z biologicznego punktu widzenia byłoby to niemożliwe. Jestem za młody.

- No to rolę starszego brata. Już ci mówiłam, że nim nie jesteś - rzuciła z wściekłością. - Wszystkim nam wyjdzie na dobre, jeśli szybko znajdziesz sobie jakieś zajęcie, a mówiąc bez ogródek - kobietę.

- Skąd ci przyszło do głowy, że potrzebuję kobiety?

- Większość mężczyzn tego potrzebuje.

- Co za banalna uwaga. - W jego oczach pojawiły się figlarne ogniki. Merryn jęknęła z rezygnacją i zaczęła wkładać prezenty do toreb. - Czyżbyś przez te lata stała się autorytetem jeśli chodzi o mężczyzn? Słyszając te słowa, znieruchomiała. Spojrzała na Brendana, żeby sprawdzić, czy nie żartuje, ale w jego oczach dostrzegła jedynie autentyczną ciekawość.

- Ja... - chciała powiedzieć coś, co ucięłoby tę nieprzyjemną wymianę zdań, ale jakoś nie potrafiła znaleźć właściwych słów.

- Nie podoba ci się, że zadałem ci takie pytanie? Ty sama bez skrpułów wysuwałaś wobec mnie śmiałe przypuszczenia.

- Posłuchaj... - Merryn odezwała się wreszcie. -Może niepotrzebnie mówiłam pewne rzeczy, ale naprawdę nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego nagle znalazłeś się tutaj, w takim... w takim stanie.

- W jakim stanie? Zblazowany i znudzony? Bez żadnych trosk i zobowiązań?

- Nie! - odparła i popatrzyła prosto w jego kpiące oczy. - Jeśli chcesz wiedzieć, to podejrzewałam, że zakochałeś się w kimś bez wzajemności. - Rozłożyła ramiona i spojrzała na niego z troską. - Naprawdę jesteś inny, Brendan. To, co powiedziałam, tłumaczyłoby twój cynizm. Jesteś zgorzkniały...

- Nie jestem.

- Akurat. . .

- Naprawdę nie - powtórzył, nieco zmieszany jej uwagą. - W każdym razie chciałbym cię uspokoić,

Merryn. Nie cierpię z powodu odtrąconych uczuć **ani** nie szukam żadnej kobiety. Po prostu... - Na chwilę! jego oczy rozjaśnił przekorny uśmiech, który zgasił równie prędko, jak się pojawił. - Po prostu dziwi mnie j to, że taka wspaniała kobieta, jak ty, która z pewnością! ma wiele innych ofert, zadaje się z jakimś nudnymi nadętym Steve'em. 1 Merryn popatrzyła na niego zdumionym wzrokiem! Nie bardzo wiedziała, co ma odpowiedzieć. W końcu! zamrugła powiekami i powiedziała bez przekonania: 1

- Twoja matka go lubi. I

- To niech sama się z nim spotyka. |

- Wiesz, że Sonia nigdy nie przepuści okazji, żeby 1 kogoś wyswatać. 1

- Nie mów, że robisz to po to, żeby zrobić jej przy- 1 jemność. 1

- Boże, co ja takiego robię? Jesteś pewien, że twój] stosunek do Steve'a nie jest spowodowany niechęcią 1 do Raya?

- Merryn...

- Przecież ledwie go znasz! - Wstała i chaotycznie zgarnęła zakupy. - Zresztą, wcale nie mam zamiaru wychodzić za niego za mąż. On jest nudny, a ty niesprawiedliwy. Idę spać. Dobranoc.

Brendan również wstał i pomógł zebrać jej pakunki. Zamiast jednak pozwolić je zanieść na górę, odebrał torby i położył je na kanapie.

- Co robisz? - zaprotestowała.

- To.

Z tymi słowami wziął ją w ramiona.

- Brendan...! Ja... - Zaskoczona nie wiedziała, co powiedzieć.

- Oskarżyłaś mnie o to, że prawię ci kazania i że jestem kobieciarzem. Zapewniałaś, że masz poważne zamiary wobec człowieka, do którego nic nie czujesz, więc...

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Nie zauważyłem choćby śladu zadowolenia z powodu tego, że był tu dzisiaj i chciał cię zaprosić do kina. Pomyślałem więc sobie, że zademonstruję ci, jak to wygląda, jak to jest, kiedy człowiek się zakocha. Mężczyzna, panno Millar, może posiadać wszelkie chwalebne cechy, ale jeśli nie rozpak cię do białości, nie warto się z nim wiązać - powiedział cicho, po czym pochylił głowę i pocałował ją namiętnie.

Merryn gorączkowo próbowała nie myśleć o tym, że oto ziścił się wreszcie jej sen. Zamiast tego pytała się w duchu, dlaczego Brendan to robi, jak udało jej się w to wplątać i jak się z tego wyplącze. Nic jednak nie zmieniało faktu, że całował ją właśnie jedyny mężczyzna pod słońcem, którego pocałunków naprawdę pragnęła.

Oczywiście, w wieku dwudziestu czterech lat miała już za sobą pewne doświadczenia, niektóre z nich nawet dość miłe. Zawsze jednak odczuwała po nich dziwną pustkę i zawód. Teraz zaś...

Teraz czuła, że jej ciało pasuje do ciała Brendana wprost idealnie, że razem tworzą jakby jedno pełne życia ciało. Gwałtownie reagowała na dotyk męskich dłoni, wspartych na jej biodrach, na usta dotykające

GWIAZDKA MIŁOŚCI

jej ust, na gorący oddech na policzku. Całował ją delikatnie, potem mocniej, a ona chciała przytulić się doń ciaśniej, otoczyć jego szyję ramionami, przeczesać palcami włosy. Pragnęła, żeby rozpiął jej bluzkę i dotknął piersi...

I jeszcze więcej - chciała się z nim połączyć, stać się z nim jednym ciałem i jedną duszą.

Gdy tylko zdała sobie sprawę z tych pragnień, wpadła w panikę i wyrwała się z ciasnych objęć Bren-dana. Podtrzymał ją, gdyż się zachwiała, a potem odruchowo wygładził kołnierz jej bluzki.

- Jeśli mi powiesz, że nie powinienem był tego robić, to będziesz miała rację - oznajmił cicho. - Ale jeśli ci to otworzy oczy i uświadomi, czego powinnaś szukać...

Merryn nie chciała tego dłużej słuchać. Zostawiła prezenty na kanapie i pobiegła do swojej sypialni. Zamknęła za sobą drzwi na klucz i bezradnie usiadła na łóżku. Kiedy zaś wreszcie się rozebrała i ułożyła w pościeli, zrobiło jej się tak smutno, jak jeszcze nigdy dotąd.

- Trochę się martwię o Brendana - oznajmiła Sonia przy śniadaniu. Siedziały same na tylnej werandzie, gdyż Brendan wyszedł gdzieś wcześniej rano i jak dotąd nie wrócił.

Merryn miała ochotę powiedzieć kilka gorzkich słów, ale spytała tylko:
- Dlaczego?

- Jeszcze nigdy go takim nie widziałam. - Sonia zmarszczyła brwi. - A ty?
- Trudno mi powiedzieć. Ostatnio spotkałam go trzy lata temu.

- Ale przedtem... Wydawało mi się, że tak dobrze się rozumiecie.

Merryn uśmiechnęła się odruchowo.

- Tak... jak brat i siostra. Teraz myślę, że Brendan robił to wszystko z litości. Było mu mnie żal.

- Czy ja wiem? Od samego początku traktował cię zaskakująco serdecznie. No, może nie było to takie zaskakujące - poprawiła się szybko. - Wszyscy cię pokochaliśmy jak członka własnej "rodziny. Ale zawsze mi się wydawało, że między wami jest coś więcej.

- Tak ci się wydawało?

- Widziałam, że czasami rozumiesz go lepiej niż jego własne siostry.

- Ja... - Merryn urwała. Postanowiła nie komentować tego zdania. - Powiedział mi, że od lat nie brał dłuższego urlopu. Może właśnie na tym polega jego problem?

- Sama nie wiem. Wyczuwam tylko, że jest jakiś inny. Czasami przypomina mi rozgniewanego tygrysa, krążącego w poszukiwaniu ofiary.

- Dobre porównanie. - Merryn przeszedł dreszcz. Tak właśnie czuła się wczoraj - jak ofiara głodnego drapieżnika.

- Już wiem! - ożywiła się Sonia. - Poproszę o pomoc Rox i Michelle. Namówię je, żeby zorganizowały

GWIAZDKA MIŁOŚCI

dla brata powitalne przyjęcie. Nadal utrzymują kontakty z dawnymi znajomymi, a kiedy dowiedziały się, że świąteczny obiad zjemy u mnie, zrobiły takie zawiedzione miny, prawda? W ten sposób będą miały się czym zająć, a Brendan wpadnie w wir życia towarzyskiego i zapomni o swych smutkach. Co ty na to?

Merryn miała ochotę powiedzieć, że Brendan nie potrzebuje pomocy, żeby sobie zorganizować życie towarzyskie, ale w oczach Soni zobaczyła tyle zapału, że zrezygnowała z wyrażenia tej opinii.

- Na pewno będzie mu miło - bąknęła.

- Oczywiście nic mu nie powiemy o naszych planach. Przynajmniej na razie. To będzie niespodzianka. Oho, chyba o wilku mowa... - Sonia uśmiechnęła się, słysząc nadjeżdżający samochód. I rzeczywiście nie-
długo potem Brendan zjawił się na werandzie.

.Spojrzał czujnie na matkę, potem na Merryn, zmrużył powieki i zapytał wprost:

- No dobrze... Co to za sekret?

- Nie rozumiem, o czym mówisz. - Sonia zrobiła niewinną minę.

- Wyglądacie jak małe dziewczynki, które dobrały się do słoja z konfiturami.

- Tylko ci się wydaje. - Sonia roześmiała się wesoło.

- Czyżby? Zobaczymy... Dzień dobry, Merryn!

- Dzień dobry - odparła i czekała z niepokojem na kolejne słowa Brendana, wstrzymując oddech i unikając jego wzroku. On jednak zmienił temat.

- Co o tym sądzicie? - zapytał, kładąc na stole ulotkę reklamową ze sklepu z zabawkami.

- Domek do zbudowania na drzewie, do zabawy dla dzieci... - powiedziała powoli Sonia, patrząc na fotografię.

- Tak, domek do zabawy - potwierdził z entuzjazmem Brendan. - Można go umocować na drzewie albo postawić na ziemi. Na przykład pod mangowcami, żeby dzieci, wychodząc z niego, mogły wspinać się po gałęziach.

- Hm, chcesz powiedzieć, że go kupiłeś? - z niedowierzaniem spytała Sonia.

- Jak tylko go zobaczyłem! Jest w częściach, a ja zamierzam złożyć go z pomocą tych dwóch małych potworów, Damiena i Dougala. Powiem wam prawdę, natchnęła mnie wczorajsza rozmowa z Merryn. To będzie gwiazdkowy prezent od wujka Brendana dla wszystkich dzieciaków.

- Znakomity pomysł! - Sonia podchwyciła jego entuzjastyczny ton. - Nareszcie będziesz miał jakieś zajęcie. Kiedy przyślą części?

- Dziś po południu.

- W takim razie i ja mam wspaniały pomysł. Umebluję ten domek. To będzie prezent od babci. Merryn, mogłybyśmy wybrać się dzisiaj na zakupy?

- Ależ oczywiście! - odparła Merryn, szczęśliwa, że Sonia po raz pierwszy po operacji zapragnęła wyjść z domu. No proszę, a jednak Boże Narodzenie to naprawdę niezwykły czas.

Jako że pojechały do miasta od razu, zdążyły przed

GWIAZDKA MIŁOŚCI

popołudniowym szczytem i uniknęły tłoku w sklepach i korków na ulicach. Uwinęły się szybko i wróciły do domu roześmiane, objuczone pakunkami i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

- Widzę, że czeka nas dużo pracy - zauważyła Mer-ryn, kiedy rozpakowywały sprawunki, wśród których znajdował się materiał na zasłony do dziecięcego domku.

- Bardzo dużo - przytaknęła Sonia. - Ale dzięki temu ogarnął mnie wreszcie świąteczny nastrój. A tak przy okazji - dodała, konspiracyjnie zniżając głos. - Z Michelle i Rox wszystko już załatwione. Przyjęcie odbędzie się w następną sobotę. Jesteś zaproszona.

- A ty?

- Nie, nie, to będzie spotkanie młodych!

- Nie chciałabym cię zostawiać samej...

- To również załatwiłam - oznajmiła Sonia stanowczo. - Poproszę swoją przyjaciółkę, Mary Eaves, żeby została ze mną na noc. Ona też jest wdową. Damy

sobie radę. Domyślasz się, jak bardzo Rox i Michelle są szczęśliwe. Wreszcie będą mogły zaprezentować swoje najnowsze kreacje.

- Oczywiście.

- Ty też powinnaś sobie kupić coś wystrzałowego. Pomyślałam, że mógłby to być mój świąteczny prezent dla ciebie.

- Ależ Soniu, naprawdę nie musisz tego robić. Przecież...

- Nalegam, moja droga!

Merryn westchnęła z rezygnacją. Sonia bywała czasem równie uparta, jak jej dzieci.

153

- Jesteś cudowna. Ale czy Brendan już wie?

- O przyjęciu? Jeszcze nie. Zostawiam to Rox i Michelle. Chyba nie będzie robił problemów, jak sądzisz?

- No... chyba nie - odparła Merryn bez przekonania. Jak się później okazało, jej wątpliwości były uzasadnione.

Rozdział 3

- Kto, u diabła, wpadł na ten pomysł? - grzmiał Brendan sześć dni później, w przeddzień planowanego przyjęcia.

Merryn od początku obawiała się takiej reakcji. Nie spodziewała się tylko, że Brendan dowie się wcześniej o ich planach. Wszyscy trzymali je w tajemnicy, żeby zrobić mu niespodziankę, jednak Damien i Dougal wygadali się któregoś dnia przed wujkiem w trakcie wspólnego budowania domku.

Nawiasem mówiąc, chłopcom bardzo się spodobała ta wspólna budowa pod kierunkiem dorosłego mężczyzny, co tylko cieszyło ich matki.

Zadowolone były również Sonia i Merryn, chociaż z nieco innego powodu. Im sprawiało radość to, że Brendan wyraźnie odprężył się przy tej pracy. Stał się pogodny, wesoły, taki jak kiedyś...

Oczywiście do tej chwili, gdyż teraz stał właśnie przed matką oraz Merryn i wyglądał niczym Zeus ciskający gromy.

- Co ci się w tym pomysle nie podoba? - zapytała potulnie Sonia.

Przysunął krzesło do stołu, przy którym jadły lunch

na werandzie, i usiadł z rozmachem. Był rozgrzany od pracy, we włosach miał wióry, dłonie mocno zaciskał na blacie.

- Założę się, że to pomysł Michelle. To do niej podobne. Dlaczego jej na to pozwoliłyście? Ostatnia rzecz, jakiej pragnę, to oficjalne przyjęcie na moje powitanie!

Merryn postawiła przed nim talerz i nalała mu soku do szklanki. Na stole stały już półmiski z zimnym mięsem i sałatką, dzbanek soku owocowego i ciepłe bułeczki.

- Dlaczego tak przed tym się wzbraniasz? - odezwała się Sonia, on jednak nie odpowiedział na pytanie, tylko nagle zwrócił się do Merryn.

- A może to twój pomysł?

- Nie, nie mój - odparła spokojnie, chociaż bardzo ją złościł jego ton i cała ta scena. - Skąd takie przypuszczenie?

- To ty mi radziłaś, żebym znalazł sobie kobietę - wycedził przez zęby. - Może obmyśliłaś jakiś podstęp, żeby mi pomóc.

- Bren! - skarciła go Sonia. - Daj jej spokój! Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to był mój pomysł.

Brendan z niedowierzaniem spojrział na matkę.

- Twój? Po co to zrobiłaś?

- Wydawało mi się, że się nudzisz. Trochę się o ciebie martwiłam, to wszystko.

- Nie pójdę.

- Nie przesadzaj. Nie chcesz chyba unieszczęśliwić swoich sióstr? Są bardzo przejęte i włożyły wiele wy-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

siłku, żeby przygotować wszystko w tak krótkim czasie. A poza tym - zawiesiła na chwilę głos - przy okazji przestały się kłócić...

- Dobrze i to... - W oczach Brendana pojawiły się iskierki rozbawienia. - W porządku, przekonałaś mnie. Zgodzę się na wszystko, mamie, jeśli obiecasz, że po tej nie będzie już żadnych innych niespodzianek.

Sonia odetchnęła z ulgą.

- Oczywiście, obiecuję. Aha, możesz tam iść z Merryn. Będziesz lepiej się czuł w jej towarzystwie. Jej nowa suknia, którą kupiłam jej na gwiazdkę... Zresztą sam musisz zobaczyć!

Merryn podniosła oczy znad talerza i natychmiast tego pożalowała.

Brendan patrzył na nią dokładnie tak jak wtedy, gdy rozplakała się przed szkolnym bale.

- Można ją określić jednym słowem: oszałamiająca - oznajmił krótko Brendan, kiedy nazajutrz jechali wspólnie na przyjęcie.

- Nie podoba ci się? - Merryn wzruszyła ramionami. - Nie mów tego matce. Sonia sama ją wybrała. Uparła się, że zapłaci. Ani tego nie potrzebowałam, ani nie spodziewałam się takiego prezentu, ale ona była taka szczęśliwa...

Suknię uszyto z cienkiego, delikatnego jedwabiu w kolorze kości słoniowej. Bez rękawów, z rozcięciem z tyłu, wspaniale podkreślała figurę właścicielki i złotawy odcień jej skóry. Merryn włożyła do niej kolczyki i bransoletkę z pereł, a na nogi zgrabne zamszowe

sandałki na wysokich obcasach. Włosy zaczesła do tyłu i z jednej strony spięła szylkretową spinką, ozdobioną perełkami. Ostatnim dodatkiem była mała zamszowa torebka, w tym samym odcieniu brązu, co ^{Dut}y-

Jak zwykle umalowała się bardzo dyskretnie, użyła jednak szminki, cieni do powiek i tuszu do rzęs, toteż jej oczy wydawały się wielkie i świetliste, a usta lśniły jak płatki kwiatu zwilżone poranną rosą. Wokół niej unosił się delikatny, świeży zapach jej ulubionych perfum.

Brendan włożył po prostu smoking, a wyglądał w nim tak elegancko, że Merryn wstrzymała z zachwytu oddech, gdy zobaczyła go po raz pierwszy.

- Nie wątpię, że Steve wpadnie w zachwyty - odezwał się uszczypliwie znad kierownicy. - Też tam będzie, prawda?

- Steve? Tylko do północy. Potem ma dyżur.

- Rozumiem. O północy, niczym Kopciuszek, będziesz musiała wrócić do mojej karety z dyni, żeby potulnie wrócić do domu.

Merryn zacisnęła zęby.

- Trudno to nazwać kareta z dyni. - Jechali lśniącym, czarnym BMW, które należało do Soni.

- Tak było w bajce.

- O co ci chodzi? - westchnęła zniecierpliwiona. - Koniecznie chcesz się pokłócić?

- Tak ci się wydaje?

- Właśnie tak. To przyjęcie to wcale nie był mój pomysł.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Cóż, znam lepsze sposoby spędzania czasu, może dlatego jestem taki rozdrażniony.

- To przecież tylko jeden wieczór.

- Mhm. I przez cały ten wieczór będą się mną zachwycały wszystkie niezamężne kobiety, jakie udało się ściągnąć moim kochanym siostrzyczkom. Naprawdę sądzisz, że to dla mnie przyjemność? Bo nie mów mi, że to nie jest główny cel, dla którego mama wymyśliła to przyjęcie.

Merryn skrzywiła się ze zniecierpliwieniem.

- Nie martw się. Kiedy zobaczą cię w takim nastroju, nie będą się zachwycały zbyt długo.

Brendan mocniej zacisnął dłonie na kierownicy, zaraz jednak rozluźnił się i roześmiał.

- Wiesz co? A może uciekniemy?

- Uciekniemy? - Popatrzyła na niego zaskoczona.

- No, pojedziemy gdzieś tylko we dwoje - wyjaś-, nił cierpliwie jak dziecku. - Zjemy razem kolację, potańczymy... Do domu wrócilibyśmy przed północą.

- Chyba nie mówisz poważnie.

Znów przystanęli na światłach. Brendan odwrócił się i spojrzał prosto w jej oczy.

- Dlaczego nie? Jesteś taka spokojna i opanowana. Rozumiem, że już mi wybaczyłaś, więc powinno być miło.

- A czy miałam inne wyjście?

- Nie wiem. - Jeszcze przez chwilę napawał się jej widokiem, a potem ruszył. - Jednak nawet jeśli mi przebaczyłaś, to od naszego pocałunku wciąż wkładasz wiele wysiłku w to, żeby mnie unikać. Niech ci się

nie wydaje, że tego nie zauważyłem - dodał z rozbawieniem.

- Uznałam, że tak będzie rozsądniej. Najwyraźniej nie potrafimy się porozumieć i działamy sobie na nerwy.

- To dziwne, ale kiedy się całowaliśmy, odniosłem całkiem inne wrażenie

- stwierdził, a Merryn poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

- Sam powiedziałaś, że jesteś w tych sprawach doświadczony, więc...

- Więc wydaje ci się, że to tylko kwestia mojej wprawy, doświadczenia? -
Zatrzymał samochód na jasno oświetlonym placu parkingowym przed domem Michelle, w którym miało odbyć się przyjęcie.

- Już ci mówiłam, co myślę - powiedziała i szybko odwróciła wzrok.

Musiła nad sobą panować, jego bliskość wytrącała ją z równowagi, a jego słowa... Znów przypomniała sobie tamten pocałunek i musiała szybko odgonić to budzące spokój duszy wspomnienie.

- Jak dotąd nic mi nie powiedziałaś, Merryn - wyszeptał, patrząc na jej błyszczące włosy. - Nic naprawdę ważnego.

- Tłumaczyłam ci to, zanim... W każdym razie nie zmieniłam zdania, a twoja mama się ze mną zgadza.

- Niby w czym? Opowiedziałaś jej wszystko?

- Oczywiście, że nie. Ale ona również uważa, że jesteś ostatnio, hm...
bardzo znudzony.

Brendan uśmiechnął się łobuzersko, w kącikach ust utworzyły mu się ledwie widoczne zmarszczki.

- Może macie rację - oznajmił, sięgając do klamki. - Wiesz co? Jednak nie zmieniłaś się tak bardzo. Za-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

wsze byłaś mądrą, poważną i cholernie odpowiedzialną dziewczynką. No dobrze, wejdźmy do środka. Obiecuję, że będę grzeczny.

Przyjęcie Rox i Michelle było gwarne i kolorowe.

Dom zbudowano w typowym dla stanu Queensland stylu, z otaczającymi go ze wszystkich stron werandami. Teraz wisiały na nich świąteczne ozdoby i lampki, połyskiwały bombki i zielone gałęzie. W głównym salonie, zamienionym w salę do tańca, ustawiono wysoką choinkę, ubraną w połyskliwe gwiazdki i barwne światełka.

Sama Michelle prezentowała się wspaniale w zielonej jedwabnej sukni i z zażywnym małżonkiem u boku. Rox promieniała w towarzystwie swego męża. Chociaż raz siostrom udało się powstrzymać od kłótni.

Gdy tylko weszli, Brendan wziął drinka od Raya i nikt by nie odgadł, że za sobą nie przepadają. Natomiast Merryn, która wciąż jeszcze dochodziła do siebie po rozmowie w samochodzie, spostrzegła Steve'a i od razu do niego podeszła.

Wyraz jego oczu, rozbłyskujących radośnie na jej widok, dał jej dziwne ukojenie. Steve nie był wprawdzie zbyt przystojny ani fascynujący, ale przynajmniej nie stanowił żadnego zagrożenia.

W jego bezpiecznym towarzystwie spędziła beztrzesko pierwszą część przyjęcia. No, może nie całkiem beztrzesko. Dręczyło ją lekkie poczucie winy, że robi Steve'owi zbyt duże nadzieje. Nie mogła też nie zwracać uwagi na Brendana, który mimo swoich uprzednich protestów, wydawał się doskonale bawić.

Po wszystkim, co wcześniej mówił, wydało jej się to dziwne. Podchodził do wszystkich samotnych kobiet, rozmawiał z nimi, tańczył, witał starych przyjaciół i stale znajdował się w centrum zainteresowania. A przecież wcześniej nie skontaktował się z nikim z dawnych znajomych.

Z jednej strony ją to irytowało, z drugiej - martwiło, wyczuwała bowiem w jego postawie jakiś fałsz. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Brendan zachowuje się z jakąś rozpaczliwą desperacją, jakby za wszelką cenę chciał udowodnić, że wszystko jest z nim w porządku; jakby coś mu w życiu nie wyszło i próbował teraz zagłuszyć przykrą świadomość tego faktu.

O jedenastej zaproszono wszystkich gości do szwedzkiego stołu, a Steve oznajmił jej z żalem, że musi już wyjść.

- Powinniśmy się częściej spotykać, Merryn - powiedział na odchodne. - Może umówimy się w przyszłym tygodniu? W środę mam wolny wieczór.

Zawahała się. Dlaczego nie, pomyślała bezradnie.

- Dziękuję. Z chęcią poszłabym do kina, ale...

- Chcesz powiedzieć, że nie powinniśmy się śpieszyć? Jasne, rozumiem.

Wiem, że nie zakochałaś się we mnie od pierwszego wejrzenia, ale to przecież nie znaczy, że pewnego dnia... - zawiesił znacząco głos i

pocałował ją lekko w czoło. - Dobranoc, Merryn. Na mnie już czas.

Patrzyła za nim skonsternowana, potem odwróciła się gwałtownie i...

wpadła wprost w ramiona Brendana, który przyglądał się jej ciekawie.

Kto wie, może nawet podsłuchał tę rozmowę?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Mogę cię poprowadzić do stołu? - zapytał.

- Poprowadzić do stołu?

- O ile wiem, poprowadzenie kogoś do stołu oznaczało kiedyś szczególne zainteresowanie tą osobą. A ponieważ nie spotkałem tutaj nikogo, kto by mnie szczególnie zainteresował, wolę nie narażać się na to, że mnie ktoś źle zrozumie - wyjaśnił poważnie, chociaż w jego oczach widać było psotne rozbawienie. - Dlatego postanowiłem poprowadzić ciebie.

- Nie wygłupiaj się, Bren. To tylko...

- Pusty gest? - dokończył za nią. - Być może. Ale czasami na podstawie takich gestów niektórzy stawiają zamki na lodzie. Weźmy na przykład zaproszenie do kina... - Znalazł dla nich wolne miejsce przy zatłoczonym bufecie. - Niby nic, a jakie pole do popisu dla bujnej wyobraźni.

- Jak zwykle złośliwy.

- Raczej troskliwy. Potrzymaj talerze, a ja zdobędę dla ciebie, czego tylko zapragniesz. Oczywiście, jeśli chodzi o jedzenie - dodał, nachylając się nad stołem z półmiskami.

Merryn westchnęła ze zniecierpliwieniem. Znała dobrze ten jego nastrój. Wiedziała, co sądzi o Steve'ie. Najgorsze zaś było to, że przecież ona nie miała w stosunku do tego biednego chłopaka żadnych planów.

A w stosunku do Brendana?

Boże, czy wszystko musi się tak strasznie komplikować?

Stół uginał się od potraw. Był i kurczak na zimno, i wyśmienite pulpeciki na gorąco, krewetki i potrawka

curry, dwa rodzaje makaronu, sałatki, szynka z ananasem oraz rozmaite dania z warzyw.

- Sama nie wiem, od czego zacząć - odezwała się bezradnie.
 - Zdaj się na mnie - zaproponował. - Muszę przyznać, że moje siostry przeszły same siebie.
 - Rzeczywiście, musisz to przyznać - odezwała się Rox, która przypadkiem usłyszała jego słowa. - Jeśli tego nie przyznasz, to cię uduszę. Padam ze zmęczenia.
 - Jestem ci nieskończenie wdzięczny, siostrzo! Wkrótce to udowodnię. Tędy, Merryn - szepnął konspiracyjnie i odciągnął ją od stołu.
 - Dokąd idziemy?
 - Nie mam zamiaru jeść na stojąco albo trzymając talerz na kolanach - oznajmił i poprowadził ją do jadalni, tego wieczora nie udostępnionej gościom. Było tu ciemno, cicho i spokojnie. Brendan zapalił lampę, polecił, by na niego chwilę zaczekała, po czym zamknął za sobą drzwi i zniknął.
- Merryn z wahaniem postawiła talerz na stole. Pokój był duży, w większości pogrążony w mroku, wypełniony imponującą kolekcją drogocennych porcelanowych urn i waz. To zapewne dlatego nie wpuszczono tu gości, domyśliła się szybko. Dzieciom zresztą również zabraniano wstępu do tego pomieszczenia.
- A oto i wino! - Drzwi otworzyły się z rozmachem i pojawił się w nich Brendan z butelką oraz dwoma kryształowymi kieliszkami.
 - Dlaczego to robisz? - zapytała ciekawie.
 - Potrzebuję odpoczynku - odparł lakonicznie

GWIAZDKA MIŁOŚCI

i podsunął jej krzesło. - Nie zaprzeczysz, że do tej chwili byłem duszą towarzystwa.

Merryn uśmiechnęła się, usiadła, odebrała z jego dłoni napełniony kieliszek. Wypiła łyk wina i przez chwilę jedli w niewymuszonym milczeniu. Potem Brendan odłożył widelec i zaczął wpatrywać się w nią z wesołkowatym uśmiechem. Merryn wiedziała już że to gra. Te jego uśmiešky były niczym maska, pod którą krył swe prawdziwe oblicze. Wsparła łokcie na stole i spojrzała na niego poważnie.

- O co chodzi, Bren?

- Lubię patrzeć, jak jesz.

- Wiesz, że nie o to mi chodzi.

- Zdaje się, że już rozmawialiśmy.

- A mnie się zdaje, że ten twój niepokój duszy to naprawdę poważny problem.

- Dlaczego uparcie mi wmawiasz, że mam jakiś problem?

- Bo stałeś się pustelnikiem. A to twoje zachowanie na tym przyjęciu...

Dusza towarzystwa - uśmiechnęła się smutno. - Męczy cię ta rola, przyznaj.

- Kiedyś...

- Wiem, wiem... Kiedyś też nie zawsze cię ciągnęło do rozbawionych tłumów. Ale nie byłeś pustelnikiem. Poza tym, chociaż nie można cię nazwać kobieciarzem, to jednak w twoim życiu były kiedyś jakieś kobiety...

- Chyba nie zamierzasz mi wypominać grzechów młodości?

- Nie miałam takiego zamiaru. To wszystko wydaje mi się po prostu dziwne i podejrzane. Twój nagły przyjazd do domu, jakby wbrew twojej woli, potem twoja reakcja na to przyjęcie...

Brendan milczał, obracając w długich palcach nóżkę kieliszka. Wyraźnie czekał na dalsze słowa ze strony Merryn. Ona zaś dla dodania sobie śmiałości pociągnęła kolejny łyk wina i dokończyła:

- No i wreszcie jesteś ostatnią osobą, po której bym się spodziewała, że zrobi... to, co ty zrobiłeś tamtego wieczoru.

- Chodzi ci o to, że cię pocałowałem?

- Tak. Nie sądziłam, że tak mnie poffaktujesz. Myślałam, że więcej dla ciebie znacę.

- Ależ tak jest! - zapewnił ją gwałtownie. - Znaczysz! I jeśli mi nie udowodnisz, że Steve jest dla ciebie kimś wyjątkowym...

- To bardzo miły człowiek - przerwała mu szybko. Żałowała teraz, że w ogóle zaczęła tę rozmowę.

- Miły? Tylko tyle?

- Posłuchaj - odsunęła talerz - nie wracajmy, proszę, do tego tematu. Mieliśmy rozmawiać o tobie.

- Tak, Merryn, ale... - urwał i spojrzał jej w oczy. Zastanawiał się, czy ta dziewczyna zdaje sobie sprawę, jak pięknie wygląda, jaka jest opanowana i elegancka w tej wspaniałej sukni, z wyrazem troski w szarych oczach, którymi patrzy na niego jak na starszego, niesfornego i trochę postrzelonego brata. Zdaje się, że nie umiała dopuścić do siebie myśli, iż pocałował ją, ponieważ uległ nieodpartemu impulsowi.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

No właśnie, dlaczego nie potrafił się temu oprzeć? I dlaczego tak go drażniły wszelkie wzmianki o bracie Raya? Czy Merryn wiedziała, że jest dla niego jak dwie różne osoby - panna Millar, którą jeszcze niedawno pamiętał jako chudą, nad wiek poważną dziewczynkę, i ta nowa, odmieniona, fascynująco kobieca Merryn?

Zacisnął zęby, ponieważ nagle sobie uświadomił, że Merryn ma rację. Jeśli nawet doszedł do wniosku, że jego dotychczasowe życie nie jest tym, co sobie wymarzył, i że szuka chwilowego pocieszenia w ramionach pięknej kobiety, to z pewnością tą kobietą nie powinna być ona.

Przypomniał też sobie, jak pewnej nocy, dawno temu, po okropnej kłótni, jaką odbył z ojcem, Merryn zjawiała się w jego pokoju w piżamie, z włosami splecionymi w warkoczyki, i położyła na jego biurku swoją ulubioną zabawkę - zniszczoną drewnianą myszkę z pomalowanymi na biało wąsami i różowym ogonem.

wiedział, że ma ją od wczesnego dzieciństwa i że zawsze przed snem wkłada ją sobie pod poduszkę. Tamtej nocy dała mu ją i powiedziała, że może ją zatrzymać na noc. Zniknęła równie cicho, jak przyszła, a on obracał zdezorientowany myszkę w dłoniach, aż wreszcie ku swojemu zdziwieniu poczuł, że rzeczywiście zrobiło mu się lepiej.

- Szkoda, że nie możesz mi dać myszki - powiedział ledwie słyszalnie. Merryn spojrzała na niego ze zdziwieniem, on jednak zamiast tłumaczyć sens swoich słów, powiedział pojednawczo: - Masz rację. Stałem się pustelnikiem. Spędziłem zbyt wiele czasu w odle-

głych zakątkach świata, w samotności, gdzie można się zająć jedynie pracą. Zdziwaczałem trochę i chyba już nie umiem odpoczywać. Ale poza tym nic poważnego mnie nie dręczy. No, i jak dawniej, mam skłonność do robienia głupstw. Przepraszam.

Merryn poczuła, że nagle robi się jej zimno. Skąd ta reakcja? Czy miała nadzieję, że Brendan wyzna, że się w niej zakochał? Co za naiwność! Przecież me może liczyć na nie wiadomo co po jednym przypadkowym pocałunku.

- Merryn? - Brendan popatrzył na nią pytająco. Spojrzała na niego nieobecny wzrokiem. - Zadrzałaś

- powiedział wolno. - Taka gorąca noc... Chyba me jest ci zimno?

- Naprawdę zadrzałam? - zdziwiła się, po czym wstała szybko i wzięła talerz. - Nie mam pojęcia, dlaczego. Czy nie powinniśmy już wracać?

- Zaraz. - Podniósł się i spojrzał na nią uważnie.

- Mam do ciebie pewną prośbę. Będę się starał zachowywać jak cywilizowany człowiek, ale ty mi obiecaj, że nie będziesz przede mną uciekać.

Merryn miała ochotę boleśnie zapłakać.

- Ja?

- Tak, ty. Przecież zawsze przy mnie byłaś. - Popatrzył jej szczerze prosto w oczy. - A teraz uciekasz.

- Tak, Bren. Oczywiście - zgodziła się cicho.

Przez chwilę w jadalni słychać było jedynie tykanie zabytkowego zegara. Zaraz jednak drzwi otworzyły się gwałtownie i ciszę przerwała poirytowana Michelle.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Co wy tu, u diabła, robicie? Sami, zamknięci w jadalni? - zapytała gniewnie, stając w progu.

- Planujemy kradzież twojej chińskiej porcelany - odpowiedział Brendan z poważną miną. - Właśnie wpadliśmy na to, jak przechytryć system alarmowy.

- Bren, ty wariacie! - roześmiała się siostra. - Chodź, mieliśmy wznieść toast za twoje zdrowie...

- Litości, Michelle. Jeśli żywisz wobec mnie choćby resztkę siostrzanych uczuć, nie rób tego, proszę. Zaproponuję coś w zamian, chcesz? - Wziął ją pod ramię i wyprowadził z jadalni. - Może ja wzniosę toast?

- Ale Ray jest już gotowy...

- Ray zawsze jest gotowy - uciał i z rozbawieniem spojrzał przez ramię na Merryn, jakby szukał aprobaty dla swego żartu. - Chciałbym wam publicznie podziękować za to wspaniałe przyjęcie. Nie, nie spieraj się ze mną. Udało nam się przez cały wieczór powstrzymać od kłótni, więc nie psujmy tego!

Merryn podążyła za nimi do salonu, gdzie Brendan wznosił toast za swoje siostry i ich mężów, a potem wygłosił lekkie, dowcipne i inteligentne przemówienie, które wywołało salwy śmiechu wśród zgromadzonych. Potem przygaszono światła, rozległa się muzyka i przyjęcie wkroczyło w kolejną fazę. Jednak Merryn, zamiast tańczyć jak inni, wymknęła się do kuchni, włożyła fartuch i zaczęła porządkować panujący tu barwny rozgardiasz.

Spostrzegła to Rox i próbowała ją powstrzymać.

- Merryn, kochanie, nie musisz tego robić!

- Chociaż w ten sposób wam pomogę - odparła

pogodnie. - Wspaniale się obie spisałyście i należy wam się teraz trochę rozrywki.

- Chyba nieźle się udało, prawda? - Rox ucieszyła się z komplementu. - W każdym razie Brendan bawi się świetnie.

- Tryska humorem.

- Jak zawsze. No dobrze, skoro się upierasz, to sprzątaj. Steve i tak już sobie poszedł - zakończyła Rox z figlarnym uśmiechem, pocałowała Merryn w policzek i wyszła.

Później do kuchni zajrzał Ray.

- Ależ Merryn! Zostaw te porządki.

- Robię to, bo sama chcę. A gdzie się podziały Dzieci?

- Posłaliśmy je na noc do Roxanny. Pilnuje ich opiekunka. A jeśli koniecznie chcesz zmywać to proszę bardzo. Michelle na pewno to doceni. Szkoda tylko, że Steve ma dyżur.

O co im chodzi, zastanawiała się Merryn, zanurzając ręce w wodzie z płynem do zmywania. Czy to jakiś spisek? Owczego wszyscy mnie tu nachodzą? D atego że na półtora miesiąca przyjechałam do domu? I skąd wiedzą, że Steve...

- Tu jesteś, Kopciuszku! Zupełnie jak w bajce - usłyszała tym razem głos Brendana i obejrzała się don z uśmiechem. Stał oparty o framugę drzwi, jakby od dawna ją obserwował. - O tej porze możemy spokojnie opuścić to przyjęcie, prawda? Jest druga teydzieści. Szanowni goście nie muszą więcej oglądać Brena. Merryn wytarła ręce i zdjęła fartuch.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Ja też chyba wystarczająco się wykazałam - odparła żartobliwie. - Gotowy?

- Gotowy i chętny - oznajmił z łobuzerskim uśmiechem. - Oczywiście chętny, żeby grzecznie wrócić do domu.

Na drodze panował niewielki ruch. Jechali najpierw nad rzeką, potem pod górę, cichymi, zielonymi ulicami.

- Nie widziałem dzisiaj żadnego z moich małych przyjaciół - oznajmił Brendan, jakby dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę.

- Siostry zatrudniły opiekunkę i wszystkie dzieci spędzają tę noc u Rox.

- Ciekawe, czy wypłacą jej dodatek za pracę w niebezpiecznych warunkach.

Merryn roześmiała się.

- Nie było alarmujących telefonów, więc pewnie wszystko jest w porządku.

- Wiesz, na co teraz mam ochotę? - zapytał, kiedy skręcili na podjazd do domu. - Na kąpiel w basenie.

- No to śmiało. Ja chyba pójdę spać.

Wjechał do garażu, wyłączył silnik, ale nadal nie wychodził z samochodu.

- Wiesz, mam wobec ciebie poczucie winy. Ze względu na dzisiejszy wieczór - dodał po chwili milczenia.

- Dlaczego? Chyba nie ma najmniejszego powodu.

- A jednak tak właśnie się czuję. - Włączył światło nad głową. - Mam wrażenie, że przeze mnie ten wieczór był dla ciebie wyjątkowo trudny. -

Mimo woli Merryn uśmiechnęła się lekko. - Zgadzasz się ze mną?

171

- Cóż, bywały przyjęcia, na których bardziej beztrosko się bawiłam.
 - No widzisz. Właśnie dlatego mam poczucie winy. Zwłaszcza kiedy pomyślę, że tak pięknie się ubrałaś, a w końcu musiałaś zmywać naczynia.
 - Jakoś to przeżyję. - Znużona oparła głowę o zagłówek.
 - A teraz czuję się jeszcze bardziej winny - powiedział cicho. - Wykap się ze mną. Na pewno jest ci gorąco. Wiem to po sobie... I pewnie jesteś na mnie zła że tak się wzbraniałem przed tym przyjęciem.
- Odwróciła głowę. Na jego twarzy malowało się zmęczenie, a w oczach czułość. CałBrendan. Najpierw zachowuje się nieznośnie, ale potem stara się to nadrobić.
- Nie musisz nic mi wynagradzać.
 - Owszem, muszę.
 - I pewnie nie ustąpisz, dopóki się me zgodzę.'
 - Nie ustąpię. Westchnęła.
 - A obiecujesz, że zaraz po kąpieli pozwolisz mi iść spać?
 - Słowo harcerza.
 - Dobrze. Tylko zachowujmy się cicho, żeby nie obudzić Soni.
- To wcale nie był taki zły pomysł, myślała później Merryn, unosząc się na plecach na powierzchni wody i wpatrując się w rozgwieżdżone niebo nad głową. Chociaż woda nie była zimna - w środku lata nigdy

GWIAZDKA MIŁOŚCI

się to nie zdarzało - to jednak wspaniale odświeżała. Zmęczenie i napięcie zdawało się opuszczać jej ciało, a w ich miejsce pojawiały się nowe siły.

- Merryn? - przywołał ją Brendan, siedząc na brzegu basenu z nogami w wodzie.

Podpłynęła do niego, żeby mogli rozmawiać po cichu.

- Słucham?

- Przygotowałem coś do picia przed snem. - Wskazał na stojącą obok tacę.

- Kawa po irlandzku?

- Właśnie. Wypij. Nie powinna stygnąć. Oparła ramiona na kamiennym obramowaniu basenu i wzięła od niego szklankę na srebrnej podstawie.

- Wspaniale wygląda. Mmm... i świetnie smakuje - dodała, wypiwszy łyk, po czym zlizwała bitą śmietanę z górnej wargi.

- To jedna z moich nielicznych umiejętności kulinarnych, jeśli w ogóle tak można to nazwać. O czym myślałaś, patrząc w gwiazdy?

Lekki wiatr poruszył korony drzew.

- Wyobrażałam sobie siebie samą, kilka kilometrów w górze, lecącą przez nocne ciemności.

- Lubisz latać?

- Tak. Inaczej bym tego nie robiła.

- Zapytam inaczej. Dlaczego wybrałaś taki zawód? Jestem pewien, że nie polega on jedynie na tym, żeby pięknie wyglądać i miło się uśmiechać, chociaż to przychodzi ci pewnie bez najmniejszej trudności.

- Rzeczywiście, to nie tylko to. - Uśmiechnęła się.

173

- Cóż, to naprawdę ciężka robota, jednak dzięki niej mogę podróżować, a o tym zawsze marzyłam. Trudno mi to wytłumaczyć, ale żeby z powodzeniem wykonywać ten zawód, trzeba mieć wiele umiejętności. Przedtem sama nie wiedziałam, że je posiadam. Przede wszystkim, trzeba umieć postępować z ludźmi...

- Czy można się tego nauczyć?

- Tak. Do pewnego stopnia... Trzeba też mieć podejście do dzieci. Cierpliwość i wytrzymałość są wprost niezbędne.

- A jak się opędzasz przed natrętnymi pasażerami? Nie mówiąc już o męskiej załodze samolotu.

Spojrzała na niego rozbawiona. Zanim przyniósł kawę, wykapał się w basenie i teraz siedział na brzegu w samych szortach. Włosy miał mokre i splątane, zupełnie jak młodszy Brendan sprzed lat.

- To nie takie trudne. Trzeba tylko postępować stanowczo.

- Zawsze ci się udaje?

- Dotychczas udawało mi się zniechęcić każdego natręta, którego chciałam się pozbyć. - Odstawiła szklanke, wyszła z basenu i usiadła obok niego.

- A ci, których nie chciałaś się pozbyć?

- Prawdę mówiąc, nie spotkałam nikogo, kim mogłabym się zainteresować - odparła po chwili. - Owszem, kilku z nich lubiłam. Ale w tej pracy trzeba być ciągle gotowym do drogi. Tó jedna z jej wad.

Brendan przyjrzał się jej z bliska. Zamiast bikini miała dzisiaj na sobie ciemnoniebieski jednoczęściowy kostium.

GWIAZDKA MDŁOŚCI

- Ale w sumie jesteś zadowolona? - zapytał po chwili wahania. - Ciągłe w podróży, a na dodatek możesz stale troszczyć się o innych...

- Chcesz powiedzieć, że to niezbyt poważne zajęcie?

- Wcale cię nie krytykuję. Zastanawiałem się tylko, jak widzisz swoje dalsze życie.

- Wiem, że nie byłabym szczęśliwa, gdybym musiała to robić wiecznie - odparła z namysłem. - Jeśli jednak zda się egzamin jako personel pokładowy, można potem szkolić początkujących albo zająć się marketingiem. Byłe stewardessy mają wiele możliwości dalszej kariery.

- A czy bierzesz pod uwagę możliwość, że zostaniesz żoną i matką? Nie odpowiedziała. Patrzyła nieruchomo w gładką powierzchnię basenu, w której odbijały się lampiony, oświetlające basen.

^A - Merry'n? - zaniepokoił się Brendan. - Czy powiedziałem coś złego?

- Nie. Tylko często się zastanawiam, czy nie jestem stworzona do życia w samotności. Nikogo za to nie winię - wyjaśniła pośpiesznie. - Twoja rodzina nie mogła dla mnie więcej zrobić. Zawsze będę wam wdzięczna, ale... Widzisz, nigdy nie miałam nikogo, kto by należał wyłącznie do mnie. Teraz nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić.

- Nie wyobrażasz sobie w tej roli nawet Steve'a? Zwłaszcza jego zupełnie sobie w tej roli nie wyobrażam, pomyślała znużona. Znów zbeształa się

175

w duchu, że nie powiedziała mu całej prawdy. Jeszcze ostrzej zbesztła się za to, że pozwoliła naciągnąć się na zwierzenia, oczarowana kawą po irlandzku, rozgwieżdżonym niebem i intymną nutą tej rozmowy.

- Sama nie wiem. - Ramiona jej opadły. Nagle posmutniała, nie chciała jednak, żeby Brendan to zauważył. - Ale się rozgadałam... - Podniosła się lekko i zacisnęła mocniej pasek szlafroka. - Gdyby świecił księżyc, mogłabym jego za to winić, a tak to pewnie ta kawa tak na mnie podziałała. Dziękuję ci, Bren. Idę spać. Miałeś rację, że kąpiel w basenie to wspaniały pomysł. Dobranoc.

Rozdział 4

- Do świąt został tylko tydzień - powiedziała Mer-ryn, wieszając zasłony w dzieciennym domku. Brendan mocował drzwi. Dzieciom zabroniono zbliżać się i wchodzić do środka, żeby umeblowane wnętrze pozostało prawdziwą świąteczną niespodzianką.

- Mhm - wymamrotał niewyraźnie w odpowiedzi. W ustach trzymał kilka gwoździ.

- Pomóc ci?

- Gdybyś mogła tu przytrzymać... o, właśnie tak. Przez kilka minut pracowali w milczeniu, aż wreszcie drzwi zostały umocowane w zawiasach.

¹⁵ - Gotowe. Dzielna dziewczyna. W przeciwieństwie do mojej poprzedniej ekipy, jesteś doskonałą pomocnicą - pochwalił ją i uściskał jej dłoń.

- Nie wyobrażam sobie, jak udało ci się zapanować nad tą poprzednią ekipą - odparła rozbawiona.

- Wiesz, co było najgorsze? Że ci chłopcy ani na chwilę nie przestawali gadać - powiedział ze śmiechem. - Założę się, że i pod wodą umieliby rozmawiać. Nawet przez sen słyszałem, jak do mnie mówią.

- Przyznaj się, że trochę do nich tęsknisz - zażartowała.

- O, jeszcze jak!

- Bądź cierpliwy. Niedługo spotkacie się przy choince.

- Tak, rzeczywiście do świąt został tylko tydzień. Merryn? - Popatrzył na nią poważnie. - Znalazłabyś dla mnie wolną chwilę?

- Oczywiście. - Usiadła przy małym stoliku i spojrzała na niego pytająco. Od dnia przyjęcia u sióstr zachowywał się dziwnie spokojnie. Nie kpił, nie prowokował, nie krążył wokół niczym rozgniewany tygrys. Całymi dniami zajmował się składaniem domku oraz urządzaniem płytkiej sadzawki z małym wodospadem, na której dzieci mogłyby puszczać modele żaglówek, albo po prostu chlapać się bez obawy, że-się utopia. Resztę czasu z zadowoleniem spędzał w domu -w dzień czytał lub grał z Merryn w tenisa, wieczorami grywał w karty, słuchał muzyki, czasem oglądał telewizję albo po prostu rozmawiał. Nie starał się natomiast kontynuować życia towarzyskiego, które tak obiecująco rozpoczął na przyjęciu. Każdego dnia poświęcał trochę czasu na odbieranie i wysyłanie wiadomości telefaksem; kilka razy umówił się na spotkania z ludźmi ze swojej branży. Słowem - ustabilizował się i ułagodził. Z początku dziwiło to Merryn. Była pewna, że takie życie po kilku dniach mu się znudzi. A jednak nie. Wciąż był spokojny i pogodzony ze sobą. Nie skomentował nawet złośliwie wizyty Steve'a, który przyjechał któregoś dnia, by zabrać Merryn do kina. Był łagodny, uczynny, uśmiechnięty ku radości Soni zdobył choinkę większą niż choinka Michelle, a potem

GWIAZDKA MIŁOŚCI

wyjął ze schowka wszystkie świąteczne ozdoby i razem z Merryn udekorował cały dom. Odmienił się tak bardzo, że teraz z prawdziwym napięciem czekała, co zamierza powiedzieć z taką poważną miną.

- Pamiętasz, że zaproponowałam mi pomoc przy świątecznych zakupach?
- odezwał się praktycznym, rzeczowym tonem.

- Owszem.

- Zupełnie nie wiem, co podarować mamie i siostrze.

- Z przyjemnością ci pomogę - zaproponowała. - Jeśli chcesz, mogę nawet załatwić to sama.

- Chętnie zdam się na twój gust przy wyborze prezentów dla Rox i Michelle, ale dla mamy chciałbym sam wybrać coś niezwykłego. Powiem wprost - chciałbym, żebyś wybrała się ze mną na zakupy.

- Zgoda. A masz już jakiś pomysł na ten niezwykły prezent?

- Wymyśliłem, że mógłby to być obraz. Mama uwielbia dzieła sztuki. Merryn radośnie złożyła dłonie. Oczy zabłyśły jej z przejęcia.

- Bren, ty chyba potrafisz czytać w myślach! Sonia uwielbia pewnego malarza, którego prace można właśnie oglądać w galerii „Jabiru” w Sanctuary Cove. Mówiła o nim w zeszłym tygodniu. Była zawiedziona, że wystawa się skończy, zanim ona poczuje się na tyle dobrze, żeby pojechać na wybrzeże.

- Może więc my byśmy się tam wybrali?

- Nie ma sprawy. Tylko że jeśli chcesz, żeby to

była niespodzianka, musimy wymyślić jakiś pretekst. Zresztą w Sanctuary Cove możemy też kupić coś dla twoich siostr.

- Zostaw to mnie. No więc? Znajdziesz jutro czas?

- Czy Sonia wie, gdzie się wybieramy? - zapytała Merryn następnego ranka, siedząc obok Brendana w czarnym BMW.

- Wie tylko, że pomagasz mi w zakupach. - Spojrzał na nią z ukosa. - Była zachwycona - dodał. - Zaprosiła Mary Eaves, żeby pomogła jej upiec ciasto. Nie musimy się o nią martwić.

Dzień był piękny, słoneczny i bezwietrzny. Merryn włożyła przewiewną, zapinaną na całej długości letnią sukienkę w kwiecisty wzór, do którego znakomicie pasował duży, ozdobiony kwiatami kapelusz, na czas jazdy ułożony starannie na tylnym siedzeniu. Brendan miał na sobie sportowe białe spodnie, granatową koszulę i espadryle.

Gawędzili o niczym, znów doskonale się czując w swoim towarzystwie, i pewnie zmierzali malowniczą drogą wzdłuż oceanu do Sanctuary Cove, prześlicznej miejscowości na wybrzeżu, na północ od Gold Coast.

- Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tu byłem - stwierdził Brendan, kiedy spacerowali później po barwnych uliczkach centrum handlowego.

- Miłe miasteczko, prawda?

- Bardzo - odparł i wziął ją za rękę.

Merryn poczuła znajomy ucisk w sercu, ale opa-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

nowała go siłą woli. Przecież jeden dzień spędzony w jego wyłącznym towarzystwie nie zburzy jej spokoju, nawet jeśli Brendan zachowuje się tak wspaniale, jak za dawnych lat. Doszła do wniosku, że powinna to przyjąć całkiem naturalnie i nie obiecywać sobie zbyt wiele.

Gdy więc dwie godziny później, zadowoleni z udanych zakupów, siedzieli pod markizą na tarasie nadmorskiej restauracji, wmawiała sobie, że są dwójką przyjaciół, którzy po prostu miło spędzają czas. Obraz, który wybrali dla Soni, leżał już zapakowany na tylnym siedzeniu samochodu, a na stojącym przy stoliku dodatkowym krzesle piętrzyły się wielobarwne torby z zakupami. Merryn sączyła zimny sok owocowy, Brendan pił piwo.

- Jak tu pięknie - westchnęła z zadowoleniem, zdjęła kapelusz i przeczesła palcami włosy. - Byłeś bardzo szczodry względem matki i sióstr.

^Brendan wzruszył ramionami i odwrócił szybko wzrok, by nie patrzeć na kuszący zarys piersi pod jej sukienką, który zarysował się wyraźnie, gdy Merryn uniosła dłoń do czoła. Ciekawe, czy wie, jak wspaniale wygląda, myślał o niej intensywnie. I czy wie, że zakupy, czynność, której zwykle nie znosił, stały się w jej towarzystwie całkiem nowym doświadczeniem.

Patrzył, jak Merryn szczupłymi dłońmi dotyka jedwabiu, skór, porcelany, jak ogląda flakony perfum i ściszone głosem wyraża swoje życzenia. Zastanawiała się nad każdym sprawunkiem, rozważając, czy sprawi przyjemność temu, dla kogo jest przeznaczony.

On, oczywiście, nie miał żadnych wątpliwości, że wybrane przez nią prezenty ucieszą wszystkich obdarowanych.

- Ja byłem szczodry - odparł - ale te prezenty sprawią im radość głównie dzięki tobie.

- To normalne. Kobiecie łatwiej jest wybrać coś dla innej kobiety. Ale obraz to był twój pomysł, tak samo jak domek. Moim zdaniem okazałeś się bardzo oryginalny. Jestem pewna, że Sonia będzie zachwycona. Uwielbia pejzaże, a ten przedstawia okolice Dalby. Tam właśnie się wychowała.

- Wiem. Teraz została mi tylko jedna osoba, dla której jeszcze nic nie kupiłem... - Urwał, ponieważ podeszła kelnerka, by przyjąć ich zamówienia. - Zostałaś mi ty - dokończył.

Merryn uśmiechnęła się do niego.

- Prawdę mówiąc, jestem w podobnej sytuacji. Też nie mam dla ciebie żadnego prezentu. Ale... - Zamilkła i dopiero po chwili wahania dopowiedziała cicho: - Ale może to, że znów się do siebie zbliżyliśmy, wystarczy nam za prezent?

- Tak wiele to dla ciebie znaczy?

- Tak. Czy... - Znów się zawahała się, ale tym razem krócej. - Czy naprawdę znów jesteś szczęśliwy? Wiem, że takie pytanie brzmi banalnie, ale chyba wiesz, co chcę powiedzieć.

Skrzywił się lekko.

- I tak, i nie. Ale to nie twoja wina. Oczy Merryn rozszerzyły się ze zdumienia.

- Nie? I nic po sobie...

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- ...nie pokazałem? - dokończył za nią. W jego orzechowych oczach była ironia, ale tylko wobec siebie samego. - Przepraszam. To takie niedojrzałe.

- Co, Brendan? - Wyprostowała się gwałtownie. - Co cię męczy i co wydaje ci się niedojrzałe? Chyba potrafisz to jakoś nazwać?

- Potrafię. - Uśmiechnął się smutno. - Nie chcę do końca życia tylko pracować. Może cię to nie zdziwi, ale mnie to zaskoczyło. Uświadomiłem sobie, że... wiem, będziesz się śmiać... że potrzebuję kobiety. Takiej, z którą mógłbym spędzić resztę życia. To chyba jest mój problem. Dziwne, prawda?

Merryn wcale nie było do śmiechu.

- Wcale nie - zaprzeczyła oszołomiona. - To jak najbardziej naturalne.

- Nie spodziewałem się, że właśnie mnie to spotka.

- Kiedyś zadałeś mi takie pytanie. Teraz ja ci je zadam... Czy widzisz siebie w roli męża i ojca?

- Tak, chociaż w tej chwili trudno mi sobie to wyobrazić. Widzisz, mała, może jesteśmy do siebie podobni?

Spojrzała na niego szybko. W głębi jego oczu czaił się nikły uśmiech, jakby wezwanie, zaproszenie i pytanie jednocześnie.

- Przecież w każdej chwili możesz to zmienić, prawda? Akurat ty...

- Mój tryb życia...

- Też możesz go zmienić. W kraju też trzeba budować drogi, mosty i tamy. Mogę ci powiedzieć, co sędzę o tym wszystkim?

- Oczywiście, mów.

Zaczekała, aż kelnerka poda im zamówione dania - dla niego rybę z grilla, dla niej sałatkę - po czym powiedziała, starając się, by nie zadrżał jej głos:

- Moim zdaniem nie powinieneś się tym martwić tak bardzo. Może to zabrzmie naiwnie i banalnie, ale myślę, że kiedy pojawi się w twoim życiu odpowiednia kobieta, wszystko ułoży się samo.

- Pewnie masz rację. Wiele osób tak uważa. Tylko czy się pojawi?

- Nie jesteś przekonany?

- Miałaś rację, kiedy mówiłaś, że jestem zgorzkniały. No, może nie jestem, ale bywam. W każdym razie stałem się ostatnio jakiś... cyniczny.

- Cyniczny w stosunku do kobiet? Ich spojrzenia spotkały się na chwilę.

- Czasami tak - zgodził się w końcu, nie odwracając wzroku.

- Wydaje mi się, że jest wiele kobiet, których nie musiałbyś traktować z pobłażaniem, ale po partnersku. Niejedna chętnie spełniłaby wszelkie twoje wymagania.

- Nie tego szukam - odparł krótko.

Merryn uśmiechnęła się na te słowa. To właśnie był cały Brendan, niespokojny duch, wiecznie szukający dla siebie miejsca. Dopiero teraz zrozumiała, że podobnie jak kiedyś odrzucił prawniczą karierę dla własnych marzeń, tak teraz nie spocznie, póki nie znajdzie godnej siebie kobiety. Brendan - niepokorny, wymagający wobec siebie i innych, nie cierpiący życiowych

GWIAZDKA MIŁOŚCI

schematów. Tylko że teraz nie wszystko zależało od niego...

Mimo to wypełniła ją radość. Wreszcie go zrozumiała, odnalazła, odzyskała.

- Więc szukasz wyzwania, nie tylko towarzyski do końca życia?

- Czy to takie zabawne?

- Przepraszam. - Odwróciła od niego oczy, w których musiał dojrzeć nagłą odmianę. - Chcę być twoją przyjaciółką i pomóc ci w kłopotach, ale czasami jestem przede wszystkim kobietą. Nie wiem, czy rozumiesz, o co mi chodzi?

Uśmiechnął się z namysłem.

- Tak. Chyba rozumiem.

Przez kilka minut jedli w milczeniu, później Brendan zmienił temat i nie wrócili już do tej rozmowy. Zdaje się, że oboje uznali ją za zbyt niebezpieczną, przynajmniej na tym etapie. Zamiast tego Brendan opowiadał o łodziach, wypytywał ją, czy lubi żeglować, i wyznawał, że marzy mu się rejs dookoła świata, choć wie, że to w jego przypadku nierealne marzenie, podobnie jak inne - czyli napisanie książki. Wreszcie spojrzął na zegarek i zaproponował, żeby wrócili do domu, a Merryn zgodziła się bez oporów.

Kiedy zjechali z mostu na ruchliwej ulicy, już w pobliżu domu, jakiś samochód próbował wyprzedzić ich, a że nie miał wystarczająco dużo miejsca, zepchnął Brendana na chodnik. Nagły skręt sprawił, że Merryn uderzyła w coś głową - i była to ostatnia rzecz, jaką zapamiętała.

Gdy się ocknęła, zobaczyła, że Brendan siedzi obok niej na chodniku i trzyma ją w ramionach, podczas gdy wokół kręci się rozgorączkowany tłum. Okazało się, że przy okazji wpadło na siebie więcej samochodów, również ten, który spowodował całe zajście, był uszkodzony. Oczywiście prędko utworzył się korek.

- Bren - wyszeptała i zwilżyła wargi. - Co się stało?

Czuła, jak napinają się jego mięśnie, kiedy przytulił ją mocniej do siebie i zamknął oczy. Chyba odczuł ulgę. Może myślał, że nie tylko straciła świadomość, ale też życie?

Spróbowała wstać, lecz ją powstrzymał.

- Nie ruszaj się - nakazał cicho i ucałował ją w czubek głowy.

- Ale...

- Żadne ale. Zdaje się, że nikomu nie stało się nic poważnego, ale kilka osób wpadło w furję. Przyjechała policja, żeby przywrócić tu porządek. Jak się czujesz?

Dotknęła czoła i skrzywiła się z bólu, natrafiwszy na spory guz. Jednak poza tym nic jej nie dolegało.

- Dzięki Bogu - westchnął Brendan. - Poczekaj, ułożę cię wygodnie. To może chwilę potrwać. - Wziął ją na rękę, zaniósł na ławkę na przystanku autobusowym, potem otoczył ją ramieniem i usiadł przy niej. Razem obserwowali zamieszanie na drodze.

W końcu udało się rozładować korek, a któryś z policjantów spisał dokładnie oświadczenie Brendana. Przyjechała karetka, lekarz zbadał Merryn i pozwolił jej wrócić do domu, nakazał jednak obserwować, czy

GWIAZDKA MIŁOŚCI

nie pojawią się oznaki wstrząśnienia mózgu lub opóźnionego szoku. Wreszcie Brendan uruchomił pokieroszowany, ale nadal sprawny samochód i pojechali wolno do domu.

Sonia wyglądała ich niecierpliwie od dobrych paru godzin.

- Myślałam, że uciekliście we dwoje! - oznajmiła, przybierając na ich widok mniej zatroskaną minę.

Merryn spojrzała na Brendana. Patrzył na nią z taką siłą, że niemal zadrżała. Nie potrafiła jednak powiedzieć, co to spojrzenie oznacza, zresztą natychmiast odwrócił wzrok. Natomiast Sonia, zauważywszy zaparkowany na podjeździe samochód, natychmiast pojechała, co się wydarzyło.

- Och, nie! Nic wam się nie stało? Jak...

- Nie, nic nam nie jest - pośpiesznie zapewnił Brendan. - Merryn nabiła sobie guza, ale to wszystko.

^Wejdźmy do środka, mamo. Najgorsze, że samochód...

- Synku - Sonia przerwała mu z oburzeniem - jeśli myślisz, że przejmuję się samochodem, to chyba wcale mnie nie znasz.

Brendan roześmiał się, wziął Merryn na ręce i zaniósł do domu. Noszenie jej najwyraźniej zaczynało wchodzić mu w nawyk.

Ułożył ją w salonie na kanapie i przez chwilę patrzył na nią z wahaniem.

- Zostań tu - polecił po chwili. - Dzisiaj ja zajmę się kolacją.

- Podobno potrafisz zrobić jedynie kawę po irlandzku.

- Umiem też korzystać z telefonu. Zamówię pizzę.
 - Och, Bren, nie musisz zamawiać pizzy - powiedziała Sonia, wchodząc do salonu. - Czy waszym zdaniem jestem już całkowitą inwalidką?
 - Mamo, wiem, że dla ciebie jedzenie potraw zamawianych na wynos to grzech śmiertelny, ale są okazje, kiedy można się tego dopuścić. Powiem więcej: może to nawet być całkiem przyjemne, jeśli tylko nie powtarza się zbyt często. Myślę, że jeśli raz zamówię pizzę, to na pewno nas to nie zdemoralizuje. Jeśli zaś to cię uszczęśliwi, możesz przygotować sałatkę - dodał, po czym szybko wyszedł z pokoju.
 - Co go sprawiło w taki nastrój? - zapytała Sonia konspiracyjnym szeptem.
 - Nawet nie wiem, jaki to nastrój - odparła Merryn, również szeptem. - W każdym razie chyba będzie lepiej, jeśli mu ulegniemy.
- Wieczór był krótki, ale bardzo udany. Brendan zaznajomił matkę z urokami jedzenia pizzy, poteni zaś wszyscy troje zasiedli do pakowania w ozdobny papier świątecznych prezentów.
- Nie powinniśmy zostawiać ich pod drzewkiem -w pewnej chwili oznajmiła Merryn, kiedy tam właśnie zaczęli je składać.
 - Dlaczego nie? - zdumiał się Brendan. - Rodzice zawsze układali je pod choinką.
 - Dopiero kiedy skończyłeś dwanaście lat - przypomniała mu Sonia. - Merryn ma rację. Dla dzieciaków to będzie pokusa nie do odparcia. No i nie za-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

pominaj, że Święty Mikołaj przybywa w środku nocy. Chyba że... -
Popatrzyła na niego pytającym wzrokiem.

- O, nie! - Potrząsnął głową. - Jeśli myślisz o tym, co ja, to nie ma mowy!

- Przecież nawet nie wiesz...

- Ależ wiem! I za żadne skarby nie przebioreę się za Świętego Mikołaja!
Musicie namówić na tę przyjemność Raya albo Dawida. O, albo Steve'a -
zapropozował i popatrzył znacząco na Merryn. - Jeśli chce wejść do
rodziny, musi na to zapracować.

- Rzeczywiście, mogę go o to poprosić - zastanawiała się głośno Sonia. -
Ale nie, to niemożliwe. Dzwonił wczoraj, żeby mnie zawiadomić, że nie
przyjdzie. Akurat w święta ma dyżur. - Teraz ona spojrzała na Merryn.
Merryn miała dość tych znaczących spojrzeń. Postanowiła opuścić
towarzystwo, nie zdążyła jednak się odezwać, kiedy Brendan spojrzał na
nią czujnie, zerknął na zegarek, a potem wstał i podał jej rękę.

- Na ciebie już czas. Wiem, że jeszcze wcześniej, ale nie codziennie traci
się przytomność w wypadku.

- Tak, powinnaś odpocząć - poparła go Sonia. Merryn przyjęła jego dłoń i
pozwoliła podnieść się
z kanapy.

- Dziękuję, po schodach wejdem sama - zapewniła opanowanym głosem. -
Całkiem dobrze się czuję.

Jednak Brendan poszedł za nią do samych drzwi. Gdy zaś zwróciła się ku
niemu niepewnie, kładąc rękę na klamce, powiedział czule:

189

- Musisz być bardzo zmęczona - i delikatnie dotknął jej twarzy.
- To był...
- Ciężki dzień?
- Nie to chciałam powiedzieć. - Nerwowo splotła dłonie. - Dzień był wspaniały. Dziękuję ci za obiad. I kolację.
- Merryn? - Zmarszczył brwi. - Próbujesz mi coś powiedzieć?
- Niby co?
- Nie wiem. - Przesunął palcami po jej policzku. - Sama musisz mi to wyznać.

Wyznać? Trafne określenie...

Najbardziej chciałaby mu wyznać, że było jej dziś z nim... miło, uroczo, wspaniale; poprosić, żeby z nią został, żeby znów ją objął, utulił do snu. A kiedy się zbudzi i poczuje lepiej - żeby kochał się z nią długo i czule. I żeby potem zabrał ją ze sobą, gdzie tylko zechce. Przecież przy nim wszędzie by wytrzymała.

- Merryn?
- Tak?
- Może... przebierz się w piżamę, a ja ci coś przyniosę.
- Nie.
- Nie kłóć się ze mną. - Pogroził jej żartobliwie palcem, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

Kiedy wrócił z tabletką i szklanką ciepłego mleka, leżała już w łóżku, w wiśniowej jedwabnej piżamie z białym oblamowaniem.

- Dostałem to od Soni. - Postawił szklankę na sto-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

liku przy łóżku i podał jej tabletkę. - Złagodzi ból głowy.

- Nie zmartwiłeś jej niepotrzebnie? To tylko reakcja na stres.

- Nie, nie zmartwiłem. A poza tym coś mi się zdaje, że to nie tylko stres. -

Popatrzył na nią uważnie. - Przepraszam, jeśli to, co powiedziałem o

Steve'ie, cię zirytowało. - Spojrzała na niego ze zdziwieniem, a on

roześmiał się, widząc jej minę. - Jesteś zaskoczona, że cię przepraszam?

- Bardzo - przyznała szczerze.

- Wiem. Chyba sam sobie nie zdaję sprawy, jaki jestem arogancki. Tylko że to tak trudno nad sobą zapanować. Kiedy przyglądałem się dzisiaj tobie, dotarło do mnie w końcu...

- Co takiego? Że wydorostałam?

- No, cóż. To prawda. - Dotknął palcami prześcieradła. - Zmieniłaś się, usamodzielniałaś, wypiękniałaś. Doskonale sobie radzisz. Nie mam prawa krytykować twoich decyzji i wtrącać się w twoje sprawy. - Podniósł wzrok i zajrzał w jej oczy. - Właśnie to sobie dzisiaj uświadomiłem.

- Bren... - zaczęła, ale słowa, które tak bardzo chciała wypowiedzieć, uwięzły jej w gardle. Jeśli zdradziłaby mu swoje uczucia, a on by jej odrzekł, że nigdy nie myślał o niej jako o swojej przyszłej żonie, wszystko między nimi by się skończyło.

- Słucham cię, Merryn...

- Nie wiem, co się dzisiaj ze mną dzieje, ale obiecuję, że jutro dojdę do siebie.

Wziął głęboki oddech, jakby chciał powiedzieć jej coś ważnego, ale w ostatniej chwili chyba zrezygnował, bowiem poprosił tylko:

- Wypij mleko. - Gdy zaś posłusznie przechyliła szklanekę i połknęła tabletkę, dodał z opiekuńczym uśmiechem: - Śpij słodko - i zamknął za sobą drzwi, zgasiwszy uprzednio światło.

Merryn czuła, jak do oczu cisną się jej łzy, mimo to zasnęła szybko. Tuż przed północą obudziła się jednak

- w gardle czuła suchość, a serce waliło jej jak młotem. Powrócił dawny koszmar, który nie śnił się jej od lat, a w którym widziała śmierć rodziców w wypadku samochodowym. Odrzuciła pościel, podbiegła do drzwi i zbiegła szybko po schodach, chcąc jak najdalej uciec przed okropnymi obrazami. W salonie paliło się światło, więc wbiegła tam i wpadła prosto w objęcia Brendana.

- Merryn! - Przytulił ją do siebie. - Co się stało? Chyba nie wróciły dawne koszmary?

- Och, Bren... - W jego ramionach drżała jak liść.

- Pamiętałeś. Nie śniło mi się to od lat.

- Ciii... Uspokój się, biedne małeństwo - wyszeptał. - To pewnie przez ten dzisiejszy wypadek. Cholera, dlaczego tego nie przewidziałem? - dodał, wyraźnie zły na siebie.

- To nie twoja wina - odparła i przytuliła policzek do jego piersi.

Gładził ją po głowie, a dotyk jego dłoni i ciepło silnego ciała stopniowo łagodziły wstrząs. Merryn przestała drżeć i oddychała teraz równo, spokojnie. Zdołała nawet zapytać:

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Co tu robisz tak późno w nocy?

- Nic takiego.

- Po prostu grzecznie sobie siedzisz? To do ciebie niepodobne.

- Czyżby?

Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego ostrożnie.

- Takiego Brendana Greya nie znałam. Zmarszczył brwi, a potem naturalnym ruchem pocałował ją w usta.

- Naprawdę byłem takim rozrabiaką?

- Nie byłeś rozrabiaką, ale zawsze rozpierała cię energia. Dziwię się, że nie wróciłeś na przykład do żadnego z dawniej uprawianych sportów. Roześmiał się, ale zaraz spoważniał.

- Chcę ci coś powiedzieć, Merryn. Zastanawiałem się ostatnio, czy nie zmienić rezerwacji.

- Chcesz wcześniej wyjechać? - zapytała z nieskrywanym żalem. - Och, nie!

- Twoim zdaniem to nie jest dobry pomysł? Zagryzła wargę.

- Przecież Sonia... Chyba nie wyjedziesz przed świętami? Przecież...

- Oczywiście, że nie. Ale nic jej nie mów. Nic jeszcze nie zdecydowałem.

- Och, Bren, tak bardzo bym chciała ci pomóc. Popatrzył na nią i uśmiechnął się smutno.

- Niestety, Merryn, akurat ty nie możesz mi pomóc. Wiesz co? - ożywił się nagle. - Coś mi przyszło do głowy. Zrobię tu dla nas posłanie, chcesz? Pogapimy się razem w telewizor.

193

Nie słuchał jej nieśmiałych protestów. Znalazł stary materac, poduszki i prześcieradła, potem zaś ułożył je na podłodze i przyniósł butelkę wina, talerz sera, krakersy, oliwki oraz owoce.

- Uczta o północy? - Merryn z zaskoczeniem stwierdziła, że od razu poczuła się lepiej.

- Trochę bardziej wyrafinowana niż dawniej - odparł żartobliwie i nalał im wina. - Ułóż się wygodnie. Jak twoja głowa?

- Całkiem o niej zapomniałam.

- Bardzo dobrze. - Usiadł obok Merryn ze skrzyżowanymi nogami. - To co, gotowa? Co powiesz na Flipa i Flapa?

- Świetny pomysł!

Wypili po dwa kieliszki wina, śmiejąc się ze starych komedii. Potem wyłączyli telewizor i leżeli obok siebie w milczeniu, trzymając się za ręce. Kiedy Merryn zasnęła, Brendan wysunął swoją dłoń z jej uścisku, wstał i posprzątał po posiłku. Już miał zgasić lampę, gdy zatrzymał przez chwilę wzrok na Merryn - i nie zdołał już go od niej odwrócić.

Gdy spała, było w niej coś młodzieńczego. Długie rzęsy rzucały cień na rumiany policzek; w wiśniowej piżamie wydawała się niewinna, krucha i bezbronna. Zupełnie inna Merryn niż ta, którą ostatnio widywał. Sierota, która nie może uwierzyć, że znajdzie kogoś, kto będzie należał tylko do niej. A przecież nawet dzisiaj chwalił ją, że tak świetnie radzi sobie w życiu.

Cóż, ta dziewczyna budziła w nim uczucia, których nie spodziewał się w sobie znaleźć.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Gdyby nie ten Steve...

Ale czy Steve rzeczywiście coś dla niej znaczy?

Przez kilka minut stał zagubiony w myślach, potem poruszył się niespokojnie, zgasił światło i ułożył obok Merryn. Wziął ją delikatnie w ramiona, przytulił. Nie powinienem tego robić, pomyślał...

Gdy rano otworzył oczy, słońce wpadało do salonu przez szerokie okna. Jednak nie to go obudziło, lecz głośny jęk i odgłos kroków na drewnianym parkiecie.

Podniósł powoli głowę i zobaczył tuż przy posłaniu parę stóp. Były to kobiece stopy - z polakierowanymi paznokciami, w letnich sandałkach. Zatrzymały się kilkanaście centymetrów od poduszki, a wówczas Merryn, jakby czując przez sen obecność trzeciej osoby, poruszyła się niespokojnie w jego ramionach.

Natomiast właścicielka stóp, Michelle, zawołała z oburzeniem:

- Brendan! Boże, Brendan! Jak mogłeś!?

Rozdział 5

- Co ty, u diabła, możesz wiedzieć? - warknął Brendan do siostry. Merryn zbudziła się i usiadła z wysiłkiem. Odsunęła włosy z czoła i przetarła oczy.

- Przecież to oczywiste! - odparła Michelle i zwróciła się do Merryn lodowatym głosem: - Bardzo ci się dziwię, moja droga. To dlatego na przyjęciu zamknęliście się w jadalni? Nie wydaje ci się, że zachowujesz się okrutnie wobec Steve'a? Robisz mu nadzieję, a potem rzucasz się w ramiona innego.

- Rzuca mi się w ramiona? - zawołał rozwścieczony Brendan. Wstał i spojrzał na siostrę z góry. - Spójrz tylko na mnie, ty idiotko! Nie widzisz, że jestem ubrany?

- To jeszcze nic nie znaczy...

- Naprawdę wierzysz, że my... na podłodze w salonie? Chyba oszalałaś!

- W takim razie wytłumacz mi, co tu robiliście!

- Posłuchaj, Michelle... - Merryn podniosła się z posłania. - Zrobiliśmy sobie nocną ucztę i...

Michelle roześmiała się nieprzyjemnie i popatrzyła na nią z naganą.

- Uczta! To jakieś nowe określenie? Mówię to, co widziałam - spałaś w jego objęciach! No, ale ty przecież zawsze się w nim podkochiwałaś.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Ja... ja... - Merryn poczuła, że palą ją policzki. Odwróciła się gwałtownie i wyszła z pokoju.

Jednak nawet w swojej sypialni słyszała odgłosy awantury, która wybuchła po jej wyjściu. Brendan oznajmił, że zawsze uważał Michelle za idiotkę, ale nie spodziewał się, że jest nią do tego stopnia. To z kolei sprowokowało Michelle, która wypomniała mu wszystko, co jej się w nim nie podoba, a na koniec zapowiedziała, że ani ona, ani jej mąż, ani dzieci nie wezmą udziału w świątecznym obiedzie, jeśli on zamierza się na nim pojawić.

- I bardzo dobrze! - wrzeszczał Brendan z dziką satysfakcją. - Nie będziemy musieli cię znosić! Twoje bachory są okropne, a mąż to skończony nudziarz! Ty sama zaś jesteś gruboskórną, nadętą lalą, tak samo nudną, jak Ray! Jeśli nie przyjdiesz, sprawisz mi tylko radość! Aha, i nie zapomnij uprzedzić Steve'a, żeby też się tu nie pokazywał! Sonia, przerażona odgłosami kłótni, zapukała do sypialni Merryn i weszła szybko, by zapytać, co się stało.

- Merryn, co tam się dzieje? Dlaczego oni... Merryn usiadła na łóżku i w roztargnieniu potarła policzki dłońmi. Wzięła głęboki oddech i zaczęła wszystko tłumaczyć. Gdy doszła w swej opowieści do momentu, w którym Michelle pojawiła się rano w salonie, bezradnie rozłożyła ręce i spojrzała na Sonię żałośnie.

- Michelle musiała dojść do wniosku, że my... ja i Brendan...

- Że się kochaliście? - dokończyła Sonia ze zdzi-

wieniem. - Naprawdę, ta Michelle czasami zachowuje się okropnie! Chyba nadszedł czas, by usłyszała to ode mnie. - To powiedziawszy, wyszła z pokoju.

Merryn ukryła twarz w dłoniach. Nie ma co, zapowiadają się wspaniałe święta. A wszystko przez nią i przez jej głupie zadurzenie. Boże, jak ona się teraz pokaże Brendanowi na oczy? Jak zdoła stanąć przed nim i spojrzeć mu prosto w twarz? A reszta rodziny?

Wstała szybko i pośpiesznie się ubrała. Musi stąd wyjść, uciec choćby na chwilę, choćby po to, by dojsć do siebie w samotności.

Pięć minut później jechała samochodem przed siebie. Chyba nie zauważyli jej zniknięcia, ponieważ nikt nie próbował jej zatrzymać.

Resztę dnia spędziła, robiąc zakupy na święta -wszystko, co było potrzebne do przygotowania świątecznego obiadu. Robiła to w zasadzie z przekory, jakby wbrew temu, co właśnie się stało i co kazało spodziewać się raczej skromnego kameralnego posiłku niż wielkiej świątecznej uczy. Kiedy około czwartej wróciła do domu, zastała w nim jedynie Brendana.

- Gdzie się podziewałaś? - przywitał ją gniewnie w kuchni.

- Byłam w mieście - odparła i położyła zakupy na stole.

- I nie przyszło ci do głowy, że matka się o ciebie zamartwia?

- Nie, nie przyszło mi to do głowy - odparła spo-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

kojnie. - Przecież wie, że już dawno skończyłam dwadzieścia jeden lat. A gdzie ona jest?

- U Rox. Mirandzie coś dolega. Merryn znieruchomiła nad zakupami.

- Coś poważnego?

- Wątpię. Lekarz stwierdził, że nie ma się czym przejmować, ale mama sama chce sprawdzić.

Merryn wzruszyła ramionami i odwróciła się, by rozpakować pakunki z jedzeniem. Sonia bardzo poważnie podchodziła do zdrowia swoich wnuków i zawsze starała się śpieszyć im z pomocą.

- Merryn?

Znieruchomiła, ustawiając na półce zakupione konserwy. Wiedziała, o co może zapytać Brendan.

- Czy to prawda? - odezwał się po chwili. - Posłuchaj... - Wstał i okrążywszy stół, podszedł bliżej, by stanąć tuż za jej plecami. - Nie musisz się tego wstydzić...

- To było dawno temu - powiedziała cicho i odwróciła się, by spojrzeć w jego twarz. - Zaskoczyło mnie tylko... że akurat Michelle to zauważyła.

- Wszyscy zauważyli. Wszyscy oprócz mnie - odparł ponuro.

- Skąd wiesz, że wszyscy?

- Kiedy wyszłaś z domu, pogodziliśmy się. Mama bardzo nalegała, znasz ją. Powiedziała, że nie pozwoli, żebyśmy zepsuli pierwsze od wielu lat wspólne święta. Zagroziła nawet, że jeśli natychmiast się nie przeprosimy, to ona wyjedzie. - Uśmiechnął się smutno. - To przemówiło i do Michelle, i do mnie.

- A co było potem?

- Usiedliśmy w salonie i wszystko sobie wyjaśniliśmy. Michelle dała się przekonać, że nie zrobiliśmy niczego złego. - W jego oczach zabłysła lekka irytacja. - Ja natomiast przeprosiłem ją za wszystkie te rzeczy, które jej wygarnąłem. Ale kiedy poprosiłem ją, by przyznała, że wszystko, co powiedziała ci w gniewie, jest zupełnie niedorzeczne, odmówiła. Powiedziała, że ty... że kochałaś się we mnie od lat. -Przełknął ślinę. - Mama to potwierdziła. Widocznie dlatego wszyscy byli tacy szczęśliwi, kiedy zainteresowałaś się Stevem...

Merryn nigdy nie czuła się równie-skrępowana.

- Cóż, wszyscy się mylą - oświadczyła chłodno. - Oczywiście, można powiedzieć, że cię... - przez chwilę szukała słowa - podziwiałam, ale wyłącznie jak starszego brata. - Odwróciła oczy, by nie dostrzegł w nich kłamstwa. - Zawsze była to więź jak między bratem i siostrą.

Na chwilę zapadło kłopotliwe milczenie.

- To się może zmienić - oznajmił niespodziewanie Brendan.

- Niby dlaczego?

- Wyjaśnijmy to sobie...

- Lepiej nie - odparła szybko. Chciała go wyminąć, ale chwycił ją za nadgarstek.

- Poczekaj! Dlaczego jesteś taka zagniewana? Bo przez wszystkie te lata niczego nie zauważyłem? Postanowiłaś mnie teraz ukarać?

- Przecież ci powiedziałam... - Szarpnęła się

GWIAZDKA MIŁOŚCI

gwałtownie. - Poza tym nigdy bym się do czegoś takiego nie zniżyła. To, że tak o mnie pomyślałeś, napełnia mnie odrazą! - wycedziła przez zęby i znów spróbowała się wyswobodzić.

- Ciekawe, czy to też napełnia cię odrazą? - Przytrzymał ją mocno, a potem nachylił usta nad jej twarzą.

- Bren!

- Odpowiedz - zamruczał, obejmując ją ciasno, i zaczął przesuwać dłońmi po jej plecach. - Odpowiedz... Powiesz mi teraz czy kiedy skończymy?

- Powiem ci od razu! Natychmiast przestań!

- Mam cię nie całować? - Spojrzał jej prosto w oczy, niemal dotknął ustami jej ust. - Przykro mi, chyba nie potrafię nad sobą zapanować.

- Owszem, potrafisz. Sam powiedziałeś, że nie mógłbyś mi zrobić czegoś takiego.

- To było zanim się dowiedziałem, co do mnie czujesz.

Wcale nie wiesz, co czuję - broniła się ostatkiem sił.

- Może więc teraz się dowiem - wyszeptał i zsunął dłoń na jej talię, biodra, pośladki, okryte jedynie cienkim materiałem szortów. - Taka szczupła i gładka... I taka rozgniewana. Dlaczego mnie nie zachęcisz, żebym zachował się jeszcze gorzej?

Wyraźnie ją prowokował i udało mu się wyzwolić w niej wściekłość.

Kiedy wsunął palce w jej włosy i zaczął ją całować, wpiła się w jego usta z taką zawziętością, jakby nie był to pocałunek, lecz pojedynek zajadłych wrogów.

Oderwali się od siebie, ciężko dysząc, i zmierzili wzrokiem, w którym gniew mieszał się z pożądaniem. Po chwili jednak znów szepili się w głodnym, zachłannym pocałunku.

Przerwało im dopiero natarczywe trąbienie samochodu na podjeździe przed domem. Brendan odsunął Merryn od siebie i uśmiechnął się z dziką satysfakcją.

- Już coś o tobie wiem, mała. Masz szczęście, że odsiecz przyszła w samą porę. Do licha, ty naprawdę wydorostałaś...

Wyrwała się z jego ramion i zdążyła wsunąć bluzkę w szorty tuż przed tym, jak Rox wpadła do kuchni.

- Jest tu kto? Przywiozłam mamę, ale nie mogę zostać nawet na chwilę.

- Jak się czuje Miranda? - Merryn zmusiła się, by jej głos brzmiał trzeźwo i spokojnie.

- To tylko atak kolki. Nic jej nie będzie. Słyszałam o waszej porannej awanturze. - Mrugnęła okiem do Brendana. - Nie wiedziałeś, że Michelle mianowała się strażniczką etykiety i dobrych obyczajów w naszej rodzinie? - Brendan zaklął pod nosem, a Rox zwróciła się do Merryn: - A ty nie bierz sobie jej słów za bardzo do serca. Pamiętasz, jak Michelle zadurzyła się w naszym żonatym sąsiedzie? Polowała na niego w rozmaitych miejscach, a potem udawała, że to przypadkowe spotkania.

Tylko dlaczego zawsze była wtedy umalowana jak na pokaz i wystrojona w najbardziej seksowne ciuchy?

- Dzięki, Rox. Zapamiętam to sobie - odrzekła

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Merryn dziwnie zduszonym głosem. - Leć już do Mirandy. Pomogę Soni wejść na górę.

Kolacja była cicha, pełna napięcia, lecz Sonia zdawała się tego nie zauważać. W ostatnich dniach większość jej uwagi pochłaniał wystrój dzieciennego domku i podczas posiłków rozmawiała głównie na ten temat. Kiedy Brendan w pewnym momencie oznajmił niedbale, że zamierza wyjść wieczorem, obie były równie zadowolone, choć oczywiście z różnych powodów.

- Bardzo dobrze, mój drogi - ucieszyła się Sonia. - Z kim się umówiłeś?
- Ze starymi przyjaciółmi, których ściągnęłyście do Michelle na przyjęcie. Pogramy w tenisa. Jak widzisz, mam, twoje wysiłki nie poszły na marne.

- Wspaniale. A może weźmiesz ze sobą Merryn? Po takim dniu, jak dzisiejszy, przyda jej się trochę rozrywki.

Brendan i Merryn zmierzyli się wzrokiem. Od kiedy Rox przerwała im pocałunek, ani przez chwilę nie byli sami. I dobrze, bo bez świadków mogłaby mu powiedzieć wiele nieprzyjemnych rzeczy. Skoro jedynym komentarzem, na jaki zdobył się po ich pocałunku, było stwierdzenie, że wydorosłała - Merryn była gotowa go znienawidzić.

- Ależ oczywiście - zapewnił Brendan. - Jeśli tylko ma ochotę na moje towarzystwo. Pojedziesz ze mną, Merryn?

- Przykro mi, ale mam na ten wieczór inne plany.

203

- Naprawdę? - dopytywała się naiwnie Sonia. - Nic wcześniej nie mówiłaś.

Merryn z trudem się powstrzymała, żeby nie wybuchnąć gniewem.

- Nie pamiętasz? Mamy dzisiaj przybrać świąteczny tort.

- Ach, o to chodzi! Sama dam sobie radę.

- Nic podobnego. Nie wolno ci stać tyle czasu w jednym miejscu.

- W takim razie zrobimy to jutro rano.

- Łatwiej przybierać tort, kiedy jest chłodno.

- Nie chciałbym burzyć niczyich planów - wtrącił Brendan. - A zwłaszcza planów Merryn. Poza tym, kochana mamo, powinnaś chyba pojąć, o co jej chodzi. Merryn po prostu nie ma ochoty na moje towarzystwo. Cóż, jej prawo - dodał i spojrzał na nią z zaczepnym błyskiem.

- Masz całkowitą rację - szybko przytaknęła mu Merryn, po czym wstała i zaczęła zbierać talerze. Idąc do kuchni, usłyszała jeszcze, jak Sonia wyznaje Brendanowi swoją obawę, że święta nie zapowiadają się zbyt przyjemnie, skoro tyle jest napięcia między członkami rodziny, i jak Brendan zapewnia matkę, że nie powinna się niczym martwić.

- Skończone! - Merryn cofnęła się i spojrzała na tort, pyszniący się na kuchennym stole. Był przybrany białym kremem, srebrnymi wzorami i złotymi dzwoneczkami. W jednym rogu stał miniaturowy Święty Mikołaj z zaprzęgniętymi do sań reniferami, w drugim

GWIAZDKA MIŁOŚCI

leżała gałązka jemioli. Artystycznie wykonany napis życzył wszystkim „Wesołych Świąt!”, całość zaś otoczona była czerwono-zielonymi wstążkami.

- Wspaniały - stwierdziła Sonia. - Mogłybyśmy otworzyć cukiernię.
- Nie za bardzo pstrokaty?
- Dzieci lubią, żeby było kolorowo. A właśnie, ciekawe, jak się czuje Miranda.

Merryn spojrzała na nią z troską.

- Jeśli chcesz, zaraz zadzwonię do Rox.
- Och, nie. Niepotrzebnie robię tyle zamieszania. - Sonia przeciągnęła się i ziewnęła. - Tak mi przykro z powodu tej porannej awantury.
- Nic nie szkodzi. To nie była twoja wina.
- Wiem, ale boleję nad tym, że wasze stosunki z Brendanem się skomplikowały.
- Brendan chyba tak nie uważa - zauważyła z iro-jaią Merryn.
- W każdym razie był bardzo zaskoczony, kiedy Michelle go zapewniała, że ty... no...
- Że się w nim podkochiwałam? - Merryn postarała się, by zabrzmiało to odpowiednio lekko i beztrosko. - Podobno ty też tak sądzisz.

Sonia westchnęła.

- Niezupełnie tak - odparła z zakłopotaniem. - Nigdy nie uważałam, że się w nim kochasz. Wiedziałam natomiast, że Brendan znaczy dla ciebie więcej, niż ktokolwiek inny. Przyznasz, że to jest pewna różnica.
- Merryn myślała przez chwilę, potem wzruszyła ramionami.

205

- Może?

- Czy to się zmieniło?

- Tak, teraz jest całkiem inaczej. Udało mu się w końcu mnie przekonać, że ja... że to tylko strata czasu.

Sonia uniosła brwi.

- O tym właśnie cię przekonał? Miałam wrażenie, że wcale tak nie uważa.

- Może więc powinien. - Uśmiechnęła się do starszej kobiety i pogłaskała ją po dłoni. - Dajmy już temu spokój, Soniu. Wstawmy tort do lodówki i chodźmy spać. Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym zniknęła z domu na cały jutrzejszy dzień? Chciałabym przed świętami odwiedzić kilka znajomych osób.

Sonia wyglądała tak, jakby miała ochotę się sprzeciwić, kiedy jednak spostrzegła pełne rezerwy spojrzenie Merryn, postanowiła nie protestować.

- Ależ oczywiście, moja droga. Już całkiem dobrze daję sobie radę sama. Nie musisz całymi dniami wokół mnie skakać.

Następnego ranka Merryn opuściła po cichu dom Greyów i pojechała do swojego mieszkania. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, poczuła niezmierną ulgę. Nareszcie nie musiała z nikim się spotykać, z nikim rozmawiać, przed nikim niczego udawać. Była sama i mogła zastanowić się nad sobą. Dokonać podsumowania...

Przez pierwsze godziny sprzątała i wietrzyła niewielkie mieszkanie, porządkowała skarby, zgromadzo-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

ne w czasie podróży, i po prostu cieszyła się chłodnym wnętrzem, urządzonym przez nią starannie i ze smakiem. To był jej azyl i tu się czuła najlepiej.

Kiedy skończyła sprzątać, poczuła, że napięcie z niej opadło, ale nadal nie była gotowa do rozmyślań o Brendanie. Wzięła więc prysznic i włożyła powłóczystą, długą, białą suknię. Potem przyrządziła sobie niewielki posiłek z produktów, które kupiła w drodze do domu. Jadła wolno, siedząc z nogami opartymi

o chłodny blat niskiego stolika w salonie. Wreszcie ułożyła się na kanapie i usnęła.

Obudził ją dzwonek do drzwi. Tego się zupełnie nie spodziewała. Wstała z uczuciem niepokoju. Może coś przytrafiło się Soni?

W progu stał Brendan.

- Co tutaj robisz? - Uchyliła drzwi do połowy i popatrzyła na niego zaskoczona. Zjawił się bez zapowiedzi, a w dodatku ubrany w garnitur i krawat, ze starannie uczesanymi włosami.

- Chciałbym znowu wkraść się w twoje łaski - oznajmił krótko. - Wpuść mnie, Merryn.

- Wiesz, że nie muszę. To znaczy... nie mamy sobie nic do powiedzenia - poprawiła się szybko.

- Owszem, mamy. - Zmierzył ją wygłodniałym spojrzeniem, podziwiając jej nagie stopy, cienką suknię i zmierzwiłone od snania włosy. - Chyba że ktoś u ciebie jest? - zapytał ze znaczącym uśmieszkiem.

Było całkiem oczywiste, co ma na myśli. Merryn spojrzała po sobie i gwałtownie nabrała powietrza.

Z powodu upału, po kąpieli pod prysznicem nie włożyła stanika, a biała suknia wcale tego nie skrywała. Spojrzała ostro na Brendana.

- Nie sądz mnie według swojej miary. Było mi gorąco... Nikogo tu nie ma.

- Tym bardziej możesz mnie wpuścić. Nie możemy udawać, że się nie znamy...

- Wcale nie miałam takiego zamiaru.

- W takim razie pozwól mi wejść.

Spojrzała na niego gniewnie, ale otworzyła szerzej drzwi, a sama zniknęła w głębi mieszkania. Poszła do sypialni i za zamkniętymi drzwiami niespiesznie przebrała się w inną sukienkę, ciemnozieloną w białe kropki. Uczesała się, wsunęła stopy w pantofelki na płaskim obcasie i wyszła do salonu.

Brendan stał na balkonie. Zdjął marynarkę eleganckiego, szarego garnituru, pozbył się też krawata i przewiesił go przez oparcie krzesła. Podwinął rękawy, dłonie ukrył w kieszeniach i podziwiał widoki, jakie roztaczały się z jej okna. Kiedy wyczuł za sobą jej obecność, odwrócił się i przez długi czas nic nie mówił.

- Czego chcesz? - odezwała się pierwsza i spokojnie usiadła w fotelu. - Wieczorem miałam zamiar wrócić, jeśli właśnie to cię niepokoiło. Chyba nie myślałeś, że zostawiłabym Sonię samą tuż przed świętami.

- Nie myślałem - przyznał - ale oboje przyczyniliśmy się do popsucia świątecznej atmosfery, postanowiłem więc, że musimy to naprawić.

Mówiąc otwarcie, Sonia jest w okropnym nastroju.

Merryn przełknęła ślinę.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Będziemy musieli bardziej się kontrolować. Wszedł do pokoju i usiadł naprzeciwko niej.

- Doprawdy? Mamy zachowywać się tak, jakby nic się nie wydarzyło? Naprawdę sądzisz, że to możliwe?

- Tak - odparła krótko. - A poza tym, cóż takiego się stało?

Na jego ustach pojawił się przelotny uśmiech.

- Chcesz powiedzieć, że nie udało mi się sprawić, żeby ziemia poruszyła się pod twymi stopami? Oczywiście, wiem - dodał kpiąco - nie doszliśmy jeszcze do tego etapu.

Merryn postanowiła opanować złość i nie uciekać się do niepotrzebnej uszczypliwości.

- Proszę bardzo, kpij sobie, jeśli sprawia ci to przyjemność.

- Wcale nie - odparł szybko. - Po prostu całowałaś mnie wczoraj tak namiętnie...

- A co miałam robić? - Zerwała się nagle na równe nogi. - I czy naprawdę sądzisz, że możesz pozwolić sobie na wszystko, co tylko przyjdzie ci do głowy?

- Zaraz, zaraz... Czy chcesz powiedzieć, że cię do czegoś sprowokowałem? - zapytał wolno.

- Tak, zrobiłaś to! Tylko że jak słusznie potem zauważyłaś, wydorostałam i nie jestem już małą, zapłakaną dziewczynką, którą możesz pocałunkiem zmusić do uległości, kiedy przyjdzie ci na to ochota!

Teraz on wstał i stanął obok niej.

- Rozumiem, jesteś bardzo doświadczona pod tym względem.

- Bardzo! - przytaknęła gwałtownie.

Brendan stracił pewność siebie. Zauważyła, że na jego brodzie gwałtownie zadrgał jakiś mięsień, a dłonie zacisnęły się kurczowo w pięści.

- Aha, więc rodzinna troska, że panna Millar nadal jest we mnie beznadziejnie zadurzona, okazała się całkiem zbyteczna?

- Tak.

- W takim razie twój związek ze Steve'em ma dla mnie jeszcze mniej sensu - stwierdził szorstko.

- Nie mieszaj go do tego.

- Bo nigdy tak naprawdę nie był w nic zamieszany?

- Nie. Ponieważ... - Nagle ramiona opadły jej z rezygnacją. - Idź już sobie, dobrze? Mam tego dosyć.

- Nie mogę - odparł lekkim tonem, który bardzo ją zaskoczył.

- Co to ma znaczyć, że nie możesz?

- To znaczy, że nie mam żadnego środka transportu. Liczyłem na to, że podrzucisz mnie do domu.

Merryn zacisnęła zęby ze złości.

- Nie powiesz mi chyba, że przyszedłeś tu piechotą? A w ogóle, skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Nie wiedziałem. Zaryzykowałem. I nie przyszedłem tu na piechotę.

Przyjechałem taksówką. Rano odstawiłem BMW do warsztatu. Będzie gotowe dopiero jutro po południu.

- A kto przez cały dzień dotrzymuje towarzystwa Soni? - zapytała wojowniczo, opierając ręce na biodrach.

210

- Zawiozłem ją do Rox. Chciała zobaczyć, jak się miewa Miranda. Naprawdę podejrzewałaś, że zostawiłbym ją samą na cały dzień?

- Sądzę... - Urwała i w duchu policzyła do dziesięciu. - No dobrze, zaczekaj. Zamknę tylko okna.

- Nie musimy się śpieszyć. Sonia zostanie u Rox na noc.

- O!

- Sama zdecydowała. Jeśli mogłabyś mnie poczęstować czymś chłodnym, byłbym bardzo wdzięczny.

Merryn zwróciła się ku niemu, lecz zawahała się i nic nie powiedziała.

Przez chwilę ją obserwował, potem zapytał poważnie:

- Może byśmy się zastanowili, jak postępować, żeby jej więcej nie niepokoić? - Wciąż milczała, więc zaczął z innej beczki: - Ciekawi mnie, od jak dawna masz to mieszkanie. Bardzo do ciebie pasuje.

- Co to ma znaczyć?

- Jeśli dasz mi zimne piwo, wszystko ci wytłumaczę.

- Proszę bardzo - westchnęła i poszła do kuchni. Po chwili postawiła przed nim na marmurowym blacie oszronioną puszkę piwa i wysoką szklankę. Sobie przyniosła sok owocowy.

- Dzięki. - Otworzył puszkę i nalał pół szklanki. - Na pewno nie napijesz się czegoś mocniejszego?

- Dopiero trzecia... - Zerknęła na zegarek i wykrzyknęła zaskoczona: - Boże, już piąta! Jak mogłam tak długo spać?

- Nie wiem. - Brendan wzruszył ramionami, usiadł wygodniej i wyprostował długie nogi. - Mieszkasz tu sama?

- Tak. Po skończeniu dwudziestu jeden lat przejęłam spadek po rodzicach i mogłam sobie pozwolić na samodzielne mieszkanie. Twój ojciec pochwalił moją decyzję. Powiedział, że to dobra inwestycja, a w dodatku będę miała własny kąt. Można powiedzieć, że miałam szczęście.

211

- Zasługiwałaś na trochę szczęścia po stracie rodziców.
- Być może. - Wzruszyła ramionami. - Nie powiedziałeś mi, dlaczego uważasz, że to mieszkanie do mnie pasuje.
- Cóż... - rozejrzył się wokół - jest tu we wszystkim jakaś dyskretna elegancja, harmonia i ład, dobry styl, spokój. - Merryn zarumieniła się i pożałowała, że zadała mu to pytanie. - Wiesz, dziwi mnie, że nigdy się nie spotkaliśmy - oznajmił nagle.
- Jak to? - Zmarszczyła brwi.
- W samolocie.
- Och. Pewnie kiedyś się spotkamy.
- Tak, a ty będziesz mogła mnie potraktować z wykszoloną, chłodną uprzejmością. - To stwierdzenie rozbawiło Merryn. - Śmiejesz się? Trudno ci to sobie wyobrazić?
- Owszem.
- W takim razie co powiesz na wspólną kolację? Soni nie ma w domu, więc nie musimy śpieszyć się z powrotem, prawda? - dodał, gdy spojrzała na niego zaskoczona.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Nie, ale...

- Żadne ale, panno Millar. Może wybierzemy się do Riverside?

Popłynęlibyśmy promem, żeby nie szukać miejsca do parkowania.

Merryn zamilkła. W Riverside, na drugim brzegu rzeki, znajdował się kompleks sklepów i restauracji, przylegający od Ogrodu Botanicznego i hotelu „Heri-tage”. Przystań promowa znajdowała się o kilka minut drogi od jej domu, a podróż w górę rzeki nie zabierała wiele czasu. Promy kursowały regularnie.

- Nie wiem....

- Dlaczego? Nie chcesz choć raz w życiu zaszaleć?

- Wymienił nazwę restauracji słynącej z wyśmienitego jedzenia, położonej przy samej rzece.

- Pewnie nie będzie wolnych stolików - próbowała oponować. - Poza tym nie jestem odpowiednio ubrana.

- Jestem pewien, że znajdziesz w szafie jakiś strój

- uśmiechnął się kusząco. - A co do wolnych miejsc, to zaraz zobaczymy - powiedział i sięgnął po słuchawkę telefonu.

Rozdział 6

Podczas rejsu po rzece oboje milczeli. Słońce już zaszło i w gładkim lustrze wody odbijało się teraz bajkowe, różowofioletowe niebo. W wysokich budynkach na brzegu zapalały się światła, wydobywając z mroku kontury nabrzeża i mostu. Powietrze stało nieruchome.

Wspinali się właśnie po kamiennych schodach, prowadzących od przystani ku Riverside, kiedy Brendan przerwał tę dziwną ciszę między nimi.

- Stąd Brisbane wygląda najpiękniej - powiedział rozmarzonym głosem.

- Tak - potwierdziła Merryn. - To naprawdę ładne miasto. Nie za duże, nie za bardzo zatłoczone.

- A teraz w dodatku świątecznie przystrojone. - Wskazał na kolorowe światełka, migoczące niemal na każdym kroku.

- Mhm, do Bożego Narodzenia zostały tylko trzy dni.

Wziął ją pod rękę i wprowadził do restauracji. Najwyraźniej był tu znany, ponieważ kelner powitał go, wymieniając jego nazwisko, po czym zapewnił, iż zarezerwował dla nich jeden z najlepszych stolików, przy samym oknie. Przyszli dość wcześnie, więc na sali nie było wielu gości. Merryn ucieszyła się z tego.

GWIAZDKA MŁOŚCI

Trochę spokoju i łagodne światło świec na pewno poprawią jej nastrój. Złożyli zamówienie, przyniesiono im butelkę wina. Merryn piła je wolno, spoglądając przez okno na rzekę. Brendanowi wystarczało chyba, że może się przyglądać swojej towarzyszce, gdyż milczał, tak jak w czasie rejsu promem. W ten sposób dotrwali do pierwszego dania.

- Zaprosiłem cię tutaj z wyjątkowego powodu -oznajmił Brendan, kiedy skończyli jeść wykwintne przystawki.

- Cóż to za powód?

- Pomyślałem sobie, że nasze stosunki przestaną być takie napięte, jeśli spotkamy się na neutralnym terytorium, zwłaszcza tak pięknym, jak ta restauracja. Dobre jedzenie i wino sprzyja kruszeniu lodów.

- Tak sądzisz? - odparła cicho i sięgnęła po kieliszek.

- Tak - zapewnił. - Przyszło mi też do głowy, żeby właśnie w takim pięknym miejscu poprosić cię o rękę.

Merryn zadrżała na te słowa i trochę wina wylało się z kieliszka na obrus. Odstawiła kieliszek i osuszyła czerwoną kałużę serwetą. Potem popatrzyła na niego zmieszana i wyznała bezradnie:

- Nic nie rozumiem...

- Wiem - spojrzał na nią całkiem przytomnie -

i obawiam się, że to moja wina. Ja też nic nie rozumiałem. Czułem się tak, jakbym znał dwie różne osoby - dawną Merryn i obecną. Musiało upłynąć trochę cza-

su, zanim zrozumiałem, że jest tylko jedna, zawsze ta sama. Było to trudne, wyjątkowo trudne, ponieważ zawsze zajmowałaś w moim sercu szczególne miejsce.

- Chcesz powiedzieć, że wolisz dawną Merryn? -zapytała ostrożnie.

- Nie. Raczej to, że nowa Merryn wydawała mi się jakąś piękną nieznajomą. Kiedy zaś tylko ta piękna nieznajoma, której coraz bardziej zaczynałem pragnąć, okazywała mi troskę, wtedy wszystko sobie przypominałem.

- Przypomniałeś sobie historię z myszką.

- Właśnie. Wtedy znów zrozumiałem, że ty to ty, i ogarnęło mnie ogromne poczucie winy. Uświadomiłem sobie, że pragnę biednej Merryn, sieroty, która wychowała się w naszym domu i która jest taka młoda, taka niedoświadczona. Poczuję się jak jakiś niegodziwiec.

- Więc... pragnąłeś mnie?

- Odkąd tu przyjechałem, choć sam nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo. Powinienem był się tego domyślić wcześniej, kiedy ogarniała mnie niewytłumaczalna złość na myśl, że coś cię może łączyć ze Ste-ve'em. To jego o wszystko obwiniałem. - Skrzywił się. - Pewnie tak samo traktowałbym każdego mężczyznę, którym byś się zainteresowała.

- Ale... Czy wcześniej nic nie dostrzegłeś? Kiedy poprzednio się widzieliśmy, miałam dwadzieścia jeden lat - powiedziała i natychmiast zamilkła.

- Jeśli chcesz mi dać do zrozumienia to, co mam na myśli, to muszę przyznać, że okazałem się niewia-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

rygodnym głupcem - odparł cicho i ostrożnie dotknął jej dłoni.

- Ale... - Merryn drgnęła niespokojnie. Ale... - chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz język odmówił jej posłuszeństwa.

- Napij się wina - poradził Brendan, gdy zaś to zrobiła i trochę się uspokoiła, odezwał się ponownie: - O coś chciałaś zapytać?

- Tak... Dlaczego z niczym się nie zdradziłaś, dopóki Michelle... - urwała i bezradnie rozłożyła dłonie.

Brendan uśmiechnął się z zadumą, westchnął.

- Cóż, prawdę mówiąc, chciałem ci wyznać to wcześniej, już po przyjęciu, kiedy wszystko zaczęło rozjaśniać się w mojej głowie. Mogłem wreszcie określić to dziwne poczucie niepokoju i pustki, które dręczyło mnie od pewnego czasu. Potrafiłem je w końcu nazwać, i to nazwać imieniem dziewczyny, której nie umiałem wyrzucić z serca ani z pamięci. Miałem ku temu okazję w Sanctuary Cove. Myślałem sobie, że jeśli ty... podzielasz moje uczucie, to dasz mi jakiś znak. - Popatrzył na nią przenikliwym wzrokiem, w którym czał się cień smutku. - Ale nie doczekałem się żadnego znaku - mówił dalej. - Okazywałaś mi troskę, przyjaźń i - nic więcej. Wiem, to dużo. Wówczas przypomniałem sobie jednak, że tak samo zachowywałaś się na tym okropnym przyjęciu u Michelle, i doszedłem do wniosku, że choć cię pragnę, to i tak nigdy cię nie zdobędę. Po prostu, ty zupełnie nie brałaś tego w rachubę.

- Och... - Merryn nie wierzyła własnym uszom.

Czuła, że teraz ona powinna odpłacić szczerością za szczerść, jednak Brendan nie dał jej dojść do głosu.

- Widziałem też, jak świetnie dajesz sobie w życiu radę - powiedział, po czym pochylił głowę i przez chwilę bawił się w zamyśleniu nóżką kieliszka. -W porównaniu do ciebie, ja zupełnie nie nadaję się do normalnego życia. Jestem ostatnią rzeczą, jakiej ci w życiu potrzeba.

- Państwa homar - odezwał się kelner, pojawiając się nagle przy stoliku. Merryn spojrzała na przyniesione danie - wspaniałego, różowego homara w sosie *mornay*, z ryżem i warzywami *saute*.

- Nic o tym nie wiedziałam - oznajmiła lekko schrypniętym głosem.

Kelner spojrzał na nią pytająco. Zamknęła oczy. Usłyszała, że Brendan mówi coś do niego, kiedy zaś otworzyła oczy, znów byli sami.

- Nie pozwól, żeby wystygło.

- Chyba nie jestem głodna.

- Na pewno jesteś. Spróbuj chociaż trochę. Wzięła widelec. Oczywiście, potrawa okazała się

wyśmienita. Kiedy skończyła jeść, odsunęła talerz i powiedziała:

- Dlaczego teraz mówisz mi to wszystko? Przez chwilę się zastanawiał.

- Dlaczego nie powiedziałem ci tego wczoraj po południu? {

- Na przykład.

- Bałem się, że nie uwierzysz. Wydawało mi się, że jesteś zażenowana, zirytowana...

- Bo byłam, ale...
 - A teraz mi wierzysz?
 - Ja... - zawahała się, nie umiała odpowiedzieć na to pytanie.
 - Prawdę mówiąc, podziwiam cię za to, że nie dałaś się poskromić pocałunkiem. Podziwiam cię za to i kocham - dokończył cicho.
 - A to, że...
 - .. .jesteś bardzo doświadczona? Owszem, na chwilę mną to wstrząsnęło, ale potem przyszło mi do głowy, że byłaś na mnie rozgniewana, więc pewnie specjalnie chciałaś mnie zaszokować. Nie uwierzyłem ci. Myliłem się?
 - W sprawie moich doświadczeń? Nie, tylko że...
 - Nie możesz uwierzyć, że cię kocham?
 - To wszystko stało się tak nagle.
 - Nie tak znowu nagle. To narastało od wielu lat.
 - Zawahał się. - Sam zresztą nie wiem. Może właśnie odkryłaś, że coś, czego od dawna pragnęłaś, wcale już -fcię tak nie pociąga.
- Merryn poczuła, że policzki gwałtownie jej czerwienieją, odwróciła wzrok.
- Nie krępuj się - Brendan położył dłoń na jej dłoni
 - możesz mi to powiedzieć, mała. Nie jestem takim głupcem czy egoistą, żeby sądzić, że skoro ja coś do ciebie czuję, to ty od razu musisz czuć to samo. -Spojrzał na nią, a jej się zdawało, że czeka, by zaprzeczyła. Ona jednak milczała, więc dokończył: -W każdym razie kiedy wreszcie zrozumiałem, że te dwie Merryn to tak naprawdę jedna osoba, tylko jeden wniosek wydał mi się sensowny.
 - Jaki wniosek? - wyszeptała. Odchylił się lekko do tyłu.
 - Że nie powinienem już się dręczyć, tak jak ostatnio. Nagle ustał niepokój szalejący w mej duszy. Nawet jeśli nie traktujesz mnie jak dawniej i wybierzesz kogoś innego, to ja i tak wiem, że istnieje ktoś stwo-

rzony specjalnie dla mnie. To mi wystarczy. Pech chciał, że najpierw byłem zbyt blisko tej osoby, a potem zająłem się innymi sprawami i nie zauważyłem, kiedy ta osoba zmieniła się we wspaniałą kobietę, choć zachowała wszystkie zalety, które tak bardzo w niej ceniłem, gdy była dzieckiem. Ta świadomość da mi spokój do końca życia. Niezależnie od tego, co będzie, ja już cię odnalazłem, Merryn. Na zawsze pozostaniesz w moim sercu.

Łzy wolno wezbrały pod powiekami Merryn i spłynęły po jej policzkach.

- Bren - wyszeptała z trudem - proszę, wracajmy do domu. Jestem taka szczęśliwa, że nawet nie potrafię tego wyrazić.

Tym razem prom był pełen ludzi i nie udało im się znaleźć siedzących miejsc. Nie przeszkadzało jej to jednak, ponieważ stała w objęciach Brendana. Trzymając się za ręce, poszli do jej mieszkania, a Merryn odezwała się dopiero, kiedy zamknęły się za nimi drzwi.

- Kochałam cię od samego początku, Bren, ale bałam się, że kiedy się o tym dowiesz, poczujesz do mnie litość... tylko litość.

- Litość? Nigdy! - Wziął ją w ramiona. - Czuję

GWIAZDKA MIŁOŚCI

tylko nadzieję, głęboką, desperacką nadzieję. I sam już nie wiem, co robić, Merryn. Pocałowałem cię dwukrotnie, za każdym razem bez twojego pozwolenia...

- Teraz też możesz mnie pocałować - wyszeptała. - Z moim pozwoleniem. A jeśli tego zaraz nie zrobisz, oszaleję.

Ten pocałunek był niczym pierwszy łyk wody po kilkudniowej wędrówce przez pustynię. Kiedy skończyli, Brendan oddychał nierówno i głęboko, patrzył zaś na nią z taką tęsknotą, że Merryn mogła tylko wziąć go za rękę i poprowadzić do sypialni.

- Czy zechcesz zostać moją żoną? - zapytał, gdy stanęli obok jej łóżka, przy oknie, za którym światło księżyca kładło się srebrzystą ścieżką w poprzek rzeki.

- Oczywiście - odparła i niezgrabnie objęła go w pasie.

- O co chodzi? - zapytał, wyczuwając jej zdenerwowanie.

- Ja nie tylko nie jestem bardzo doświadczona, Bren. Ja nigdy z nikim...

- Naprawdę, kochana? - zapytał z czułością, od której zakręciło jej się w głowie. Pocałował Merryn delikatnie, usiadł na łóżku i posadził ją sobie na kolanach. - Nie ma się czego bać.

- To nie dlatego, że się bałam - wyjaśniła. - Po prostu nie umiałam sobie wyobrazić, że mogłabym to zrobić z kimś innym, nie z tobą. - Zamilkła i uśmiechnęła się do niego niepewnie. - Powtarzałam sobie, że któregoś dnia to uczucie zniknie, że przestanę czuć do ciebie to, co wciąż czuję. Nie przestałam.

- A Steve?

- Dobrze - spojrzała na niego z figlarnym błyskiem w oku - wyjaśnijmy wreszcie kwestię Steve'a...

- Wszystko sobie wymyśliłaś? - domyślił się.

- Tak. Zjawiłeś się w domu jak grom z jasnego nieba, a do powiedzenia miałeś mi tylko tyle, że wydoroślałam. Postanowiłam wymyślić coś, czym mogłabym się przed tobą bronić.

- I nie przewidziałaś, że ta bajeczka bardzo spodoba się całej rodzinie, nie mówiąc już o Steve'ie?

- Cóż, podejrzewałam, że Steve...

Brendan roześmiał się cicho i oparł podbródek na czubku jej głowy.

- Jakoś to przeżyje. Przepraszam cię - dodał niespodziewanie.

- Za co?

- Za to ciągle powtarzanie, że wydoroślałaś. W ten sposób ja próbowałem się bronić. Czy wyobrażasz sobie, jaki to wstrząs, kiedy ktoś, kogo szukasz przez wiele lat po całym świecie, czeka na ciebie w twoim własnym, rodzinnym domu?

- Wymyśliłeś więc, że przyjmiesz dawną pozę starszego brata.

- Mniej więcej.

Roześmiała się rozbawiona, potem uniosła głowę, a Brendan znów ją pocałował.

- Muszę ci jeszcze coś powiedzieć - wyznał, kiedy się rozdzielili. - Zanim dzisiaj do ciebie przyszedłem, miałem ważne spotkanie.

- Coś się stało? - Pytająco zmarszczyła brwi.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

-Właściwie tak. - Uśmiechnął się do swoich myśli. - Jakiś czas temu skontaktowała się ze mną pewna australijska firma, zaproponowali mi fuzję. Wtedy odmówiłem, ale kilka dni temu zwróciłem się do nich z zapytaniem, czy propozycja nadal jest aktualna. Okazało się, że tak.

- Bren! - przerwała mu śpiesznie. - Nie musisz tego robić.

- Owszem, muszę. Wracam do domu, najdroższa.

- A twoje zamiłowanie do podróży?

- Już nie jest takie, jak dawniej. Może czasem gdzieś wyjadę, ale na pewno nie na długo. No i właśnie w wiązku z tym chciałem cię o coś zapytać.

- Wiem. Czy ja potrafię zrezygnować ze swojego zamiłowania do podróży - domyśliła się szybko, a Brendan skinął głową i popatrzył na nią poważnie. - Być może - Merryn uśmiechnęła się chytrze. - W. każdym razie jeśli powiększy się nam rodzina...

Były to ostatnie słowa, jakie zdołała wypowiedzieć, zanim Brendan pociągnął ją za sobą na łóżko i zamknął usta gorącym pocałunkiem.

- Kiedy im o tym powiemy? - zapytała cicho Merryn kilką godzin później, w środku ciepłej, księżycowej nocy.

Brendan odsunął na bok kosmyk jej kruczoczarnych włosów, pocałował nagie ramię. Poruszyła się pod prześcieradłem i przytuliła do niego całym ciałem. Westchnęła. To wszystko było takie piękne, takie niezwykle i zarazem takie naturalne. I pomyśleć, że je-

szcze kilka godzin temu znajdowała się na dnie rozpaczy.

- Dlaczego wzdychasz? - zapytał zniżonym głosem i delikatnie ją pogłaskał. - Dobrze się czujesz?

- Nigdy nie czułam się lepiej - zapewniła. - A ty?

- Ja też. Czy teraz wierzysz, że masz kogoś, kto należy wyłącznie do ciebie?

- O, tak. Wierzę całym sercem.

- Kiedy więc im powiemy? - powtórzył jej pytanie. - Hm, gdyby to ode mnie zależało, porwałbym cię, nikomu nic nie mówiąc.

- Wiem, co masz na myśli - odparła z rozbawieniem. - Ale nie możemy tego zrobić Soni.

- Wiem, mama bardzo się ucieszy.

- Mam! - Merryn usiadła gwałtownie.

- Co masz? O co chodzi? - zdziwił się i lekko zaniepokoił.

- Mam pomysł. Wiesz, że Sonia wcale się nie cieszy na myśl o zimnym bufecie zamiast tradycyjnego świątecznego obiadu, prawda?

- Nie cieszy się?

- Zupełnie nie. Trochę ją do tego zmusiłam.

- To do ciebie zupełnie niepodobne. Ale zimny posiłek rzeczywiście jest bardziej praktyczny. Soni nadal dolega operowane biodro, no i ten nasz klimat...

- Tak, to wszystko prawda, ale w głębi serca wiem, że Sonia pragnęłaby zachować rodzinną tradycję. W jej przekonaniu ja zamierzałam z nią zerwać.

Brendan oparł się na łokciu i spojrzał jej w oczy.

- Dlaczego?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Zastanowiła się, ale w końcu wyznała:

- Nie chciałam, żeby ten dzień przypominał mi o dawnych świątecznych obiadach, ze wszystkimi świątecznymi przysmakami i... i z tobą.
 - Najdroższa Merryn - wyszeptał i przyciągnął ją do siebie. - Bardzo cię za wszystko przepraszam.
 - Ależ Bren, już mi to wynagrodziłeś.
 - Jesteś taka dobra. Nie zasłużyłem sobie na to. W jej oczach zamigotały psotne ogniki.
 - Może i nie zasłużyłeś, ale teraz potrzebuję twojej pomocy.
 - Czego tylko sobie zażyczysz, najdroższa. Tylko ostrzegam, że przygotowanie świątecznego obiadu przekracza moje możliwości. Merryn roześmiała się z radością.
 - Och, wiem. Ja się zajmę gotowaniem, ale ty pomożesz mi w zakupach. Razem sprawimy Soni niespodziankę. Po wszystkim, przez co ostatnio przeszła, należy jej się jakieś miłe przeżycie. W dodatku nie przemęczy się w kuchni, bo większość potraw przyrządzimy tutaj, jeśli oczywiście zachowasz wszystko w tajemnicy.
 - Oczywiście - zapewnił bez wahania. - Tylko uważaj, żebyś sama się nie przemęczyła! - ostrzegł i pocałował ją najśłodziej jak umiał. - Pozostał nam jeszcze jeden problem do rozstrzygnięcia - odezwał się po tym przepysznym interludium. - Kiedy o wszystkim im powiemy?
- Merryn przeczesła dłonią włosy.
- A może zrobimy podwójną niespodziankę?

Przez następne dwa dni Merryn nie raz żałowała swej decyzji. Przygotowanie w ostatniej chwili tradycyjnego obiadu wymagało zakupów w szaleńczym tempie, poza tym niektórych spośród produktów musieli szukać w całym niemal mieście, zanim je znaleźli. Jednak przed wigilią udało się zgromadzić je wszystkie i Merryn mogła zająć się pracą w kuchni.

- Jesteś pewna, że dasz sobie radę? - niepokoił się Brendan, patrząc na piętrzące się na kuchennych blatach wiktuały.
- Trudno. Zrobię tyle, ile zdążę.
- A ja? Mogę tu zostać?
- Oczywiście. Możesz nawet mi pomóc. Umiesz obierać ziemniaki?
- Chyba tak, chociaż są rzeczy, które wychodzą mi lepiej. Na przykład to!
- Wyjął tarkę z jej ręki, postawił na stosie cebuli i wziął Merryn w ramiona. - Zgadzasz się ze mną? - zapytał poważnie.
- Że wychodzi ci to lepiej niż obieranie ziemniaków? - Udawała przez moment, że się zastanawia. -Możliwe.
- Wiesz, do czego mnie prowokuje taka powściągliwa odpowiedź?
- Wiem, że masz ochotę w pełni zaprezentować swoje umiejętności.
- Otóż to.
- Świetnie, tylko że jest coś, co mnie w tym wszystkim martwi.
- Co takiego?
- Że na samą myśl o twoich umiejętnościach wszy-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

stko inne wylatuje mi z głowy, włącznie z obieraniem ziemniaków.

- No, nareszcie odpowiedź godna przyszłej żony!

- Cieszę się, że tak myślisz.

- Tak bardzo, że pewnie nawet nie przyszło ci do głowy, że będę czuł się winny z powodu tego, że potem spędzisz pół nocy w kuchni? - zapytał łagodnie. Roześmiał się, ujął jej twarz w dłonie i lekko ją pocałował.

- Podaj mi nóż do obierania ziemniaków. Naprawdę postaram się być wspaniałym mężem, nie tylko w sypialni.

- Z drugiej strony... - Merryn spojrzała na niego zalotnie.

- Tak?

- Może mógłbyś mnie pojutrze gdzieś zabrać i zrobić wszystko, na co tylko masz ochotę?

- To się nazywa oferta nie do odrzucenia! - ucieszył się i pocałował ją jeszcze raz.

Świąteczny dzień wstał bezchmurny i gorący.

- Naprawdę, Merryn, czuję się okropnie, że zostawiam cię ze wszystkimi przygotowaniami na głowie

- powiedziała Sonia ze smutkiem.

- Och, przecież jest tak niewiele do zrobienia - Merryn uciekła się do niewinnego kłamstwa.

- Tym bardziej powinnaś jechać z nami. Merryn zerknęła na Brendana, a ten pośpieszył jej

z pomocą.

- Mamo, skoro ustaliliśmy, że Merryn pójdzie do kościoła wieczorem, to niech tak zostanie. Dajmy jej

spokój, zwłaszcza że po mszy chcesz jeszcze odwiedzić dalszą rodzinę.

Nie zapominaj, że Merryn będzie miała mnóstwo sprzątanania po obiedzie.

- No dobrze - uległa wreszcie Sonia i pocałowała Merryn na do widzenia.

- Skoro tak wolicie...

Nie za bardzo podobało jej się to wszystko. Najpierw ten pomysł z zimnym bufetem, potem kłótnia, która o mało co nie zepsuła rodzinnego przyjęcia, a teraz rozdzielają się w Boże Narodzenie, zamiast być tego dnia razem.

Całe szczęście, że gdy tylko wrócili z Brendanem w południe do domu, czekała już na nich nie tylko Merryn, ale i cała reszta rodziny Greyów. Obecność sześciorga przejętych dzieci i jednego niemowlęcia tak zaś zaprzątnęła jej uwagę, że nie dojrzała porozumiewawczych spojrzeń, jakie syn i Merryn wymieniali za jej plecami. Nastąpiło zbiorowe otwieranie ułożonych pod choinką prezentów, a potem dokonano ceremonialnego otwarcia domku. Był nawet szampan, którym skropiono jego dach.

O pierwszej wszyscy zaczęli myśleć o obiedzie.

- Spodziewałam się, że zjemy na werandzie - zdziwiła się Sonia, widząc, że stojący tam stół pozostał nie nakryty.

- W ostatniej chwili postanowiłam zmienić plan - oznajmiła radośnie Merryn. - Chodźmy wszyscy do jadalni.

Rox i Michelle zebrały swoje dzieci, z trudem odrywając je od zabawy w domku i nad sadzawką. Ich mężowie posłuszne podreptali za nimi.

Brendan i Merryn wzięli się za ręce i poszli przodem.

- Ja też myślałam, że zjemy na werandzie - odezwała się Michelle. - Na dworze łatwiej by było zapanować nad dziećmi. Zimny bufet w jadalni?
- Zamilcz choć na chwilę, kochana siostrzyczko - poprosił cicho Brendan i z rozmachem otworzył drzwi do jadalni.

Wszyscy zatrzymali się w progu, zaskoczeni wspaniałym widokiem. Wielki stary stół przykrywał świąteczny, koronkowy obrus. Na środku stała kompozycja ze szkarłatnych poinsecji, ozdobionych złotą wstążką. Stół zastawiono kryształami i srebrem, a obok każdego talerza leżały świąteczne petardy z niespodzianką i pudełeczko czekoladek.

Jednak nie to sprawiło, że Sonia z niedowierzaniem zamrugła powiekami, próbując powstrzymać cisnące się do oczu łzy wzruszenia. Powodem wzruszenia były dwa parujące, złociste indyki, pyszniące się na srebrnych półmiskach, a także połyskująca chrupiącą skórki pieczona szynka, przybrana kawałkami ananasa oraz wiśniami, pieczone ziemniaki, dynia, kalafior, fasolka, groszek i cała masa najróżniejszych przysmaków, jakimi zawsze raczyła swych bliskich w dzień Bożego Narodzenia.

- Merryn! Moja droga!

- Wesółych Świąt, Soniu! - powiedziała Merryn i uściskała ją serdecznie, a wtedy wszyscy, nawet Michelle, nagrodzili tę scenę oklaskami.

- Ale jak ci się udało to wszystko przygotować? - dopytywała się Sonia, kiedy wszyscy zasiedli już do stołu, rozerwali świąteczne petardy i sprawdzili, jakie maksymy kryją się w pudełeczkach z czekoladkami. - To chyba jakieś czary...

- Ależ nie - roześmiała się Merryn. - Pomógł mi Bren. Wszystkie zaś rzeczy, które wcześniej kupiłam z myślą o zimnych przekąskach, przekazałam Armii Zbawienia.

- Wspaniały pomysł. Wciąż jednak nie rozumiem, dlaczego w ostatniej chwili zmieniłaś zdanie.

Merryn spojrzała na siedzącego obok niej Brendana. Wziął ją pod stołem za rękę, lekko uścisnął, po czym wstał i zadzwonił nożem o kieliszek.

- Proszę was, moi drodzy, o uwagę! - odezwał się donośnym głosem i radosny gwar powoli ucichł. - Zebraliśmy się przy tym wspaniale zastawionym świątecznym stole, by wspominać Narodzenie Naszego Pana, i cieszymy się wszyscy, że w ten szczególny dzień możemy być razem. Właśnie jednak sobie uświadomiłem, że Merryn, która tak ciężko pracowała, żeby przygotować dla nas te tradycyjne przysmaki, jeszcze nie dostała ode mnie prezentu.

- Chyba nie musisz z tej okazji wygłaszać przemówienia - zaprotestowała Rox.

- A właśnie że muszę - odparł. - Chciałbym więc...

- Mnie dałeś wspaniały prezent, ale nie wygłosiłeś żadnej mowy - wtrąciła z uśmiechem Michelle. - Bardzo chciałabym wiedzieć, kto go wybrał. - Pociągnęła kolejny łyk wina i roześmiała się perliście.

- Michelle - skarcił ją Ray. - Obawiam się, że nie dajesz dzieciom dobrego przykładu. To już czwarty kieliszek.

No tak, zaczyna się, pomyślała Merryn. Brendan najwyraźniej pomyślał to samo, ponieważ wziął ją pod ramię i pomógł wstać z za stołu. Potem wydobył z kieszeni ozdobne pudełeczko i ku zaskoczeniu wszystkich, włącznie z samą Merryn, wyjął z niego pierścionek z brylantem i wsunął jej na palec. Na koniec zaś pocałował ją długo i mocno, nie zważając na pełną zdziwienia ciszę, która zaległa nad stołem.

- Krótko mówiąc, moi najdrożsi, chciałbym wznieść toast za zdrowie mojej przyszłej żony! - odezwał się, gdy oderwał usta od jej ust.

- Wiedziałam! Od początku się domyślałam! - Michelle odezwała się pierwsza. Zaraz potem zerwała się na równe nogi i uniosła wysoko kieliszek. - Za Bren-dana i Merryn! Niech żyją razem długo i szczęśliwie!

- Niech żyją! - zawtórowali biesiadnicy i w radosnej wrzawie spełnili świąteczny toast.

Day Leclair

Wypowiedz swoje życzenie

Rozdział 1

***IL RISTORANTE* czyli SAMOTNOŚĆ W SEATTLE**

- Powiedziałaś „Joe Milano”? - spytała z niedowierzaniem Joy.

Maddie spojrzała na nią zdumiona.

- Znasz go?

- Nie wiem, czy rozmawiamy o tej samej osobie. Czy masz na myśli tego przystojniaka, który podaje przepisy w „Seattle o poranku”?

- Nie jestem pewna. Wiem tylko, że jest kucharzem. - Maddie zerknęła na leżącą na jej biurku kartkę. Widniało na niej nazwisko Joe'ego, jego adres oraz odręcznie sporządzona notatka, aby skontaktować się z nim osobiście. - Nigdy nie widziałam jego programu.

- Gdzie ty żyjesz, dziewczyno?! - wykrzyknęła zdumiona Joy, siadając naprzeciwko. - W całym Seattle nie ma chyba nikogo, kto nie znałby jego programu lub nie był w jego restauracji, a przynajmniej nie czytał o nim w gazetach.

O nim? Pewnie raczej o jego podbojach miłosnych, przemknęło Maddie przez myśl.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Nigdy nie jadłam w jego restauracji, nie widziałam jego programu i nie czytałam na jego temat ani słowa - rzekła dobitnie.

- Nie do wiary! Jesteś chyba jedyną osobą na całym północnym zachodzie, która nie wie, że Joe Milano jest prawdziwą gwiazdą.

- Przesadzasz.

- Wcale nie! Jak udało ci się go zdobyć?

- Po prostu go kupiłam. I musisz wiedzieć, że nie sprzedał się tanio.

- To zrozumiałe. Tacy faceci się cenią - westchnęła Joy. - Jezu, oddałabym wszystko, żeby Joe Milano przygotował dla mnie świąteczną kolację.

- To ja zamierzam przyrzędzić świąteczną kolację - sprostowała Maddie. - On tylko udzieli mi kilka wskazówek.

- Nie potrafisz wykorzystać okazji. - Joy pokręciła głową z dezaprobatą. - Gdybym to ja go zatrudniła, dałabym sobie spokój z gotowaniem. On sam byłby najsmakowitszym kąskem.

- Nie po to go kupiłam - odparła Maddie. - Mam pewne plany i on pomoże mi je zrealizować. To wszystko.

W chwili gdy Joe otworzył drzwi i ujrzał anielską istotę stojącą w progu, zrozumiał, że dni szalonej beztroski dobiegły właśnie końca. Przez całe życie czekał na tę kobietę i wreszcie się zjawiała - co więcej, opatrność zesłała ją prosto do jego domu!

Uśmiechnął się. Odpowiedziała mu tym samym, ostrożnie cofając się o krok.

- Tak? - odezwał się. - W czym mógłbym pani pomóc?

- Czy pan nazywa się Joe Milano? - spytała niepewnie, spoglądając na skrawek papieru, który trzymała w dłoni. Kosmyki jej ciemnobrązowych włosów wysunęły się z luźno upiętego na karku koka i targane lodowatym grudniowym wiatrem zasłoniły jej twarz. Odgarnęła je niecierpliwym ruchem dłoni.

- Tak, oczywiście, to ja - odparł z radością. Miał nadzieję, że ta piękność nie jest jedną z bezmyślnych fanek, które okupują studio telewizyjne, ilekroć nagrywa swój program. Wolałby, aby przyszła pani Milano miała więcej zdrowego rozsądku. Ta jednak kobieta wyglądała na zrównoważoną, inteligentną, rozsądną; naprawdę trudno by było przypuszczać, że jest tylko bezkrytyczną wielbicielką. - W czym mogę pani pomóc? - zapytał uprzejmie.

- Przysłał mnie Mathias Blackstone.

- Hm, to miło z jego strony. - Na twarzy Joe'ego znowu pojawił się uśmiech. Mathias z pewnością nie podałyby jego adresu przypadkowej osobie. Zaciekawilo go jednak, dlaczego pojawiła się bez uprzedzenia.

- Proszę, niech pani wejdzie i wszystko mi wyjaśni. - Delikatnie ujął ją za łokieć i zanim zdążyła się cofnąć, wprowadził ją do środka. - Bardzo proszę. Zaczyna padać. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby pani zmokła.

- Naprawdę wolałabym... - zaczęła zniecierpliwiona, lecz w tej samej chwili drzwi zamknęły się z trzaskiem, zagłuszając jej słowa.

Dio! Czyżby ją zirytował? Jak to możliwe? Żadna

z kobiet, które spotkał w swym trzydziestosiedmiolet-nim życiu, nie potrafiła oprzeć się jego urokowi. W każdej potrafił rozbudzić namiętność. Tymczasem ta spoglądała na niego z nie ukrywaną wściekłością.

Zaniepokoił się. Jego przyszła żona w żadnym wypadku nie powinna żywić w stosunku do niego takich uczuć.

- A więc przysłał panią Mathias - rzekł spokojnie, czekając na jej reakcję. Cofnęła się pośpiesznie, nerwowo dotykając klamki. W obawie, aby nie uciekła, zsunął z jej ramion płaszcz i powiesił go na wieszaku. - Mathias i ja jesteśmy przyjaciółmi. Dobrze go pani zna?

- Nie, nie znam dobrze pana Blackstone'a. - Spojrzała na płaszcz, jak gdyby marzyła tylko o tym, aby pochwycić go i uciec. Nagle wyprostowała się, hardo unosząc głowę. - Prawdę mówiąc, poznałam go całkiem niedawno.

- I zaraz potem przysłał panią do mnie - podpowiedział Joe.

- Uznał, że właśnie pan będzie mógł mi pomóc - odparła z powątpiewaniem.

- Ależ oczywiście! Z największą przyjemnością. - Chwycił jej dłonie i zsunął z nich skórzane rękawiczki. - Jestem do pani usług.

Chciała zaprotestować, ale mimo to stała bez ruchu, wpatrując się w rodzinne fotografie, wiszące na ścianie tuż za nim. Odruchowo spojrzął na jej dłonie. Były smukłe i delikatne. Po prostu doskonałe. Zauważył również, że nie nosi obrączki. Zwinął rękawiczki i wsunął je do kieszeni jej płaszcza.

Nie miał najmniejszych wątpliwości - ta kobieta była jego przeznaczeniem. Postanowił dowiedzieć się o niej wszystkiego.

- Proszę, niech pani wejdzie. - Poprowadził ją od razu do salonu. -

Usiądziemy sobie we dwoje przy kominku i opowie mi pani, co panią do mnie sprowadza.

Zgodziła się wejść, zaraz jednak spojrzała w kierunku przedpokoju i westchnęła z niezadowoleniem, on zaś uzmysłowił sobie z przykrością, że przebywanie z nim sam na sam nie sprawia jej przyjemności.

Nie do wiary!

- Przyszłam tu w interesach - oznajmiła chłodno. - Czy moglibyśmy właśnie o tym porozmawiać?

- Oczywiście - obruszył się, jakby oskarżyła go o nieczne zamiary - wydaje mi się, że przy kominku będzie idealnie.

Po raz pierwszy na jej twarzy ukazał się uśmiech.

- Przyjechała pani samochodem? - spytał, podchodząc do barku.

- Nie, autobusem. Dlaczego pan pyta?

W odpowiedzi nalał wina do dwóch kieliszków.

- To Chateau Suidurant, rocznik 72. Co pani na to?

Zawahała się. Nagle zrozumiał, dlaczego odnosi się do niego z taką rezerwą. Przytknął swój kieliszek do twarzy, aby ukryć rozbawienie.

Mathias z pewnością ostrzegł ją przed nim. Zdejmując jej płaszcz i rękawiczki, zapraszając do salonu i oferując kieliszek wina, musiał jeszcze bardziej wzbudzić jej obawy i podejrzenia.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Postanowił jak najszybciej porozmawiać z Mathia-sem. Nie chciał, aby cokolwiek stanęło mu na przeszkodzie w zdobyciu tej kobiety.

Tymczasem ona pociągnęła łyk wina, po czym spojrzała na kieliszek z zachwytem.

- Wspaniale! Wyczuwam tu... miętę? A może czekoladę?

- Świetnie - pochwalił Joe, przysuwając sobie bliżej krzesło. -

Rzeczywiście, jest jednocześnie słodkie, trochę gorzkawe, a zarazem wyjątkowo orzeźwiające. Zna się pani na winach.

- Nie znam się ani trochę - sprostowała nieśmiało. - Ale to jest naprawdę doskonałe.

- No właśnie. Dobrze jest to, co nam smakuje, prawda? - uśmiechnął się pojednawczo.

- Dobrze, panie Milano. - Odstawiła swój kieliszek na stolik i położyła dłonie na kolanach. - Myślę, że powinniśmy przejść do interesów.

- Dobry pomysł. Na początek może powie mi pani, jak ma na imię?

- Nie przedstawiłam się? - spytała z zakłopotaniem.

Pokręcił głową.

- Widzi pani? Potrafię zapanować nad ciekawością.

- Bardzo pana przepraszam - roześmiała się. -Może więc powinniśmy zacząć wszystko od początku?

Ucieszył się, że jednak ma poczucie humoru.

- Jeśli ma pani ochotę i czas...

Płomienie z kominka rozświetliły jej twarz i mógł teraz przyjrzeć się jej uważniej. Owszem, spotykał

piękniejsze kobiety, ale ta robiła na nim niezwykle wrażenie. Było w niej coś, czemu nie potrafił się oprzeć - ciemne włosy doskonale podkreślały jasną cerę, niewielki, prosty nos i wystające kości policzkowe nadawały twarzy szlachetny wyraz, mocno zarysowany podbródek znamionował upór i siłę charakteru. Spostrzegł również, że kobieta ma idealnie wykrojone usta.

Tak naprawdę jednak zachwycił się jej oczami. Duże, spokojne, jasne, przywodziły mu na myśl błękitne niebo, przebijające spoza warstwy szarych chmur.

Tak, należała do niego, nawet jeśli nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy. Wiedział o tym od chwili, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Teraz musi tylko jej to uświadomić. A jeśli szczęście będzie mu sprzyjać, jeszcze w te święta założy jej na palec zaręczynowy pierścionek.

- Zaczniemy od początku - powtórzyła, przybierając oficjalny ton. - Jestem Maddie Wallace.

- Maddie... - Ledwo dosłyszalny odcień włoskiego akcentu nadał jej imieniu niezwykle brzmienie. - Wspaniale. Dlaczego pani do mnie przyszła, Maddie?

Próbując dodać sobie odwagi, pospiesznie opróżniła kieliszek z winem. Czowała się niezręcznie i nie wiedziała, jak dalej potoczy się ta rozmowa. Ostrzegano ją, że jej prośba może nie wzbudzić entuzjazmu Joe'ego Milano. „Niech pani powie mu o tym delikatnie... Proszę nie mówić więcej niż trzeba i czekać, aż zgodzi się pomóc... Dopiero gdy powie „tak”, można wyjawić mu prawdę...” - to właśnie radził jej Mathias. Teraz zerknęła na niego dyskretnie, zastanawiając

GWIAZDKA MIŁOŚCI

się, jak to wszystko rozegrać. Gdyby przynajmniej nie był taki przystojny, pomyślała z rozpaczą. Wiedziała, że nie wolno ufać przystojnym mężczyznom. Przekonała się o tym boleśnie wiele lat temu. A głębokie, brązowe oczy Joe'ego, jego mocny, niemal kwadratowy podbródek i gęste, ciemne włosy czyniły go najbardziej czarującym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała.

- Czy to jest sprawa osobista? - spytał ostrożnie, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Teraz albo nigdy! Jeśli nie powie mu, czego od niego oczekuje, będzie musiała wyjść i zapewne nigdy już do niego nie wróci. A to znaczyłoby, że nie udało jej się osiągnąć tego, o czym marzyła od piątego roku życia. Wzięła głęboki oddech, po czym oznajmiła jednym tchem:

- Jest pan moim świątecznym życzeniem. Joe uśmiechnął się triumfująco.

- Hm, czuję się mile zaskoczony. Zawsze marzyłem o tym, by być czymś świątecznym życzeniem.

- Chyba pan nie rozumie.

- Ma pani rację, *cara*. Nie rozumiem. - Pochylił się nieco w jej kierunku. - Może więc mi to pani wyjaśni.

- Mathias powiedział, że jest mu pan winien przysługę - wyjąkała, patrząc na niego wystraszonym wzrokiem. - Więc... oddał mi pana do dyspozycji. Mam to na piśmie. Jest pan mój aż do Bożego Narodzenia.

Delikatnie ujął między palce cienkie pasmo jej włosów, które wysunęło się z koka.

- Należę do pani... Coraz bardziej mi się to podoba.

- Mam nadzieję, że nie przestanie się panu podobać, kiedy dowie się pan wszystkiego.

- Hm... A więc? Śmiało. Pani życzenie jest dla mnie rozkazem. Czy to chciała pani usłyszeć? - spytał.

Poczuła, jak jej policzki oblewa fala purpury. Na pewno wiedział, jak na nią działa. Mężczyźni pokroju Joe'ego Milano są wyposażeni w coś, co powoduje, że inteligentne, rozsądne kobiety w ich obecności przestają myśleć racjonalnie.

- Skoro tak, to powtarzam: pani życzenie jest dla mnie rozkazem. - Bez cienia skrepowania zajrzał głęboko w jej oczy. - No, niech pani wreszcie wypowie to życzenie. Czy jest coś, co mógłbym pani podarować? A może mogę panią w jakiś sposób zadowolić?

Zadowolić? O, nie!

- To... to nie jest życzenie, o jakim pan myśli - zaprotestowała przerażona.

- Nie? Jaka szkoda! - Lekko uniósł brwi. - Nie miałbym nic przeciwko takiemu życzeniu. Czy jest pani pewna?

- Cał... całkowicie. To nie jest osobiste życzenie. - Zwilżyła językiem wargi. - Pamięta pan? Mówiłam, że chcę rozmawiać o interesach.

- W takim razie będzie mi bardzo miło prowadzić z panią interesy. - Jego wzrok zatrzymał się na jej ustach. Przez chwilę pomyślała, że zamierza ją pocałować. A może wręcz miała nadzieję, że to zrobi? -

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Niech pani wypowie swoje życzenie, a ja spełnię je, jeśli tylko będzie to w mojej mocy.

- Naprawdę? Zrobi pan wszystko, o co poproszę?

- spytała z zapalem.

- Wszystko - potwierdził z powagą.

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej plik papierów spięty biurowym spinaczem.

- To przepisy, które wycięłam z gazet kilka lat temu - wyjaśniła. - Chcę, żeby nauczył mnie pan przyrządzać pewne danie.

Wyprostował się gwałtownie, z odrazą spoglądając na wygnieciony świstek z czasopisma, który trzymała w dłoni.

- Słucham? - spytał cierpko. - Mogłaby pani powtórzyć?

A więc Mathias miał rację, pomyślała Maddie. Powinnam była być bardziej ostrożna.

- W wigilię mam spotkanie rodzinne - wyjąkała.

- Chciałabym przyrządzić kilka potraw i... właśnie dlatego potrzebuję pańskiej pomocy. Jest pan kucha? rzem, prawda? - spytała niepewnie.

- Kucharzem? - skrzywił się z niesmakiem. - Kucharze pracują w barach szybkiej obsługi. Ja jestem mistrzem kuchni - rzekł chłodno i wyniośle.

- Rozumiem, przepraszam - powiedziała pokornie, uświadomiwszy sobie z przerażeniem, że go obraziła. Mistrz kuchni, kucharz... Mój Boże, czy to naprawdę taka różnica? - To bardzo wykwintny posiłek - zapewniła go pospiesznie. - Dlatego Mathias polecił mi właśnie pana. Przykro mi, jeśli pana uraziłam.

Stał przy kominku, przyglądając się jej posepnie.

- Dlaczego tak bardzo pani na tym zależy?

- Chciałabym udowodnić, że potrafię to zrobić.

- Udowodnić? Komu? Swojej rodzinie? - Zmarszczył brwi. - Co to za ludzie, jeśli oczekują czegoś takiego?

Pokręciła głową. Już miała powiedzieć, że nie chodzi o jej rodzinę, ale stwierdziła w duchu, że nie powinien wiedzieć zbyt wiele.

- Chcę sama się przekonać, czy mnie na to stać - powiedziała dobitnie. - Pan Blackstone obiecał mi, że pan nie odmówi. Powiedział, że jest mu pan to winien.

- Skąd właściwie zna pani Mathiasa? - spytał po chwili.

- Spotkałam go na balu dobroczynnym w zeszłym tygodniu. Domyśliłam się, że jest pewnego rodzaju pośrednikiem. Kimś, kto bez trudu znajduje brakujące ogniwa łańcucha. Wiem też, że co roku, w grudniu, zajmuje się, hm... spełnianiem wyjątkowych próśb.

Joe skinął głową.

- Tak, nazywa je świątecznymi życzeniami. Pozwoli pani, że spytam, co skłoniło go do tego, aby jedno z takich życzeń podarować właśnie pani?

- Nie podarował mi go - odparła. - Kupiłam je na licytacji.

Kosztowało fortunę, ale gotowa była wydać o wiele więcej, byle tylko Joe Milano nauczył ją kilku kulinarnych sztuczek.

- Nie rozumiem - Joe zmarszczył czoło z zafra-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

sowaniem - Mathias spełniłby każde, nawet najdziwniejsze życzenie, a pani wybrała właśnie...

- Wybrałam pana.

- Ale dlaczego?

- Czy moglibyśmy porozmawiać o tym innym razem? Zrobiło się późno, powinnam już iść - rzekła zmieszana, po czym dodała pospiesznie, nie pozwalając mu dojść do słowa: - Obiecał pan spełnić moje życzenie bez względu na to, jakie ono będzie. Dlatego chciałabym wiedzieć, czy zamierza pan dotrzymać słowa, czy raczej powinnam zwrócić się do kogoś innego?

- Do innego? Nie ma mowy! - uciał. - Może pani na mnie liczyć.

Maddie odetchnęła z ulgą.

- Nie wiem, jak mam panu dziękować.

- Podziękuj mi pani, kiedy przyjdzie na to czas.

- Kiedy więc znów możemy się spotkać? Nie mamy za dużo tego czasu.

- Najpierw musimy omówić menu. Co powie pani na jutrzejszy wieczór?

- Świetnie - zgodziła się. - Mam przyjść tutaj czy...

- Nie - przerwał jej. - Spotkajmy się w mojej restauracji, przed dziesiątą. Zna ją pani? Nazywa się „House Milano”. Mieści się na szczycie King Tower.

No tak, oto potwierdziły się jej wszelkie obawy. Do tej pory miała nadzieję, że Joy jednak się pomyliła, że to nie jest ten słynny Joe Milano. Niestety, to był on.

- Słyszałam o pańskiej restauracji - rzekła, uświa

damiając sobie, że właśnie takiej odpowiedzi oczekiwał.

- Ale nigdy w niej pani nie była? - spytał, a raczej stwierdził Joe.

- Nie byłam - przytaknęła. - Moja współpracownica skojarzyła pańskie nazwisko z tą nazwą.

- Więc z pewnością nie widziała też pani mojego programu w telewizji.

- Przykro mi, nie widziałam. Rzadko oglądam telewizję. Ale zawsze marzyłam o tym, aby zjeść obiad w „House Milano” - dodała pospiesznie i spojrzała na niego, by sprawdzić, czy udało jej się udobruchać go tym stwierdzeniem. Na szczęście nie wyglądał na urażonego. Wręcz przeciwnie, był bardzo rozbawiony.

- Dobrze. Porozmawiamy o szczegółach jutro - uśmiechnął się, napełniając ponownie winem jej kieliszek. - Proszę jeszcze chwilę zostać, zaraz zadzwonię po taksówkę.

- Ależ niech pan nie robi sobie kłopotu! - zaprotestowała. - Wrócę autobusem.

- Nalegam - rzekł stanowczo.

Postanowiła nie upierać się dłużej. Najważniejsze, że osiągnęła swój cel. Kiedy więc przyjechała taksówka, pozwoliła odprowadzić się na zewnątrz i nie protestowała, kiedy Joe wręczył taksówkarzowi pieniądze.

- Nie powiedziała mi pani, dlaczego ta rodzinna kolacja jest dla pani taka ważna. - Nachylił się przed pożegnaniem nad jej uchem.

Maddie zapięła pas. Uznała, że to najlepsza okazja,

GWIAZDKA MIŁOŚCI

by jasno określić charakter ich przyszłych spotkań, i powiedziała, sadowiać się na tylnym siedzeniu:

- To ważne, bo jeśli mi się uda, to Tupper poprosi mnie o rękę.
- Tupper? Kto to jest Tupper? - Joe zmarszczył groźnie brwi.
- Tupper Reed. - Ze stoickim spokojem złożyła ręce na kolanach. - Mężczyzna, którego zamierzam poślubić.

Joe stał nieruchomo, patrząc, jak taksówka powoli znika w ciemnościach. Mężczyzna, którego zamierza poślubić...

Nie. Nie ma mowy. Maddie Wallace pragnęła jego. Przecież widział, jakie zrobił na niej wrażenie. Kobieta, która patrzy na niego zamglonymi, rozmarzonymi oczyma, która uśmiecha się do niego tak obiecująco, a jej oddech staje się szybszy, za każdym razem gdy on się do niej zbliża, nie może kochać żadnego Tuppera Reeda!

Zacisnął pięści. Niech to diabli! Niech się dzieje, co chce. Przekona Maddie, że powinni być razem. Nie pozwoli, by ktoś ukradł przeznaczoną mu przez niebiosa kobietę. Nawet jej przyszły narzeczony.

Rozdział 2

CARTA DEIVINI czyli POCZĄTEK KŁOPOTÓW

Maddie wysiadła z windy na szczycie King Tower i od razu skierowała się do „House Milano”. Wkrótce znalazła się w fantastycznie urządzonej i oświetlonym pomieszczeniu i aż przystanęła na chwilę z zachwytem. Cóż, restauracja Joe'ego rzeczywiście robiła niezwykle wrażenie. Ledwo uchwytnej, niezwykle czar dawnych dobrych czasów doskonale współgrał z nowoczesnym, wytwornym wystrojem wnętrza.

Pod jej stopami rozciągał się marmurowy chodnik prowadzący do szklanego pulpitu, za którym stał starszy mężczyzna ubrany w czarny smoking. Gdy podeszła bliżej, człowiek ten uklonił się szarmancko i przywitał ją z uprzejmym uśmiechem:

- Dobry wieczór, pani Wallace. Jestem Giorgio. Witamy w „House Milano”.

- Dziękuję, Giorgio. Bardzo mi miło - odparła zaskoczona, że mężczyzna zna jej nazwisko. - Jestem umówiona z panem Milano.

- Wiem. Pan Milano oczekuje pani. Zechce pani pójść za mną.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Wprowadził ją do prawie pustej sali restauracyjnej, której spora część przeznaczona była na tańce. Na podium kilku muzyków grało jazzowe standardy, za stolikami zaś rozciągała się szklana ściana, przez którą widać było jedynie rozgwieżdżone niebo.

- Była już pani u nas? - zagadnął ją Giorgio.
- Ze wstydem przyznaję, że nie - odparła. - Ale jestem pod wrażeniem.
- Jesteśmy dumni z naszego lokalu - powiedział Giorgio z zadowoleniem.
- Można tu wspaniale spędzić wieczór. Musi nas pani wkrótce odwiedzić jeszcze raz. Zarezerwujemy dla pani stolik.
- Będzie mi miło. Bardzo dziękuję.

Weszli do drugiej sali. Tu znajdowało się tylko kilka stolików. Każdy z nich odgrodzony był od pozostałych niską przegrodą z bujnie kwitnącej roślinności, co zapewniało gościom należytą intymność.

Giorgio poprowadził ją do najdalszego krańca sali. Na niewielkim podium stał tutaj okazały stół, przy którym siedział Joe, całkowicie pochłonięty przeglądaniem dokumentów. Kosmyk jego czarnych włosów niesfornie opadł mu na czoło, całkowicie zasłaniając widok na salę. Biały uniform, rozpięty u góry, eksponował ciemną skórę jego szyi.

Giorgio mrugnął do Maddie porozumiewawczo, po czym chrząknął dyskretnie.

- Tak, Giorgio, o co chodzi? - spytał Joej nie podnosząc głowy znad sterty papierów.

- Przyszła pani Wallace.

W jednej chwili Joe odłożył pióro i spojrzał na nią,

uśmiechając się przy tym w sposób, który przyprawił ją o szybsze bicie serca. Śniła o tym uśmiechu, budząc się tylko po to, aby przekląć go za to, że śmie wdzierać się do jej najskrytszych, uspiionych pragnień.

- Jakże się cieszę! - Podniósł się z miejsca i ruszył w jej kierunku. Zanim zdążyła zaprotestować, ujął jej dłonie i pocałował ją kolejno w oba policzki. Poczwała zapach drzewa sandałowego, przełamane nieznacznie delikatną nutą cedru. - No i jak się pani podoba moja restauracja?

- Jest imponująca - odparła, chciwie wdychając zmysłową woń. - Teraz będę tu częściej przychodzić.

- Z narzeczonym, rzecz jasna - dorzucił Joe.

- Czemu nie? To byłoby idealne miejsce na uczczenie naszych zaręczyn, nie sądzi pan?

Jego duże oczy przybrały nagle kształt wąziutkich szparek.

- Niech mi pani wierzy, *cara*, na pewno nie chciałaby pani wiedzieć, co o tym sądzę - wycedził, po czym zwrócił się do Giorgio: - Poproś Cindy, żeby przyniosła nam kawy. I bądź łaskaw zająć się wszystkim.

Giorgio skinął posłusznie głową:

- Dopilnuję, aby panu nie przeszkadzano.

- Usiądźmy może na kanapie. - Joe wskazał Maddie miękkie siedzenie przy oknie. - Będziemy czuć się swobodniej niż przy stole.

Podeszli w stronę okna i usiedli na przeciwnych końcach niewielkiej kanapy; mimo to dzieliła ich odległość zaledwie kilkunastu centymetrów.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Prowadzi pan restaurację, a jednocześnie realizuje pan swoje programy w telewizji? - spytała z niedowierzaniem Maddie. - Jak pan znajduje czas na to wszystko?

- To nie są moje programy. Biorę w nich udział najwyżej dwa razy w miesiącu. Proszono mnie o cotygodniowy występ, ale nie dałem się namówić.

- Dlaczego?

- Chcę jak najwięcej czasu spędzać z rodziną, a to nie byłoby możliwe, gdybym wciąż siedział w studiu.

- Jest pan żonaty? - spytała Maddie, próbując ukryć rozczarowanie. - Ma pan dzieci?

Roześmiał się.

- Nie, nie, *cara*. Nie jestem mężczyzną, który mając żonę, flirtowałby z inną kobietą.

- Co nie przeszkadza panu flirtować z kobietą, która jest zaręczona.

- Ależ nie! - zaprotestował żywo. - Ta kobieta dopiero myśli o zaręczynach. A przecież jeśli jej uczucia są prawdziwe, taki flirt niczego nie zepsuje. Jeśli zaś nie są... - urwał, pozwalając, aby domyśliła się reszty.

- Myślałam, że rozmawiamy o pańskiej rodzinie -przypomniała mu, próbując zmienić temat.

- Tak? - Zaśmiał się znowu. - Mam więc ogromną rodzinę: trzech braci z żonami, matkę, ojca, kilkoro bratanków i bratanic. Przekonałem się, że im więcej pracuję, tym bardziej się od nich oddalam.

- Rozumiem, że jest pan z nimi bardzo związany.

- Bardzo. Widzi pani, przyjechałem do Stanów

sześć lat temu. Reszta rodziny mieszka tu od ponad dwudziestu pięciu lat.

- Zostawili pana we Włoszech? - zdumiała się Maddie. - Przecież był pan jeszcze dzieckiem!

- O, nie. Miałem dwanaście lat. A to już poważny wiek. - Sądził, że zgodzi się z nim, gdy jednak zauważył, że wciąż patrzy na niego z niedowierzaniem, dodał: - Byłem najstarszy z rodzeństwa. Moi dziadkowie nie wyjechali, więc zostałem, żeby się nimi opiekować. Ejże - ścisnął jej dłoń, a ona wyczuła, że choć Joe ma mocny, stanowczy uścisk, to potrafi kontrolować swoją siłę, aby przypadkiem nie zadać jej bólu - niech no się pani rozchmurzy! Przez wszystkie te lata regularnie przyjeżdżałem do Seattle i miałem kontakt z najbliższymi. Prawdę mówiąc, wołałem jednak mieszkać z dziadkami. Bardzo mi teraz ich brakuje...

- westchnął ciężko, zaraz się jednak rozchmurzył i powiedział: - Na szczęście mam przy sobie resztę rodziny. Teraz pani kolej.

- Nie sądzę, żeby... - przerwała, gdy Joe odgarnął włosy, odsłaniając czoło. - Boże, co się panu stało?

- wystraszyła się, widząc czerwoną ranę.

- Nic wielkiego. Małe poparzenie. Zwyczajny wypadek w kuchni.

- Poparzenia są bardzo niebezpieczne. - Nachyliła się bliżej, delikatnie przesuwając dłonią po jego włosach. - Boli?

Uśmiechnął się chytrze.

- Nie uwierzysz, Maddie, ale teraz już mniej.

- Na pewno nie. Niech pan poczeka, mam coś, co

GWIAZDKA MIŁOŚCI

powinno pomóc. - Przeszukała torebkę, wyjmując z niej fiolkę kapsułek z witaminą E. - Niech pan odgarnie włosy z czoła.

- Zawsze to nosisz przy sobie? - spytał zdumiony.

- Zawsze. - Ostrożnie otworzyła kapsułkę, a jej zawartość wycisnęła na palec. - Będę delikatna - obiecała i przyklękła obok niego.

- Często bawisz się w pielęgniarce?

- Kiedyś owszem. - Poczowała gorący oddech jego ust. Wiedziała, że przez cały czas przygląda się jej z uwagą. - Kiedy byłam małą, opatrywałam rany wszystkim dookoła.

- Pewnie masz dużą rodzinę. Wychowałeś się w Seattle?

Zignorowała to pytanie.

- Chyba jedna kapsułka nie wystarczy - powiedziała, starannie rozsmarowując gęsty płyn. - Wiem, że trochę piecze, ale to zaraz przejdzie.

- W porządku. Nie chcesz rozmawiać o rodzinie, więc może powiesz mi coś o sobie? Na przykład, gdzie pracujesz?

- Jestem księgową w jednej z tutejszych firm. Nie wiadomo dlaczego ta informacja niezwykle go rozbawiła.

- Księgową? A czy przypadkiem Tupper Reed nie jest właścicielem tej firmy?

- Jest - odparła krótko. - W porządku. Zrobione. Wkrótce się zagoi.

- Dziękuję.

- Drobiazg. - Wrzuciła fiolkę do torebki. - Może-

my zaczynać? - spytała, rozkładając wycinki z przepisami.

- Jak sobie życzysz, *cara* - odparł, podając jej filiżankę kawy. - Ale potem musisz odpowiedzieć na moje pytania. Wszystkie, bez wyjątku. A więc ma to być świąteczna kolacja połączona z twoimi zaręczynami - upewnił się. - Wczoraj wieczorem nie wyjaśniłaś mi wszystkiego do końca.

- Na razie mam na myśli jedynie świąteczną kolację - rzekła odważnie. Tak bardzo chciałaby powiedzieć, że będzie to jednak coś więcej, ale kłamstwo nie chciało przejść przez jej gardło. - Mam nadzieję, że po niej Tupper wreszcie mi się oświadczy.

- Masz nadzieję? - zdziwił się. - Więc to nie jest pewne?

- Oczywiście, że nie. - Sięgnęła po cukier i śmietankę, starannie unikając jego wzroku. - Dyskutowaliśmy z Tupperem już o tym wcześniej, ale...

- Dyskutowaliście? - Joe nie posiadał się ze zdumienia. - O czym tu można dyskutować? On pyta, ty odpowiadasz. Chyba że... - urwał nagle. - Chyba że nie jesteście pewni swoich uczuć - dokończył z nieskrywanym zadowoleniem.

- To w ogóle nie wchodzi w grę! - zaprotestowała.

- Tupper... - Zwykle włoski akcent czynił wypowiedziane przez niego słowa niezwykle melodyjnymi, ale ten wyraz zabrzmiał w jego ustach twardo, wręcz nieprzyjemnie. - Kochasz go?

- Nie wychodziłabym za niego, gdyby było inaczej.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Pytałem, czy go kochasz?

- Powiedziała już, że tak! - odparła trochę rozdrażniona.

- Nie, nie, *cara*. Powiedziałaś tylko, że nie zgodziłabyś się wyjść za niego bez miłości. A to duża różnica.

Maddie podniosła do ust filiżankę z kawą. Dlaczego ją tak wypytuje? Dlaczego znowu porusza najbardziej niewygodne tematy? Ostrożnie odstawiła filiżankę i uśmiechnęła się do niego chłodno.

- Tak, kocham go - powiedziała dobitnie. - Tupper Reed ma wszystkie cechy, jakie powinien mieć mężczyzna. Jest pan zadowolony, panie Milano?

Oczywiście, że nie był.

- A jakie to cechy według ciebie? - dociekał.

- Opiekuńczość, rozsądek, odpowiedzialność - wyliczyła bez namysłu.

Przecież Tupper dawał jej pewność, że nigdy jej nie opuści. - Tupper Reed jest naprawdę dobrym człowiekiem - zapewniła z przekonaniem.

- I kocha cię - wtrącił Joe nieśmiało - Nie wspomniałaś nic o miłości.

- To rozumie się samo przez się.

- Mam nadzieję. - Dopił kawę, po czym zabrał się do przeglądania przepisów. - Zobaczmy, co tam masz.

Pierwsza kartka, wyjęta z kolorowego magazynu, przedstawiała zdjęcie rodziny siedzącej przy świątecznym stole. Była to ulubiona fotografia Maddie. Kolejne strony zawierały przepisy i zdjęcia poszczególnych dań.

- Chcę przyrządzić identyczny zestaw - powiedziała.

Z uwagą prześledził treść przepisów.

- Przyrządzałaś któreś z tych dań?

- Jedno, może dwa - odparła ostrożnie. Wciąż jeszcze nie zdradziła mu, jakie trudności napotka, kiedy będzie spełniał jej świąteczne życzenie. I na razie wcale nie miała zamiaru mu tego uświadamiać. - Ale nie poradziłam sobie najlepiej - dodała szybko.

- Ile osób ma być na tej kolacji?

- Niewiele. Tupper, jego siostra z mężem i oczywiście rodzice.

- Sześć. W sam raz. Nie będzie tłumu. - Przerzucił kilka kolejnych kartek.

- Niektóre z potraw możesz przygotować po swojemu. Radziłbym też zrezygnować z tych, które muszą być przyrządzane tuż przed podaniem. Nie mogłabyś wtedy dotrzymać towarzystwa gościom.

- Nie - zaprzeczyła stanowczo. - Nie chcę żadnych zmian. To ma być dokładnie ten zestaw, który został tu opisany.

- *Cara* - zaczął - bądź rozsądna...

- Mówię poważnie, Joe. Westchnął ciężko.

- Czy kiedykolwiek próbowałaś tych dań?

- Wyglądają bardzo apetycznie...

- A więc nie próbowałaś.

- Nie, ale...

- W takim razie spróbujemy każdego z nich, żebyś mogła przekonać się, jak naprawdę smakują - powie-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

dział tonem nie znoszącym sprzeciwu. - W tę sobotę restauracja będzie zamknięta, więc poproszę mojego brata, Renzo, aby przygotował je wszystkie, a wtedy ty zdecydujesz, które wybieramy na naszą kolację, zgoda?

- Skorzysta z tych przepisów? I zrobi to dokładnie tak, jak jest napisane?

- Oczywiście, jeśli tylko mu każę - odparł Joe z uśmiechem. - Ale powinnaś wiedzieć, że mistrzowie kuchni zwykle tego nie robią.

- Niewiele wiem o waszym zajęciu - przyznała.

- W takim razie wszystkiego cię nauczę. Możemy zacząć w niedzielę wieczorem?

- Zgoda, - Wstała, sięgając po torebkę i płaszcz. Joe także natychmiast podniósł się z miejsca.

- Pozwolisz, że odwiozę cię do domu?

- Dziękuję. To... naprawdę nie jest konieczne. -Zawahała się przez moment. Była odrobinę speszona. Nagle wydało jej się zabawne, że w wieku dwudziestu ośmiu lat reaguje jak nieśmiały podłotek. - Cóż, to chyba wszystko. Do zobaczenia w niedzielę.

- Zaczekaj, *cara* - powiedział cicho, zanim zdążyła odejść.

Powoli odwróciła głowę. Joe patrzył na nią wzrokiem pełnym pożądania. Cofnęła się w obawie, by pokusa, żeby odpowiedzieć mu tym samym, nie okazała się zbyt silna.

- Joe, proszę - wyszeptała. - Nie rób tego więcej. Na jego wargach pojawił się leciutki uśmiech.

- Nie zrobiłbym nic, co mogłoby sprawić ci przy-

krość. Jeśli pragniesz Tuppera, będziesz go miała. -Delikatnie dotknął jej twarzy, gładząc kciukiem zarumieniony policzek. Gdy pochylił się, poczuła, jak jego ciepły oddech muska jej wargi. - Ale nie wierzę, że naprawdę ci na nim zależy.

Ostatkiem woli powstrzymała się, aby nie przysunąć ust jeszcze bliżej.

- Mylisz się - szepnęła. - Lepiej już pójdę.

- A więc do zobaczenia w niedzielę. O siódmej?

- Tak późno? - Zamknęła oczy. Wiedziała, że nie ma wyboru. Jeżeli chce przygotować przyjęcie dla rodziny Tuppera, nie obejdzie się bez pomocy Joe'ego.

- Tak, dobrze, może być o siódmej - dodała szybko.

- I jeszcze raz dziękuję. - Odwróciła się i pewnym krokiem odeszła do wyjścia.

- Oszalałeś? - wykrzyknął Renzo z oburzeniem. -Chcesz, żebym gotował, korzystając z jakiegoś cudzego przepisu? Zapomnij! Nigdy nie zniżam się do czegoś takiego.

- Jesteś mi to winien - przypomniał mu Joe. - Tak naprawdę jesteś mi winien o wiele więcej niż przygotowanie jednej głupiej kolacji.

- Ale tu nie chodzi o samą kolację... - Renzo zastanowił się przez chwilę. - Już wiem - rzekł odkrywczco. - Zaprosisz tę panią do restauracji, a ja przygotuję danie, którego nie zapomnicie do końca życia.

- Doceniam propozycję, ale to nie rozwiąże mojego problemu. To musi być zrobione dokładnie tak, jak jest napisane.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Renzo obrzucił wycinki z przepisami pogardliwym spojrzeniem.

- Jeśli to dla ciebie takie ważne, to sam się bierz za to wszystko.

- To niemożliwe. Ja w tym czasie będę dotrzymywał towarzystwa pannie Maddie. Renzo, proszę cię. Bardzo mi na niej zależy.

- Tak, na nich wszystkich ci zależy - rzekł kpiąco brat.

- Więc nie pomożesz? Nie spełnisz jedynej prośby twojej przyszłej szwagierki?

- Zaraz, zaraz... - Renzo otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. - Czy mówisz, że...?

- Oczywiście, jeszcze się nie zgodziła - wyjaśnił Joe pospiesznie. - Ale mam nadzieję, że wkrótce uda mi się ją przekonać.

Renzo był wstrząśnięty.

- Czy to znaczy, że ta kobieta nie straciła dla ciebie głowy? Niesamowite!

W tym momencie do pokoju weszła Dona Milano.

- Czy ja dobrze słyszałam? Czyżby mój Joe chciał się żenić? Nie wierzę.

- Ależ ty masz słuch! - roześmiał się Joe i objął matkę z czułością. -

Zgadza się. Spotkałem kobietę, którą zamierzam poślubić. Cieszysz się?

- Oczywiście! Ale czy ty znowu nie żartujesz?

- Skądże znowu! - obruszył się. - Mówię całkiem poważnie.

- Jak najbardziej - wtrącił Renzo z rozbawieniem. - Tylko że ta kobieta jest odporna na urok mojego braciszka.

- Niemożliwe! - Dona spojrzała na najstarszego syna. - Wszystkie kobiety za tobą szaleją.
- Niestety, ta jedna nie. Co więcej, zamierza poślubić swojego szefa. Faceta o imieniu Tupper - dorzucił Joe, wzruszając ramionami.
- Tupper? - Renzo powtórzył to imię z lekceważeniem. - Chce być z jakimś Tupperem, choć mogłaby mieć ciebie?
- Ech, właściwie ona sama nie wie, czego naprawdę chce. Na mój rozum to tylko wydaje jej się, że go kocha.
- A ty zamierzasz wyprowadzić ją z błędu? - dopowiedziała domyślnie Dona. - Zawsze byłeś, synku, bardzo szlachetny.
- To nie tak. - Joe pocałował ją w policzek. - Nie mieszałbym się w to, gdyby nie pewien szczegół.
- Co mianowicie? - spytała Dona zrezygnowana.
- Ta kobieta mnie kocha, chociaż sama o tym nie wie.
- Powiedz wreszcie, jaki on jest? - prosiła z uporem Joy.
- Przecież widziałas go w telewizji - rzekła obojętnie Maddie.
- Każdy go widział! Ale jaki jest naprawdę? Szczegóły, dziewczyno! Przed oczami Maddie stanęła raz jeszcze scena pożegnania w restauracji. Nie, Joy nie musi znać takich szczegółów, pomyślała.
- Jest czarujący - powiedziała zdawkowo.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Tak myślałam - jęknęła Joy. - Och, jak ja ci zazdrozczę! Podrywał cię?
- Joy, jesteś niepoważna. Wiesz przecież, że jestem z Tupperem.
- Tak, jasne - mruknęła Joy, przygryzając wargę.
- Tylko czy jesteś pewna, że chcesz z nim być? Nie mówię, że coś z nim nie w porządku, wcale nie - dodała pośpiesznie. - Jest miły, przyjacielski, rozsądny. No i atrakcyjny. A jednak nie ma się co oszukiwać
- to nie Joe Milano.
- Wyobraź sobie, że doskonale zdaję sobie z tego sprawę.
- I co?

Maddie nie zdołała odpowiedzieć na to pytanie, bowiem nagle otworzyły się drzwi gabinetu Tuppera, a on sam poprosił ją krótko do siebie.

- Maddie, pozwól na chwilę.

Zadowolona, że udało jej się uniknąć dalszego indagowania, weszła do pokoju swojego szefa i kandydata na narzeczonego w jednej osobie. Gdy zaś tylko zamknęły się za nią drzwi, objęła Tuppera za szyję i przytuliła się doń z całych sił. Sześć miesięcy wcześniej, kiedy ich znajomość stała się bardziej zażyła, postanowili nie demonstrować swoich uczuć w miejscu pracy. Teraz jednak Maddie potrzebowała jego dotyku, po to tylko, aby upewnić się, że to jest właśnie jedyny mężczyzna, którego kocha. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Nie mogło być.

- Wszystko w porządku? - zapytał troskliwie miłym głosem pozbawionym śladów włoskiego akcentu.

Maddie uświadomiła sobie, że aby spojrzeć mu prosto w oczy, musi jedynie odrobinę podnieść głowę.

Czy to źle? Och, przeciwnie. To dobrze, że Tupper nie patrzy na nią z góry, jak jej nowy znajomy. Nie musi się także martwić, że będzie próbował ją uwieść zapachem drzewa sandałowego i cedru.

- Tak, w porządku. Chciałam tylko, żebyś mnie przytulił - odparła, odgarniając jasny kosmyk z jego czoła. Włosy Tuppera nie były wprawdzie czarne, gęste i jedwabiste w dotyku, ale to także nie miało znaczenia. Przecież był odpowiedzialny, rozsądny, zapewniał jej poczucie bezpieczeństwa. A nie pragnęła niczego więcej.

- Chciałem ci powiedzieć, że ten mój wyjazd...

- Wiem, wiem. - Położyła mu palec na ustach. - Będzie mi ciebie brakowało przez te dwa tygodnie.

- Wiesz, że wolałbym pojechać do Spokane z tobą, a nie z Joy - odrzekł. - Jesteś pewna, że właśnie teraz chcesz wykorzystać urlop?

- Tak, bardzo mi na tym zależy. Ale kiedy wrócisz, do świąt zostanie tylko tydzień. Będziemy mieć czas dla siebie przy choince.

- Rzeczywiście. - Delikatnie pocałował koniuszek jej nosa. - Jeszcze raz dziękuję ci za to, że zaprosiłaś na kolację całą moją rodzinę. Będą w Seattle tylko przez tydzień, więc...

- Nie musisz dziękować. Cała przyjemność po mojej stronie.

- Powiedziałem rodzicom, jak wspaniale gotujesz. Mama zawsze mówi...

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Tak, tak, pamiętam - przerwała Maddie ze zniecierpliwieniem. - „Ożeń się z kobietą, której królestwem jest kuchnia, a twoje małżeństwo nigdy się nie rozpadnie”.

- No właśnie. Nie musisz się o to martwić, kochana. Akurat ty w kuchni radzisz sobie doskonale.

Spuściła głowę, unikając jego wzroku.

- Gdybyś tylko wiedział, w jaki sposób...

- Nie ma o czym mówić. Moim zdaniem gotujesz fantastycznie.

- Posłuchaj, naprawdę jest coś, o czym powinienesz wiedzieć...

- Nie, nie mów nic! - zaprotestował gwałtownie.

- Niektóre sprawy powinny pozostać tajemnicą.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście. Piękne kobiety muszą mieć swoje tajemnice.

- Oczekuje czego? - spytała z niedowierzaniem Dona Milano.

- Odpowiedzialności, rozsądku i opiekuńczości -powtórzył Joe. -

Ciekawe, prawda?

- Dla większości kobiet te cechy są bardzo ważne

- odparła matka po namyśle. - Spytaj o to którąkolwiek ze swoich szwagierek.

- Czyżby więc uważały, że to wszystko jest ważniejsze od miłości? Czy wyszłabyś za kogoś tylko dlatego, że jest, na przykład, opiekuńczy?

- Oczywiście, że nie. Ale czy naprawdę uważasz, że ta kobieta jest tobą zainteresowana? - spytała z po-

wątpiewaniem Dona. - Nie jest to przypadkiem twoje pobożne życzenie?

- Uwierz mi, mamó. Wiem, kiedy nie jestem kobiecie obojętny.

- W takim razie jest tylko jedno wyjście. Musisz dowiedzieć się, dlaczego te cechy są dla niej takie ważne, a potem udowodnić, że ty też możesz zapewnić jej wszystko, czego oczekuje. I że zrobisz to lepiej niż ten, jak mu tam, Tupper Reed.

- Przecież mogę dać jej poczucie bezpieczeństwa

- obruszył się Joe. - Jestem uczciwy, godny zaufania...

- Ale ona o tym nie wie, zwłaszcza jeśli czytała plotki na twój temat w którejś z gazet. Zna tylko twoją reputację, nie ciebie. - Dona złożyła ręce na piersiach i spojrzała na niego surowo. - Musisz przyznać, że w twoim życiu było wiele kobiet.

Joe przybrał minę niewiniątka.

- Mamó... A w jaki inny sposób mógłbym znaleźć tę jedyną?

- Posłuchaj, synu - powiedziała Dona poważnie.

- Jeżeli skrzywdzisz tę dziewczynę, nigdy ci tego nie wybaczę. I pamiętaj, musisz być pewien jej uczuć.

Uśmiechnął się i zapewnił ją gorąco:

- Obiecuję ci, mamusiu, że do sylwestra będziesz miała nową synową!

Rozdział 3

ANTIESTO MILANO czyli DANIE WYŚMIENITE!

- Dobry wieczór, pani Wallace - przywitał ją Giorgio, gdy tylko wysiadła z windy. - Bardzo się cieszę, że znowu nas pani odwiedza.

- Myślałam, że restauracja jest dziś zamknięta - odezwała się niepewnie. - Czyżby Joe kazał wam jednak pracować?

- Zostajemy w pracy zawsze, kiedy jest szczególna okazja - wyjaśnił. - A dzisiejszego wieczoru będę miał zaszczyt służyć pani.

Szczególna okazja? Sądziła, że ma tylko spróbować kilku potraw i wybrać najlepsze z nich, a tymczasem czuła się tak, jak gdyby została zaproszona na...

Nagle ogarnęło ją przerażenie.

No właśnie. Czyżby to miała być randka?

Nie, to niemożliwe!

Giorgio zsunął płaszcz z jej ramion. Odetchnęła z ulgą na myśl, że przynajmniej odpowiednio się ubrała. Zamierzała przyjść w spodniach, ale w ostatniej chwili zdecydowała się na ciemnobordową spódnicę i jedwabną bluzkę.

Tak jak poprzednio, Giorgio poprowadził ją przez ogromną salę, tym razem jednak zamiast jazzowych standardów muzycy na podium grali wiedeńskiego walca.

- Czy Joe zawsze wynajmuje muzyków, aby grali w pustej restauracji? - spytała, siląc się na żartobliwy ton.

- Ależ restauracja wcale nie jest pusta, proszę pani! - zaproponował Giorgio, uśmiechając się znacząco, po czym zatrzymał ją przed schodkami wiodącymi do stolika Joe'ego i powiedział: - Proszę wejść na górę. Pan Milano oczekuje pani.

Maddie niepewnie wspięła się na podium, to zaś co po chwili zobaczyła, przekroczyło jej najśmielsze oczekiwania. Wokół panował dyskretny półmrok, jedynie stół oświetlony był migoczącym płomieniem świec. Pomiedzy bluszczem, ostrokrzewem i białymi gardeniami ustawiono lśniące talerze, ułożono srebrzyste sztucce oraz wymyślnie poskładane serwetki. W srebrnym naczyniu mroził się szampan.

Zwabiona zapachem kwiatów, podeszła bliżej -i nagle doznała olśnienia. Stół był nakryty dokładnie tak samo, jak na zdjęciu w magazynie! A przecież Joe nie mógł wiedzieć, jak wiele znaczą dla niej te fotografie. Nagle uświadomiła sobie z przerażeniem, że jest tak pochłonięta podziwianiem pięknego nakrycia, że zupełnie zapomniała o gospodarzu. Rozejrzała się po sali. Joe stał przy oknie, odwrócony do niej plecami. Tym razem zamiast służbowego uniformu miał na sobie

GWIAZDKA MIŁOŚCI

ciemny garnitur, białą koszulę i krawat. Niewątpliwie nie zauważył, że już przyszła.

Nie mogła oprzeć się pokusie, aby popatrzeć na niego przez chwilę. Był pod każdym względem doskonały. Świetnie skrojony garnitur podkreślał jego szerokie, silne ramiona, a spodnie dyskretnie zaznaczały linię umięśnionych ud. Tupper nie dorównałby mu posturą, nawet gdyby ćwiczył w siłowni przez cały rok, pomyślała z niechęcią.

- Stół wygląda olśniewająco - odezwała się w końcu, przerywając głęboką ciszę.

- Bardzo się cieszę, że ci się podoba, Maddie. - Odwrócił się i podszedł do niej powoli. Poczula, że nie może się ruszyć, a może raczej nie chce... On zaś delikatnie chwycił w palce kosmyk jej włosów i uśmiechnął się z zadowoleniem. - Rozpuściłaś je. To cudownie...

- Nigdy nie związuję ich w czasie weekendu.

- Ale przez resztę tygodnia nosisz je upięte, tak? - spytał zaczepnie.

- Tak, zawsze.

- Może więc uda mi się kiedyś cię przekonać, abyś zmieniła zdanie. Na przykład, żebyś rozpuszczała je we wtorki lub środy.

- Nic z tego. Widzisz... ja lubię porządek. Ludzie uporządkowani są z reguły bardzo odpowiedzialni.

Joe drgnął, słysząc te słowa.

- A odpowiedzialność jest dla ciebie bardzo ważna, prawda?

- Bardzo.

- Ja jestem odpowiedzialny, *cara*.
- Nie wierzę. Flirciarze nigdy nie są odpowiedzialni.
- Nie jestem flirciarzem.

Zamyśliła się. Jakże by chciała, żeby była to prawda. Być może wtedy zaufałyby mu i uwierzyła. Jednak na przeszkodzie stały prześladowające ją wspomnienia o ojcu. Profit Wallace także był zabójczo przystojny i niesamowicie szczery. Wierzył, że potrafi wywiązać się ze wszystkich swoich obietnic. Przez pewien krótki czas życie z Joe'm byłoby wspaniałe - radosne i podniecające. Ale piękny sen skończyłby się równie nagle, jak się rozpoczął. Zjawiłaby się inna kobieta - taka jak ta, która okazała się bardziej atrakcyjna niż jej matka i której czarujący Profit Wallace nie potrafił się oprzeć - a ona zostałaby z rozdartym sercem i bez środków do życia.

Maddie zamknęła oczy. Tak, tych dwóch mężczyzn łączyło zbyt wiele.

- Nie wierzysz mi, prawda? - Joe delikatnie ujął jej podbródek, chcąc, żeby spojrzała mu w oczy. - Myślisz, że bawię się twoim kosztem?
- Myślę, że powinniśmy raczej spróbować naszych potraw - zasugerowała, odsuwając się nieznacznie. - Po to tu jesteśmy.
- O, nie, *cara*. To ty po to tu jesteś - rzekł z rozbawieniem, po czym wyjął z flakonu gardenię i wetknął ją w jej włosy.
- Jak to? A ty?
- Ja jestem twoim świątecznym życzeniem, nie pa-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

miętasz? - Podszedł do stolika i przysunął jej krzesło. - Zaraz pojawią się przystawki. Odrobinę szampana?

- Chętnie, kieliszek - odparła, a potem dodała, żeby go trochę utemperować: - Tupper i ja rzadko pijemy alkohol. Ale skoro o tym wspomniałeś, może do świątecznej kolacji powinnam podać także wino?

- Doskonały pomysł. W końcu musicie jakoś uczcić wasze zaręczyny. Jeżeli, oczywiście, to jeszcze jest aktualne.

- Oczywiście, że tak. - Spojrzała na niego chłodno. - Dlaczego miałyby być inaczej?

- To interesujące pytanie - podchwycił Joe. - Możemy o tym porozmawiać w ciągu najbliższych kilku tygodni.

- Nie sądzę, żeby... - zaczęła, lecz w tym samym momencie pojawił się Giorgio, niosąc tacę z przystawkami.

- Łosoś w sosie cytrynowym i *pate americano*. Zupa będzie gotowa za kilka minut - obwieścił, po czym wycofał się dyskretnie.

- Jesteś pewna, że dwa rodzaje przystawek są konieczne? - spytał z powątpiewaniem Joe.

Nie zamierzała zmieniać niczego, a on doskonale o tym wiedział.

- Zastanowię się - powiedziała ostrożnie, wkładając do ust niewielki kęs. Jednak i ten niewielki kęs wystarczył, by w jednej chwili z oczu Maddie popłynęły łzy. Boże! Poczowała się tak, jakby jej język i podniebienie trawił żywy ogień!

Joe z trudem opanował wybuch śmiechu. Na jego twarzy zaigrał szelmowski uśmiech.

- Coś nie tak, *caral*

- To jest... - otrząsnęła się z obrzydzeniem, sięgając po szklanekę zimnej wody - hm, dość pikantne.

- Oczywiście. Nie czytałaś przepisu? Mnóstwo w nim chili i pieprzu. A przecież zabroniłaś cokolwiek zmieniać.

- W takim razie chyba coś przeoczyłam - przyznała, utkwivszy wzrok w talerzu. - A poza tym... twój brat chyba zapomniał ugotować tego łososia.

- Nie zapomniał. Taki jest przepis - surowa ryba marynowana w soku cytrynowym, przyprawiona chili. - Nabrał na talerz dość dużą porcję, po czym odkroił kęs i włożył go do ust. Ku zdumieniu Maddie, nawet się nie skrzywił. - Jak sądzisz, czy twojemu narzeczonemu będzie to smakowało? - spytał przewrotnie.

- Wątpię. Może rzeczywiście lepiej będzie wyrzucić to danie z menu?

- Widzisz, jak to dobrze, że najpierw spróbowałaś? Rzeczywiście, na samą myśl o tym, co by się stało, gdyby poczęstowała tym daniem Tuppera i jego rodzinę, przeszły ją ciarki. Kolacja bez wątpienia skończyłaby się wcześniej, niż oboje planowali.

- Tak, to był dobry pomysł - przyznała. - Cieszę się, że o tym pomyślałaś. Łosoś był surowy i piekielnie ostry, za to *pate americano* smakowało doskonale, choć Joe uznał, że dodanie odrobiny boczku i migdałów jeszcze poprawiłoby smak.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Nie! - zaprotestowała Maddie. - Nie będziemy zmieniać przepisu.
- Jak sobie życzysz.

Zgodziła się tylko na to, aby wybrać jedną z dwóch zup, które właśnie pojawiły się na stole. Nie było to trudne, gdyż zupa z owoców morza okazała się jak na jej gust zbyt pikantna, podczas gdy „Mięsna niespodzianka” zachwyciła ich oboje.

- Wygląda na to, że to bardzo proste danie - stwierdziła z ulgą.
- Bardzo - zapewnił ją. - Zawsze jednak możemy coś uprościć, jeżeli będzie trzeba. - Bojąc się, że Maddie znowu się sprzeciwi, spytał szybko:
- Ile miało być dań z jarzyn?

Roześmiała się.

- Masz szczęście. Tylko jedno.

Zmartwiła się dopiero wtedy, gdy Giorgio dostarczył je na przenośnym piecyku umieszczonym na niewielkim wózku.

- Oto płonący szpinak - powiedział, rozpalając ogień, po czym ostrożnie wrzucił do wazy zawartość naczynia.

- Jak ja to przygotowuję w domu? - przeraziła się Maddie.

- Nie denerwuj się, to bardzo proste. - Joe z czułością ujął ją za rękę. - Wszystko wcześniej ci pokażę.

Uspokoiła się nieco. Pomyślała, że jeżeli Joe nauczy ją przyrządzać tę potrawę tak, aby mieszkanie nie poszło z dymem, to naprawdę zrobi wrażenie na Tuppe-rze i jego rodzinie.

- A tak przy okazji - rzekł Joe, napełniając kieliszki szampanem. - Przejrzałem te przepisy i przyjrzałem się uważnie dołączonym do nich fotografiom...
- I co? - spytała z obawą, bowiem zaniepokoił ją poważnie ton jego głosu.
- Te przepisy muszą być bardzo stare.
- Zgadza się. - Wzruszyła ramionami. - Wycięłam je, kiedy miałam dziesięć lat.
- I trzymasz je do dzisiaj? Po co? - spytał, otwierając oczy w bezgranicznym zdumieniu.
- Bo... - urwała, zastanawiając się, co odpowiedzieć. - Bo kojarzyły mi się kiedyś z idealną świąteczną kolacją. Zawsze o takiej marzyłam.
- Twoja rodzina nigdy takich nie jadła? Pokręciła powoli głową i spuściła wzrok.
- Przepraszam. - Joe stropił się nieco. - Nie chciałem ci sprawić przykrości. Ale powiedz mi, co szczególnego jest dla ciebie w tym właśnie zestawie dań? Co sprawiło, że tak ci na nim zależy?
- Sama nie wiem. - Znow wzduszyła ramionami.
- Czy to nie przypadkiem rodzina, która siedzi przy stole na zdjęciu?
- Nie bądź śmieszny!
- Śmieszny? Ależ to czarujący obrazek! Szczególnie dla dziesięcioletniej dziewczynki. Przystojny mąż, ubrany w wytworny smoking... Piękna żona w eleganckiej sukni... I czwórka dzieci o twarzach cheru-binków.
- Wiem, że to tylko zdjęcie.
- A jednak chciałaś zaczarować rzeczywistość, że

GWIAZDKA MIŁOŚCI

by była taka jak ten obrazek, czy tak, Maddie? - zapytał i czule pogłaskał ją po policzku. - Powiedziałaś, że twoja rodzina nie jadła takich kolacji. Dlaczego?

- Nie było żadnego powodu. Po prostu - odparła i zamknęła oczy, jakby chciała ukryć przed nim ból, który nagle się w nich pojawił.

- Maddie, porozmawiaj ze mną szczerze. Proszę... Nie zamierzała mu nic powiedzieć. Nie mówiła

o tym nikomu. A jednak w jego spojrzeniu, w ciepłe dłoni, która wciąż dotykała jej rozpalonego policzka, było coś, co sprawiło, że słowa przeszły przez jej gardło właściwie mimo woli.

- Moja matka zmarła, kiedy miałam pięć lat - powiedziała spokojnie, lekko tylko drżącym głosem. - Wychowywałam się w różnych rodzinach zastępczych, więc nigdy nie miałam prawdziwych świąt. Takich radosnych, beztroskich, z najbliższymi, we własnym domu...

Rozdział 4

ZUPPA E INSALATA czyli COŚ NA OSTRO

Joe nie odezwał się ani słowem. Podniósł się z krzesła, podszedł do Maddie i przytulił ją mocno do siebie. Nigdy przedtem nie czuła się tak bezpieczna, jak teraz, w jego ramionach.

Przeszli do sali, w której rozbrzmiewały dźwięki walca ze „Śpiącej Królowej” Czajkowskiego. Joe objął ją w pasie i poprowadził powoli wokół pustej sali.

- A co się stało z twoim ojcem? - spytał szeptem, zniżając głowę.

- Nie umiał się mną zająć - odparła obojętnie. - Potrafił dbać tylko o siebie. Czasami zabierał mnie do swego nowego domu, ale nie było mi z nim dobrze. Uwielbiał kobiety. Umarł rok temu.

- Rozumiem - rzekł krótko Joe, a ona odetchnęła z ulgą, że nie przybrał współczującego tonu. - Już wiem, gdzie nauczyłaś się opatrywać rany. Nie zajmowałaś się swoim rodzeństwem, ale innymi dziećmi z sierocińca.

- Nawet nie wiesz, ilu rzeczy można się tam nauczyć. Obcinałam włosy jak wykwalifikowana fryzjerka, uczyłam młodsze dzieci matematyki i potrafiłam wykąpać niemowlę.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Byłaś bardzo odpowiedzialna.

- Ktoś musiał być.

- A teraz chcesz poślubić kogoś, kto będzie zupełnie inny niż twój ojciec. Kogoś, z kim stworzysz prawdziwy dom. Kogoś odpowiedzialnego.

- Tak, ale Tuppera i mnie łączy coś więcej - powiedziała na wszelki wypadek.

- Czyżby? Jesteś tego pewna?

Westchnęła ciężko i odwróciła wzrok. Boże, dlaczego ten Joe ma takie cudowne, pełne usta, myślała z rosnącym przerażeniem. Dlaczego w jego obecności płaczę się, gubię, a jednocześnie wyznaję mu największe tajemnice? Tupper nigdy nie działał na mnie w ten sposób...

- W każdym razie nie chcę już do tego wracać - powiedziała wymijająco. - Wyciągasz nie wiadomo jakie wnioski z jednej świątecznej kolacji. A ja po prostu chciałabym spędzić miło ten wieczór w towarzystwie Tuppera i jego rodziny.

- Ano właśnie. Czy ty zamierzasz poślubić Tuppera, czy jego rodzinę?

- Tuppera, oczywiście.

- Dla mnie to wcale nie jest takie oczywiste. Wydaje mi się, że myślami wciąż wracasz do przeszłości i dlatego zależy ci na tym, aby twoje świąteczne życzenie zostało spełnione.

- Nieprawda. Mam na uwadze jedynie swoją przyszłość. A w niej nie ma miejsca dla ciebie!

- Mylisz się - powiedział spokojnie. - Chcesz być z Tupperem, bo ma w sobie wszystko to, czego nie miał twój ojciec. I tylko to.

- A ty za to jesteś dokładnie taki sam, jak on! - odcięła się, ale natychmiast pożałowała swoich słów. Joe nie zrobił na razie nic, co mogłoby potwierdzić jej zarzuty. Podniosła głowę, aby spojrzeć mu w oczy.

- Przepraszam. To nie było w porządku. Oceniam cię zbyt pochopnie.

W odpowiedzi przytulił ją mocniej i zapytał:

- Jak miał na imię twój ojciec?

- Profit. Profit Wallace.

- Dlaczego uważasz, że jestem taki jak on? - Uśmiechnął się. - Czy był przystojnym włoskim mistrzem kuchni? Opowiedz mi o nim.

- Naprawdę, wolałabym nie.

- Rozumiem. Ale sama powiedziałaś, że jesteśmy tacy sami. Chciałbym wiedzieć, dlaczego tak uważasz. Wspomniałaś już, że był kobieciarzem. Czy podobnie myślisz o mnie?

- Znajoma mówiła mi, że informacje o twoich podbojach stale pojawiają się w rubrykach towarzyskich

- wyjaśniła, lecz zaraz dodała szybko: - To oczywiście mogą być tylko plotki, nie myśl, że wierzę we wszystkim tym brukowcom...

- To prawda, spotykałem się z wieloma kobietami

- przyznał Joe poważnie. - Tylko w ten sposób mogłem szukać swojego ideału. Czy to znaczy, że jestem nałogowym flirciarzem?

- Oczywiście, że nie. - Znowu pomyślała o ojcu i o chwilach, które z nim spędziła. - Ale kiedy mężczyzna ugania się za każdą napotkaną kobietą, kiedy nie dba o najbliższych i jest nieszczerzy...

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Chwileczkę! - zaprotestował. - Nie wiem, Mad-die, jaki naprawdę był twój ojciec, ale ja nigdy nikogo nie zawiodłem. Nie składałem obietnic, których nie mógłbym dotrzymać. Moje związki z kobietami kończyły się bez żalu i wzajemnych pretensji. Nigdy nie skrzywdziłbym żadnej z nich.

- Nawet nieświadomie? - spytała podejrzliwie.

- Tego nie wiem. Ale moja matka i babka zadbały o moje wychowanie, więc wydaje mi się, że nie mam wypaczonego sumienia i należycie oceniam, czy wyrządzam komuś krzywdę, czy nie. Podobnie moi bracia. Każdy z nich ma już zresztą cudowną, mądrą żonę.

- No to dlaczego ty się dotąd nie ożeniłeś? Uśmiechnął się uwodzicielsko.

- Bo nie znałem ciebie.

- Proszę, Joe - westchnęła Maddie. - Nie komplikuj wszystkiego.

- To wcale nie jest takie skomplikowane, jak ci się wydaje. - Delikatnie ujął w dłoń jej twarz i zajął prosto w błękitne jak niebo nad Italią oczy.

- Pokażę ci, chcesz?

Zahipnotyzował ją wzrokiem, nie protestowała więc, kiedy zniżył głowę i dotknął gorącymi wargami jej ust. Zdawało jej się, że traci panowanie nad sobą. Zamknęła oczy i zarzuciła mu ręce na szyję. Nigdy nikt tak na nią nie patrzył - z taką tęsknotą, takim pożądaniem. I nikt nie całował jej z równym zapamiętaniem.

Po chwili Joe zwolnił uścisk i wypuścił ją z objęć.

- Widzisz, jakie to proste? - spytał łagodnie.

Maddie była przerażona tym, co się zdarzyło.

- To błąd - szepnęła zawstydzona. - Nie powinniśmy...

- Przepraszam, panie Milano. - Pojawienie się Giorgio wybawiło ją z kłopotliwej sytuacji. - Główne dania są już gotowe.

- Dziękuję. Zaraz przyjdziemy - odparł Joe, po czym zwrócił się do Maddie: - Dokończymy naszą ucztę?

- Nie, to chyba nie jest dobry pomysł - rzekła niepewnie. - Lepiej będzie, jeśli już pójdę.

- Nie ma mowy. Giorgio będzie niepokieszony. Nie mówiąc już o Renzo.

- Joe, proszę...

Popatrzył na nią błagalnym wzrokiem.

- A jeżeli obiecuję, że cię nie dotknę? Żałowała, że nie potrafi mu odmówić. W jednej

chwili w jej uporządkowane życie wkraść się zamęt. Pragnęła znaleźć się we własnym domu, wymazać z pamięci ten haniebny incydent, który przed chwilą miał miejsce, wiedziała jednak, że gdyby teraz uciekła, nie mogłaby przygotować kolacji, na której tak bardzo jej zależy.

Ale czy pracując z nim przez kilka najbliższych tygodni, zdoła pozostać niewzruszona na widok jego wspaniale wykrojonych ust i czekoladowych oczu?

- *Caral* - Joe wyciągnął do niej rękę.

Uciekaj, powtarzała sobie z rozpaczliwą determinacją. Uciekaj, Maddie, nie daj się skusić, uciekaj jak najprędzej.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

A jednak uniosła powoli ramię i podała mu dłoń z lekkim wahaniem.

- I co myślisz o daniu głównym? - spytał, wkładając do ust niewielki kęs faszerowanego kurczaka.

- W porządku.

- Odpowiada ci to nadzienie?

- Tak - odparła obojętnie. - Bardzo smaczne.

- Hmm... - Spojrzał na nią z zakłopotaniem. Nie uszło jego uwagi, że nie spróbowała ani kawałeczka. - A dodatki? Czy naprawdę potrzebujesz ich aż tyle? Możesz z czegoś zrezygnować.

- Jak uważasz. Joe zmrużył oczy.

- Wiesz co? Kiedy się pobierzemy, nie będziesz musiała w ogóle gotować

- powiedział podstępnie. - Zgoda?

- Zgoda - odparła obojętnie.

- Chciałbym też nauczyć gotowania nasze dzieci.

- Tak, oczywi... - Natychmiast otrząsnęła się z zadumy. - Co takiego?!

Jakie znowu dzieci?! - wykrztusiła z przerażeniem.

- Nasze. Te, które będziemy mieć, kiedy się pobierzemy.

Maddie gwałtownie odłożyła widelec na stół.

- Przepraszam cię, Joe, chyba się zamyśliłam. Nie zwróciłam uwagi, o czym mówisz.

- A ja w ciągu pięciu minut osiągnąłem więcej niż przez pięć dni - dodał z rozbawieniem.

Na jej twarzy nareszcie pojawił się uśmiech.

- A więc może to tu tkwi tajemnica twoich miłosnych sukcesów? Zadajesz kobietom podstępne pytania, kiedy myślą zupełnie o czym innym.
- Czy mój sposób jest skuteczny?
- Nie w moim przypadku - odparła ze śmiechem. W tej samej chwili na stole pojawił się imponujący deser - puszysty mus z białej czekolady, obłany gęstym malinowym sosem i podany na misternie wykonanych z migdałów tulipanach.
- Jest... jest zbyt piękny, żeby go zjeść - powiedziała oczarowana. - Renzo stworzył prawdziwe arcydzieło.
- Obawiałem się, że tak zareagujesz. - Joe bezlitośnie zagłębił łyżkę w miękkim kremowym puchu i podsunął jej do ust. - Spróbuj i powiedz, czy ci smakuje.
- Zostaw! Jeżeli zmienisz cokolwiek w tym deserze, zwolnię cię z posady - zagroziła.
- Przyznaję, to rzeczywiście ładnie wygląda - zgodził się łaskawie. - Następnym razem poproszę Renzo, żeby przygotował coś, co łatwiej będzie ci przełknąć. Kiedy możemy się spotkać?
- W tym tygodniu kończę pracę dopiero po piątej. Ale od następnego poniedziałku mam urlop.
- Świetnie - Joe mrugnął do niej okiem - będziemy mieli więcej czasu tylko dla siebie. Na razie zaś moglibyśmy spotykać się późnym wieczorem. Co ty na to?
- Tak, ale... - Spojrzała na niego z zakłopotaniem. - W ten sposób cały dzień spędzisz przy garnkach. Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Kilka godzin więcej w kuchni? - Uśmiechnął się. - Na dodatek z tobą? Oczywiście, że chcę! Podaj mi swój adres. Przyjadę jutro o jedenastej.

Joe zjawił się u Maddie punktualnie. Ku jej zaskoczeniu, nie wszedł od razu do kuchni, lecz zatrzymał się na progu niewielkiego salonu. Obrzucił go szybko wzrokiem, zmarszczył czoło i pokiwał głową.

- No tak... - westchnął znacząco

- Czy coś się stało? - zaniepokoiła się.

- Nie, nic.

Nerwowo rozejrzała się po pokoju. Wszystko wydało jej się w najlepszym porządku - stół lśnił czystością, krzesła stały na swoich miejscach. Być może jedynie zasłony w kwiecisty wzór rażyły nieco w tak małym pokoju. Ale Maddie powiesiła je celowo: identyczne widziała na zdjęciu w magazynie.

- Nie podoba ci się?

- Jest piękny - odparł. - Idealny obrazek.

- A więc wiesz, dlaczego tak wygląda? - W jej oczach pojawiły się łzy.

Pierwszy raz pomyślała o tym, z jakim trudem próbowała urządzić „idealny dom”, taki sam, jaki widziała na zdjęciu w gazecie. - Domyśliłeś się, na czym się wzorowałam, prawda?

Postawił na podłodze torbę, w której przyniósł wszystkie niezbędne składniki, i przytulił ją mocno do siebie.

- Rozumiem cię, Maddie - rzekł łagodnie. - Chcesz mieć dom, jakiego nigdy nie miałaś. I na pewno jeszcze coś - dziecko. Dziecko, którego nigdy nie opuścisz.

Po policzkach Maddie popłynęły łzy.

- Przecież moja matka nie zamierzała mnie opuścić...
- Tak, kochanie, nie zamierzała. Ale jednak wychowali cię obcy ludzie. Przez całe życie marzysz o prawdziwym domu.
- Przestań! Ty nic o mnie nie wiesz! - wybuchła. - Nikt nie wie!
- Nawet Tupper? Pokręciła głową.
- Nie zrozumiałby tego.
- Ja rozumiem.

To była prawda. Rozumiał zbyt dobrze. W ciągu zaledwie tygodnia dowiedział się o niej więcej niż Tupper przez pół roku. Wcale nie chciała mu o sobie opowiadać, a już na pewno nie o swym dzieciństwie. A jednak naciągnął ją na zwierzenia, wydobył z niej te informacje. Mój Boże, dlaczego właśnie on?

Delikatnie otarł łzy z jej policzków.

- Nie płacz. - Schylił głowę i musnął wargami jej usta. W odpowiedzi rozchyliła wargi, więc przylgnął do niej całym ciałem i zdecydowanym ruchem oparł ją o ścianę. - Pragnę cię, Maddie - wyszeptał. - Pragnę cię takiej, jaka jesteś. Przede mną niczego nie musisz ukrywać ani niczego udawać...

Jego wygłodniałe dłonie gorączkowo błędziły po jej ramionach, po szyi, powoli przesuwwały się w dół. Kiedy zaś dotknął jej piersi, z radością uświadomił sobie, jak bardzo Maddie reaguje na jego pieszczoty.

Chwycił jej biodra i przyciągnął ją ku sobie jeszcze bliżej.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Czujesz, jak na mnie działasz? - jęknął.

- Nie powinniśmy... - próbowała się bronić. - Tak nie można...

- Można, Maddie. Trzeba. Chcę się z tobą kochać. Chcę, żebyś była moja. Przeraziła się, słysząc te bezpośrednie słowa. A gdzie poezja, myślała, gdzie czułe wyznania, szepty, zaklęcia? Jak mogła dopuścić, by stało się to tak szybko, po kilku zaledwie zdaniach, przy czwartym dopiero spotkaniu? Jak to możliwe, że sytuacja całkowicie wymknęła się spod jej kontroli?

- Joe, musimy przestać.

- Nie, nie najdroższa.

- Tak. Tupper... Należę do niego.

Dźwięk tego imienia błyskawicznie ostudził jego zapał.

- Nieprawda! - zaprotestował gwałtownie. - I jeżeli chcesz wiedzieć, nigdy nie będziesz należeć!

- Nie ty będziesz o tym decydował - odparła chłodno, próbując wyswobodzić się z jego uścisku. - W tym układzie jesteś tylko kucharzem... przepraszam, mistrzem kuchni. Tak czy inaczej, bierzmy się do pracy. Po to tu przyjechałeś, prawda?

Spojrzał na nią z wściekłością. Spodziewała się, że zaraz odwróci się i odejdzie obrażony bez słowa. Tak się jednak nie stało. Joe schylił się i podniósł z podłogi torbę z jedzeniem, po czym polecił krótko:

- Zaprowadź mnie do kuchni.

Maddie wskazała mu drogę, a potem stanęła obok niego, patrząc, jak rozkłada na blacie kolejne wiktuały.

- Hm... *cara*... Mam jedno pytanie. - Rozejrzał **Się** niepewnie po półkach.

- Powiedz, gdzie ty wszystko trzymasz?

- Wszystko? - Maddie chrząknęła z zakłopotaniem.

- No... Przyprawy, mąkę, cukier. Sól i pieprz. - Nerwowo przeszukiwał wszystkie szafki. - Dlaczego chowasz to tak głęboko? Nie masz przypraw, do licha?

- Mam! To znaczy... Obawiam się, że mam tylko sól i pieprz. Stoją na stole w jadalni.

W jego oczach ukazało się bezgraniczne zdumienie.

- Jak to? W jaki sposób obywasz się bez przypraw? Jak ty w ogóle gotujesz?

- Jak gotuję? - Przygryzła wargę i spuściła głowę. - To rzeczywiście interesujące...

- Chryste Panie, ty nawet nie masz żadnych garnków! - wykrzyknął zdumiony nagłym odkryciem, którego dokonał, przeszukawszy wszystkie po kolei szafki i szuflady. - Możesz mi to wyjaśnić?

Maddie przełknęła ślinę. Wiedziała, że to będzie trudne

- No cóż, Joe. Ja po prostu... nie umiem gotować.

Rozdział 5

PIATTO PRINCIPALE czyli POTRAWA DNIA

- Jak to nie umiesz gotować?! - wykrzyknął Joe. - Mówisz oczywiście o gotowaniu wyszukanych potraw, prawda? Potrafisz pewnie tylko przyrządzić stek albo usmażyć jajecznicę.

- Nawet tego nie - odparła z rozbijającą szczerością.

- Nie?! Jasne, rozumiem, umiesz ugotować wodę na herbatę. - Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Dziewczyno, czym ty się w ogóle żywisz?

- To proste. - Podeszła do szuflady i wyjęła z niej notes. - Znajduję numer, dzwonię i za dwadzieścia minut przywożą mi gorącą pizzę albo dania z chińskiej knajpy.

- To niemożliwe - wyszeptał ze zgrozą. - A co na to Tupper? Czy wie, że nie masz pojęcia o gotowaniu?

- Jeszcze nie.

- Zaraz, zaraz... Jak udało ci się utrzymać to w tajemnicy?

- Najczęściej jadamy w restauracjach - wyznała niechętnie. - A gdy zapraszam go do siebie, podgrzewam jedzenie, zamówione wcześniej przez telefon.

- Ciekawy układ! - Joe z dezaprobatą pokiwał głową. - W takim razie wyjaśnij mi, proszę, jak zamierzasz przygotować tę kolację, skoro nie masz zielonego pojęcia o gotowaniu? Byłem pewien, że oczekujesz jedynie fachowej pomocy, rady przy najbardziej skomplikowanych przepisach. Nie wspomniałaś, że mam uczyć cię wszystkiego od początku.

- Teraz już wiesz. Wiesz wszystko.

- *Dio!* - jęknął. - Przecież ty nawet nie masz żadnego garnka. Czy myślisz, że nauczysz się gotować w ciągu trzech tygodni? Żeby to jeszcze było zwykłe gotowanie - zaśmiał się gorzko. - Twoje potrawy to ani woda na herbatę, ani jajecznica, *ni nawet stek. To wykwinna kuchnia, moje dziecko. I dla kogo to wszystko? Dla faceta, który być może łaskawie poprosi cię o rękę. I którego w ogóle nie kochasz...

- Kocham! - zapewniła go z zapałem.

- I który nic o tobie nie wie - dorzucił bezlitośnie.

- To był cios poniżej pasa.

- Czyżby? A czy myślałaś o tym, co będzie, gdy ten twój Tupper odkryje po ślubie, że go oszukiwałaś?

- Nie oszukuję go - powiedziała spokojnie. - Zamierzam mu powiedzieć, że nie umiem gotować. Ale później - dodała po namyśle. - Nie pomożesz mi? - Spojrzała na niego z niepokojem.

Joe westchnął ciężko.

- Pomogę. Jestem przecież twoim świątecznym życzeniem.

- To dlaczego wychodzisz?

- Dlatego że dziś i tak nic nie zrobimy. Nie mamy

GWIAZDKA MIŁOŚCI

podstawowych rzeczy. - Wskazał na puste szafki. - Jutro, kiedy będziesz w pracy, przyniosę wszystkie składniki i naczynia. Tylko zostaw mi klucz do mieszkania.

- Nie musisz tego robić.

- Muszę, *cara*. Wiem, co mówię. - W jego oczach pojawił się szelmowski błysk. - Jutro wieczorem zaczynamy od nowa, zgoda?

- Więc naprawdę mi pomożesz?

- Naprawdę, Maddie. Masz przecież moje słowo.

- Poczekaj, dam ci ten klucz - szepnęła ze wzruszeniem i przeszła do przedpokoju, by odnaleźć zapasową parę.

- Maddie... - powiedział Joe tuż przed odejściem. - Mam prośbę. - Położył dłonie na jej ramionach i ścisnął je lekko. - Pamiętaj, że możesz mi mówić absolutnie wszystko. Chciałbym, żebyś była ze mną szczerą. Będiesz? Proszę...

- Joe, boję się - powiedziała Maddie następnego dnia, kiedy w odpowiednio wyposażonej kuchni Joe przystąpił do udzielania pierwszych lekcji.

- Daj spokój. Widziałaś przecież, jak Giorgio to robił. To dziecinnie proste. - Podszedł do niej od tyłu i pomógł zawiązać jej fartuch. - Wierzę w ciebie, Maddie - szepnął jej do ucha. - Najpierw potrzebna będzie brandy.

Maddie zaczęła nerwowo przeszukiwać wszystkie szafki.

- Nie mogę znaleźć miarki...

- Nie będzie potrzebna.

- Ale w przepisie...

- Potrafię sam odmierzyć odpowiednią ilość każdego produktu. Nauczę cię. Patrz tylko.

Przygotowania przebiegały nadzwyczaj sprawnie. Maddie z podziwem obserwowała, jak Joe błyskawicznie kroci, szatkuje, a potem miesza i doprawia wszystkie składniki.

- Mam już tę brandy. Co teraz?

- Postaw to na stole i podpal. O, właśnie tak. - Zapalił zapałkę, po czym ostrożnie dotknął nią naczynia. - Że też zachciało ci się płonącego kociołka.

- Wiesz, jakie to zrobi wrażenie?

- Wyobrażam sobie.

- Czy mam nakładać potrawę, kiedy płonie? - spytała niepewnie.

- Tak, ale musisz bardzo uważać. No, spróbuj sama - uśmiechnął się zachęcająco, po czym wrócił do przyrządzania innego z dań.

Maddie ostrożnie wsypała cukier i obficie polała go brandy. Potem dodała jeszcze troszeczkę, i jeszcze...

- Teraz podpalam, tak? - upewniła się, gdy zaś Joe skinął głową, zapaliła zapałkę i z przejęciem przytknęła ją do naczynia.

Niebieski płomień wystrzelił z hukiem aż pod sufit, Maddie pisnęła, a Joe zerwał ze ściany gaśnicę i kilka sekund później gruba warstwa piany pokryła kuchenkę, podłogę i całe jej ubranie.

- Sparzyłaś się? - spytał, wrywając z jej dłoni gorący garnek.

- Nie. Och... Wszystko w porządku - westchnęła, kiedy udało jej się nieco ochłonać. - Co się właściwie stało?

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Jak to, co się stało?! - Joe potrząsnął butelką z brandy, a właściwie butelką po brandy. - Ile tego wlałaś?
 - Sama nie wiem... Zrobiłam to samo, co ty. Milczał przez dłuższą chwilę. Potem podniósł do ust butelkę i wysączył z niej ostatnią kroplę alkoholu.
 - Jutro kupujemy miarkę - odezwał się w końcu.
 - *Cara*, nie wymachuj nożem w ten sposób, bo potniesz przy okazji pół kuchni.
 - Przepraszam.
 - I uważaj na ziemniaki. Właśnie kipią. - Joe przekręcił kurek i zdjął garnek z palnika. - Już dobrze, sam się tym zajmę.
- Maddie wyjęła z szuflady notes i zanotowała w nim kolejną radę: „Ziemniaki - pamiętać, żeby nastawić minutnik! (i żeby nie zwracać uwagi na zmysłowe usta kucharza!)”
- Co tam piszesz? - zainteresował się Joe.
 - Och, nic takiego. Zapisuję tylko, jak długo powinny gotować się ziemniaki.
 - Maddie, to już czwarta strona. W czasie przyjęcia nie starczy ci czasu, żeby czytać notatki. Będziesz musiała przede wszystkim zajmować się gośćmi. Lepiej uważaj i staraj się sama wszystko zapamiętać.
 - Uważam przez cały czas - odparła, choć prawdę mówiąc, od pierwszej lekcji była mocno rozkojarzona. Niestety, to raczej sam Joe, a nie instrukcje, których udzielał, skupiał jej uwagę.
 - I tak wszystko zapomnisz. - Joe z rezygnacją

machnął ręką. - To nic nie da. Widzę przecież, że masz już dosyć. Ja zresztą też. Zostawmy to na jutro, dobrze? Maddie z głuchym trzaskiem zamknęła notatnik.

- W porządku - odparła, wzruszając ramionami.

- I jeszcze coś.

- Tak?

Zbliżył się do niej i pocałował ją pośpiesznie.

- Jeżeli nadal będziesz patrzeć na mnie w ten sposób, kiedy gotuję, to będziemy musieli przenieść nasze lekcje z kuchni do sypialni.

Zanim zdążyła ochłonać z wrażenia, już go nie było.

- Już ci mówiłam, Joe, że nie chcę niczego zmieniać!

- Dobrze, Maddie, nie złość się. Proszę cię tylko o jedno: usiądź i zamknij oczy.

Niechętnie zrobiła to, o co prosił. Jednak kiedy tylko zacisnęła powieki, Joe nachylił się i pocałował ją w usta.

- Joe!

- Przepraszam. Nie mogłem się oprzeć. Już nie będę. A teraz otwórz buźkę i spróbuj tego. - Wsunął jej do ust kęs nadzianego na widelec *pate*.

- I pamiętaj, że masz mieć zamknięte oczy.

- Pamiętam, pamiętam.

- No i jak?

- Nieźle. Chyba nie to chciałeś usłyszeć - dodała po chwili.

- Poczekaj. Mam coś jeszcze. Tylko nie otwieraj oczu - ostrzegł, wkładając jej do ust drugą porcję.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Mmm...

- Co takiego?

- Po prostu doskonałe. - Druga porcja smakowała prawie tak, jak jego pocałunek. Różnica między obiema przystawkami była mniej więcej taka, jak między pocałunkiem Tuppera a Joe'ego.

- O to właśnie mi chodziło - powiedział triumfalnie Joe.

- Wiem. - Maddie otworzyła oczy. - To drugie... to twój własny przepis, prawda?

- Nie do końca. Twój, tylko trochę zmieniony. Rozumiem, że go akceptujesz.

Oczywiście, że musiała zaakceptować. Tylko głupi upór mógłby tłumaczyć jakąkolwiek inną decyzję. Skoro zmiana jest nieznaczna, a rezultat rewelacyjny, to czy może mieć znaczenie drobne odstępstwo od przyjętej wcześniej zasady?

- Spróbuj jeszcze raz złożyć to ciasto w kopertę. - Joe ze zniecierpliwieniem przeciągnął dłonią po karku. - Za dziesiątym razem musi ci się udać.

Maddie przyjrzała mu się uważnie.

- Jak długo jesteś dziś na nogach? - spytała z troską w głosie. - Wyglądasz okropnie.

- E, tam. Nic mi nie jest - odparł niedbale. Maddie bez słowa odsunęła rozwałkowany placek,

umyła ręce, po czym ujęła Joe'ego pod ramię i zaprowadziła go do pokoju.

- Kładź się.

- Ale...

- Żadnych ale - przerwała stanowczo.
- Znowu będziesz bawić się w pielęgniarkę? - spytał, kładąc się posłusznie na kanapie. - Jaką witaminę zaaplikujesz mi tym razem?
- Nie będzie witamin. Zamierzam zrobić ci masaż relaksujący. Odwróć się. No, już.

Joe natychmiast ułożył się na brzuchu, wsuwając ręce pod brodę.

- Czy tego także nauczyłaś się, kiedy byłaś dzieckiem?
- Jedna z moich mam była masażystką.
- Powinienem chyba zdjąć koszulę - zasugerował śmiało.
- Nie ma mowy. To nie jest profesjonalny masaż. Masz się po prostu zrelaksować.
- Nie wiem, czy mi się to uda, jeżeli będziesz mnie dotykać.

Chciał jeszcze powiedzieć jakiś żart, nagle jednak ucichł, czując, jak pod wpływem łagodnych ruchów jej dłoni jego ciało powoli się odpręża.

Zamknął oczy i poddał się tej cudownej pieśczoście, tym słodszej, że zdawał sobie przecież sprawę, że przez cienką tkaninę koszuli Maddie musi czuć obezwładniające ciepło jego skóry. Po prostu musi. Nie ma innego wyjścia.

- Widzisz, tulipany zupełnie się nie udały. - Zrezygnowana oparła głowę na jego ramieniu.
 - Nic się nie stało. Musisz je trochę podgrzać. Tylko pamiętaj, w dniu przyjęcia przygotuj je, zanim przyjdą goście.
- Goście. Na dźwięk tego słowa ogarnęło ją poczucie

GWIAZDKA MIŁOŚCI

winy. Skoro robi to wszystko z myślą o Tupperze i jego rodzinie, to nie powinna pozwalać sobie na taką zażyłość w stosunku do Joe'ego. Joe jest tylko kucharzem, a Tupper oficjalnym kandydatem na narzeczonego.

Dlaczego wciąż o tym zapomina?

- Może teraz weźmiemy się za mus czekoladowy? - Joe przerwał jej rozmyślenia.

Skinęła odruchowo głową.

- Dobrze. Nie wiem tylko, czy poradzę sobie z karmelem.

- Oczywiście, że sobie poradzisz. Wymieszaj cukier z wodą i podgrzewaj powoli, aż zmieni kolor.

Maddie wykonała dokładnie jego polecenie, kiedy zaś cukier przybrał złocistobrazową barwę, uśmiechnęła się dumnie i zachęcona sukcesem zaproponowała:

- Mogę też zrobić krem. - Ustawiła mikser na największą prędkość i zabrała się do ubijania białek. -Dobrze mi idzie?

- Dobrze. Bardzo dobrze. - Joe obserwował ją z zadowoleniem. - A teraz powoli dodawaj czekoladę. O, tak. Świetnie! A teraz...

- Wiem, mieszamy krem z karmelem - odparła gorliwie Maddie i szybkim ruchem sięgnęła po gorący garnek.

- Nie! Poczekaj!

Niestety, ostrzeżenie nadeszło zbyt późno. Gęsty karmel spadł na obracające się z ogromną prędkością mieszadła i w jednej chwili cała zawartość miski rozbryzgnęła się po całej kuchni, oblepiając przy okazji Joe'ego i Maddie.

Rozdział 6

DOLCE czyli NIEBEZPIECZEŃSTWO

- Och, nie - jęknęła Maddie, trwożliwie spoglądając na oblepionego słodką masą Joe'ego. - Przepraszam... Naprawdę bardzo mi przykro.
- Mnie nie. - W jednej chwili znalazł się tuż przy niej i delikatnie przyparł ją do ściany. - Gdybyś tego nie zrobiła, nie mógłbym teraz... - lepki od kremu dłońmi ujął jej twarz i wycisnął na jej ustach gorący pocałunek - ...się zemścić.
- Nie jesteś na mnie zły?
- Jestem wściekły. - Jego pocałunek stał się bardziej zaborczy. - Przecież się mszczę. Jestem wściekły, że robisz to wszystko dla innego mężczyzny.
- To mój przyszły narzeczony.
- To też mnie doprowadza do szału. Ale najgorsze jest to, że nie rzucisz tego i nie pozwolisz mi kochać się z tobą.
- Nie mogę. Nie możemy. Przecież wiesz...
- Wiem tylko, jak cudownie się czuję, kiedy trzymam cię w ramionach - odparł. - I ty czujesz się tak samo.
- Nieprawda! - skłamała. - Nie czuję zupełnie nic.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Myślisz, że jestem ślepy? Twoje spojrzenie mówi samo za siebie. Pragniesz mnie, Maddie.

- To nie tak... Tupper...

- To nie jest twój mąż! - przerwał ostro. - Nie jest nawet twoim narzeczonym. Jest twoim szefem, mężczyzną, z którym się spotykasz. I tylko tyle.

- Ale ja go kocham! - wykrzyknęła z rozpaczą.

- Posłuchaj, Maddie, znamy się od trzech tygodni. Czy przez ten czas nie zorientowałaś się, że to, co do niego czujesz, to nie jest miłość? Przyjaźń, owszem. Daje ci poczucie bezpieczeństwa, pewnie tak. Ale nie przyprawia cię o szybsze bicie serca - wyszeptał tuż przy jej ustach. - I dlatego właśnie czujesz się taka bezpieczna. Nie kochasz go, więc nie jest w stanie cię zranić.

- Przestań! Nie chcę tego słuchać. - Otarła spływające po policzkach łzy i odruchowo spojrzała na jego podbródek: - Masz krem na brodzie.

- Tak? - W jego oczach pojawiły się wesołe ogniki. I coś jeszcze. Coś, co sprawiło, że poczuła dziwny dreszcz. - Zrobisz coś dla mnie, żeby odkupić swoją winę?

- Co takiego?

- Scałuj to.

Przez chwilę stała bez ruchu, przerażona jego propozycją. Jednak po chwili, niespodziewanie dla siebie samej, dotknęła językiem jego skóry i delikatnie zlizwała warstwę zmieszanego z karmelem kremu.

- Zabijasz mnie - jęknął z rozkoszy Joe. - Przestaję istnieć...

- Mam przestać? - spytała zaniepokojona.

- Nie ma mowy!

- Tutaj też się ubrudziłeś . . . - Delikatnie odchyliła kołnierzyk koszuli i czując, że nie jest w stanie dłużej opierać się pożądanemu, ostrożnie zatopiła zęby w ciepłej, naprężonej skórze.

Boże! Czy tego naprawdę chciała? Ugryźć go? Ach, jak nisko upadła!

- Spójrz na swój sweter - wyszeptał. - Też jest cały w karmelu.

- Twoja koszula...

Na jego wargach zaigrał zmysłowy uśmiech. Maddie próbowała przypomnieć sobie, kiedy ostatnio widziała, żeby Tupper uśmiechał się do niej w ten sposób, ale nie była w stanie ustalić, czy w ogóle kiedyś mu się to zdarzyło. Tymczasem Joe, nie spuszczać z niej wzroku, powoli rozpinął guziki koszuli. Po chwili zsunął ją, odsłonił szeroki tors i silne, muskularne ramiona i przytulił jej twarz do nagiego ciała.

Maddie zadrzała, westchnęła. Nie zdobyła się na żaden protest, kiedy Joe wsunął dłonie pod jej sweter, po czym ostrożnie ściągnął go z niej przez głowę.

- Nawet tutaj? - wyszeptał, obejmując wargami jej pierś, osłoniętą cieniutką jedwabną koronką.

- Niemożliwe... Krem?

- Ależ czuję go w ustach. Nie wierzysz? - Sięgnął dłonią do naczynia, nabierając na palec odrobinę białej masy.

- Nie! - pisnęła, gdy rozsmarował go na jej piersi. - Nie wolno...

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Wolno, Maddie. Trzeba. - Jęknął cicho, kiedy dłońmi natrafił na jej pośladki. Przycisnął ją do siebie, a ona ukryła twarz między jego szyją a ramieniem.

- Smakuje ci to danie, prawda? - pytał szeptem wprost do jej ucha. - Och, bardzo smakuje...

- Tobie też. Zawsze dobrze bawisz się w kuchni.

- Mam inwencję... Zaraz zaskoczę cię jeszcze bardziej.

- Czyżby? - Dłoń Maddie zagłębiła się w naczyniu z gęstą masą. Zanim Joe zorientował się, co się dzieje, zdążyła rozsmarować krem na jego twarzy. - To lepsze niż pianka do golenia! - roześmiała się, całując go w czubek nosa.

Uśmiechnął się, wypuścił ją z objęć, poczekał, aż wyrówna mu się oddech.

- Bawimy się dalej?

Znów ją pocałował, a ona znów pozwoliła mu na pieszczoty. Wobec czaru Jóe'ego Milano była całkowicie bezbronna. Przesuwał dłońmi po jej plecach, rozpinał stanik, a ona na wszystko mu pozwalała.

Ocknęła się dopiero wtedy, gdy ponownie przypomniał jej się Tupper. Cholerny Tupper!

- Joe, błagam cię... - jęknęła i zasłoniła dłońmi nagie piersi.

- Nie bój się, Maddie - odezwał się łagodnie, wyczuwając jej napięcie. - Czy ty naprawdę nie widzisz, jak bardzo cię kocham?

Głos na moment uwiązał jej w gardle. Nie była w stanie nic powiedzieć. Joe ją kocha? A Tupper? Przecież Tupper...

- Wiem, musisz mieć całkowitą pewność, że naprawdę chcesz być ze mną
- rzekł Joe, jak gdyby czytał w jej myślach. - Musisz wybrać między mną
a Tupperem, czy raczej między przyszłością a przeszłością i jej lękami.

Poczekam.

A więc nie zależy mu wyłącznie na tym, aby zaciągnąć ją do łóżka? Daje jej czas do namysłu? A te wszystkie plotki o jego podbojach?

Och, tak bardzo chciałyby wybrać Joe'ego. Zapomnieć o przeszłości, pozbyć się wszelkich wątpliwości i obaw. Jednak Tupper...

W ciszy, jaka zapadła po jego słowach, rozległ się nagle dźwięk telefonu.

- Nie odbieraj - poprosił nieśmiało.

- Muszę. - Wytarła ręcznikiem resztki kremu z twarzy i sięgnęła po słuchawkę. - Halo?

- Cześć. To ja.

- Ach... - Spojrzała na Joe'ego spłoszonym wzrokiem. - Cześć, Tupper.

- Dziś znowu pracuję do późna - odezwał się znajomy głos w słuchawce.

- Jeszcze jesteś w Spokane? Czy coś się stało?

- Nie, nie. Muszę załatwić kilka spraw. Obawiam się, że będę musiał zostać jeszcze tydzień. Na szczęście Joy bardzo mi pomaga.

- To dobrze...

- Miałbym poważne kłopoty, gdyby nie ona. Nigdy mi nie mówiłaś, że to taka świetna dziewczyna. Ma niesamowite poczucie humoru.

- Tak, rzeczywiście...

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Ach, byłbym zapomniał. - Tupper chrząknął z zakłopotaniem. - Posłuchaj, Maddie... Czy miałabyś coś przeciwko temu, gdybym przyprowadził do ciebie na święta jeszcze kilka osób?
- Na święta? Jeszcze kilka osób? To znaczy ile?
- spytała lekko zaniepokojona.
- Nie jestem pewien. Dwie lub trzy. Zgadzasz się, prawda?
- Powiedz mu, że nie ma mowy! - syknął Joe nad jej uchem.
- Tak, oczywiście, że się zgadzam.
- Wspaniale - Tupper odetchnął z ulgą. - Pomyślałem też sobie, że właściwie moglibyśmy zaprosić Joy. Nie prosiłbym cię o to, ale... Cóż, zdaje się, że biedactwo zostaje na wigilię samo, więc...
- Jasne. Im więcej gości, tym lepiej. To w końcu święta. Poza tym - Maddie odwróciła się, aby nie widzieć miny Joe'ego - dla nas będzie to szczególny wieczór, prawda?

Tupper zawahał się przez chwilę.

- Tak, oczywiście - odparł, po czym dodał szybko:
- Zadzwoń jeszcze w tym tygodniu. Dobranoc, kochanie. Muszę już kończyć.

Maddie odłożyła słuchawkę wstrząśnięta. Tupper Reed powiedział do niej „kochanie”. Bardzo rzadko mówił do niej w ten sposób, ale nie to tak bardzo nią wstrząsnęło. Zdumiało ją, że to słowo - słowo, które tak bardzo pragnęła usłyszeć z jego ust - nie zrobiło na niej absolutnie żadnego wrażenia. Nie zapragnęła zatopić się w ramionach Tuppera i pozostać tam na zawsze. Dziwne, prawda?

- Ilu więc w końcu będzie tych gości? - zagadnął Joe.
- Tupper nie był pewien. Dwie albo trzy osoby więcej. Może cztery.
- Co takiego? To razem dziesięć! - Joe potrząsnął głową z dezaprobatą. - Maddie, nie poradzisz sobie.
- Przecież to niewielka różnica. - Wzruszyła ramionami. - Po prostu przygotuję więcej jedzenia.
- Joe zastanowił się przez chwilę.
- Słuchaj... - powiedział z wahaniem. - A może przyjdę w wigilię i ci pomogę?
- Wiesz przecież, że chcę to zrobić sama. Gdybym potrzebowała pomocy, wynajęłabym kogoś na ten dzień.
- Nie rozumiem, dlaczego się tak upierasz.
- Bo... - Zamknęła oczy. - Bo się boję, że jeżeli teraz mi się nie uda, to nie uda mi się już nigdy.
- Zupełnie nie rozumiem. Tym bardziej powinnaś... I dlaczego nie nauczono cię gotować?
- Próbowano. Ale pierwszy dom, do którego trafiłam... - Z trudem przełknęła ślinę. - Puściłam z dymem.
- Co takiego?!
- Spaliłam go - powtórzyła. - To był wypadek. Chciałam tylko pomóc. - Odważnie spojrzała mu w oczy. - Nie śmiej się. To wcale nie było zabawne. Moi następni opiekunowie zabronili mi zbliżyć się do kuchni.
- Wcale im się nie dziwię. Ja też nie powinienem był ci na to pozwolić.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- Cóż... Teraz wiesz o mnie już wszystko. Chcę pokonać swój lęk.
- Dlaczego więc nie chcesz zwalczyć lęku przed poślubieniem kogoś, kto przypomina ci trochę twojego ojca?
- Przecież nie zamierzam wyjść za nikogo, kto byłby do niego podobny. Tupper jest zupełnie inny.
- Tak, i jeśli wyjdiesz za niego, twoje małżeństwo rozpadnie się wcześniej niż się spodziewasz.
- Nie rozumiem, co masz na myśli.
- To, że pewnego dnia obudzisz się i stwierdzisz, że nie możesz żyć bez miłości. A wtedy odejdziesz od Tuppera.
- Nieprawda! Nie jestem taka jak mój ojciec. Zawsze dotrzymuję danego słowa. Znam Tuppera od dwóch lat i wiem, że mnie nie zawiedzie.
- Tak, pewnie - powiedział kpiąco Joe. - Odpowiedzialny, poważny, godny zaufania. Maddie, zrozum, to jeszcze nie wszystko! - Przyciągnął ją do siebie. - Najważniejsza jest miłość. Nie wiesz o tym? Kocham cię. Pokochałem cię w chwili, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. I ty też jesteś gotowa mnie pokochać.
- Znamy się dopiero kilka tygodni. Nie możesz tego stwierdzić po tak krótkim czasie - zaprotestowała. - To po prostu niemożliwe.
- Nie? A gdybym znał cię od wielu miesięcy, czy to zmieniłoby cokolwiek?
- Znudziłabym ci się i zainteresowałbyś się kimś innym.

301

- Tak właśnie postępował twój ojciec? Zmieszała się. Nie chciała, aby użył tego porównania.

- Czy ty wiesz, co to znaczy zostawić coś, co osiągnęło się z takim trudem?

- Tak, *cara*. Wiem. - Z czułością pogładził ją po policzku. - Ja sam rzuciłem wszystko, kiedy zdecydowałem się tu przyjechać.

- Zgadza się, ale tu czekała na ciebie rodzina.

- Na ciebie też będzie ktoś czekać. Ja. Bo ja jestem przy tobie, pomagam ci, zjawiam się na każde żądanie. I to wcale nie z powodu Mathiasa, wierz mi. A przecież jest jeszcze cała moja rodzina, która stanie się twoją, jeśli tylko podejmiesz ostateczną decyzję.

- A jeśli tego nie zrobię? - spytała zaczepnie. - Co wtedy? Odejdiesz? Dasz sobie spokój?

- Ile razy mam ci powtarzać, że cię nie zostawię? - Jego uśmiech sprawił, że serce zabiło jej żywiej. - Jestem twoim świątecznym życzeniem.

Powiedz tylko, czego pragniesz, a dostaniesz to w prezencie.

- Chcę więc... - Czuła, że słowa z trudem przechodzą jej przez gardło. - Chcę... żebyś nauczył mnie, jak przygotować kolację dla dziesięciu osób.

Rozdział 7

***CAFFE E CONVERSAZIONE* czyli KOLACJA GOTOWA**

Minął tydzień poprzedzający święta. Choć od pamiętnego wypadku z musem czekoladowym nie przydarzyło się już nic podobnego, atmosfera między Joe i Maddie stawała się coraz bardziej napięta. Maddie pogodziła się z tym, że nie jest w stanie całkowicie skoncentrować się na menu i każda kolejna próba przygotowania jakiegokolwiek potrawy może wypaść jedynie gorzej.

Nie pogodziła się jednak z tym, że w takiej sytuacji świąteczna kolacja nie ma szansy się udać. Nie odesłała Joe'ego, nie podziękowała mu za daremny trud, nie odwołała gości. Może liczyła na cud? A może po prostu nie chciała na zawsze rozstać się z panem Milano.

Dwa dni przed wigilią Joe stracił cierpliwość.

- Nie słuchałaś, kiedy ci tłumaczyłem! - warknął.
- Słuchałam. Dwie szczypty soli i jedna czwarta szklanki cukru.
- No właśnie, spróbuj więc tego, co zrobiłaś. Maddie nabrała na łyżeczkę odrobinę sosu malinowego.

303

- Uch... - wykrzywiła twarz z obrzydzenia - co to jest?
 - Dodałaś dwie szczypty cukru i jedną czwartą szklanki soli!
 - O rany, każdemu może się zdarzyć.
 - Mnie jak dotąd się nie zdarzyło. Jeśli popełnisz taki błąd za dwa dni, to twoja kolacja przejdzie do historii.
- Maddie odwiązała fartuch i cisnęła go na podłogę.
- Nie widzisz, że się staram? - powiedziała, próbując powstrzymać cisnące się do oczu łzy.
 - No dobrze - pogłaskała ją po głowie - widzę. Spróbujmy jeszcze raz, zgoda? Tym razem na pewno się uda.
 - Nie - odparła ponuro. - To już koniec. Jestem beztalenciem i nic tego nie zmieni.
 - W takim razie zobaczymy się jutro?
 - Nie - powtórzyła. - Powiedziałam, że nie zobaczymy się już nigdy. - Podniosła powoli wzrok i spojrzała mu prosto w oczy. - Przez trzy tygodnie robiłeś wszystko, żeby nauczyć mnie podstawowych rzeczy. Jeśli nie udało się do tej pory, to na pewno nie nauczę się więcej w ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin.
 - Wiesz, że to wcale nie jest prawdziwy powód, dla którego nie chcesz mnie widzieć. Powiedz mi prawdę.
 - Domyśl się sam, Joe. - Uśmiechnęła się gorzko. - Sam powiedziałeś, że potrzebuję czasu, żeby się zastanowić. A nie mogę tego zrobić, kiedy tu jesteś. Rozpraszasz mnie - przyznała nieśmiało.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

- I o to chodzi! Chcę cię rozpraszać! Chcę się z tobą kochać! - wykrzyknął. - Do diabła! Chcę, żebyś za mnie wyszła!
- Tak, teraz chcesz. A czy pomyślałeś, co będzie za miesiąc? Za rok?
- Moje uczucia się nie zmienią - odparł z ręką na sercu.

Roześmiała się.

- Joe, daj spokój. Te wszystkie zapewnienia... są wspaniałe, ale wydają się takie teatralne.
- Wcale nie - obruszył się. - Taki właśnie jestem. Daję ci swoje serce na dłoni. Nie umiem być powściągliwy. Gorąca krew, sama rozumiesz... - Zdjął fartuch i przewiesił go przez poręcz krzesła. - Powiem ci, co masz zrobić, zgoda? Teraz pocałujesz mnie na pożegnanie, a potem położysz się spać. Rano zaś sama spróbujesz przyrządzić wszystkie te dania.
- Tylko tyle?
- Nie. Obiecuj, że zadzwonisz, kiedy będziesz mnie potrzebować.
- A jeżeli nie zadzwonię?
- To sam przyjdę sprawdzić, jak sobie radzisz.

Joe stał przed domem Maddie i zastanawiał się usilnie, czy nie popełnia właśnie błędu, który przeważy szalę. Przecież wyraźnie powiedziała, że nie potrzebuje pomocy. Może się wściec i na zawsze go przekreślić.

Dlaczego więc postanowił zjawić się u niej w wigilię, dosłownie kilka godzin przed przyjściem gości?

305

Doskonale wiedział, dlaczego. Ponieważ ją kochał i chciał jej pomóc. Był wszakże jeszcze jeden powód, może ważniejszy niż wszystkie inne. Tak naprawdę przyszedł tu w nadziei, że Maddie odrzuci oświadczyzny Tuppera Reeda. W tym też gotów był jej pomóc.

Zapukał lekko do drzwi. Otworzyła mu Maddie, ubrana jedynie w podomkę. Włosy miała upięte w niedbały węzeł, z którego wysunęło się kilka krótszych kosmyków; na zaróżowionych policzkach widniały ślady mąki. Była przerażona - i wyglądała zniewalająco.

Na jego widok wybuchnęła płaczem.

- Joe! Nie panuję nad tym wszystkim! Mam dosyć!

- Niech zgadnę. - Zamknął za sobą drzwi i przytulił ją mocno. - Biegasz po kuchni jak szalona. Kolacja jeszcze nie gotowa, a ty nie zdążyłaś się nawet wykapać.

- Mhm - przyznała i wtuliła mokrą od łez twarz w jego marynarkę.

- W takim razie ja pójdę do kuchni, a ty przygotujesz się do przyjęcia gości, zgoda? - zaproponował spokojnie.

- Naprawdę zrobisz to dla mnie?

- A jak myślisz, po co przyszedłem?

- No właśnie, Joe. Po co? - Podniosła twarz i popatrzyła na niego groźnie.

- Jestem twoim świątecznym życzeniem - powiedział tylko. - Nie pamiętasz? Dzisiaj wigilia...

Jej oczy zaszkliły się znowu.

- No, idź. - Delikatnie popchnął ją w kierunku sy-

GWIAZDKA MIŁOŚCI

pialni. - Przebierz się. Mam nadzieję, że pamiętałaś, żeby nakryć do stołu?

- Boże! Stół! - Maddie zatrzymała się wpół drogi. - Zapomniałam na śmierć!

- Tym też się zajmę - westchnął, zaraz jednak uśmiechnął się poczciwym uśmiechem Świętego Mikołaja.

- Och, Joe, naprawdę nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. - Zarzuciła mu ręce na szyję i złożyła na jego ustach pośpieszny pocałunek.

Joe poszedł do kuchni, choć najchętniej udałby się za nią do sypialni. Z zadowoleniem spostrzegł, że Maddie poradziła sobie o wiele lepiej niż się spodziewał. Zdążyła przygotować wszystko oprócz szpinaku i faszerowanych kurcząt. Najbardziej jednak zdumiało go to, że dekoracja stołu, którą wybrała, całkowicie różniła się od tej, którą przedstawiało zdjęcie w ilustrowanym magazynie.

Spojrzał na zegarek. Do przyjścia Tuppera zostało niewiele czasu. Trzeba się brać do roboty.

- Joe, mógłbyś zerknąć? - usłyszał jej głos zza pleców, obrócił się więc i... zamarł w bezgranicznym zachwycie.

Czerwona suknia ściśle przylegała do szczupłego ciała Maddie i okrywała je całkowicie, z wyjątkiem długiego rozcięcia, które odsłaniało smukłą nogę do połowy uda.

Do licha! Założyła ją dla innego mężczyzny!

Nie dla niego!

Delikatnie dotknął jej włosów, lekko podkręconych na końcach.

- Rozpuściłaś je - szepnął zachwycony. - A to przecież ani sobota, ani niedziela.
- Zrobiłam wyjątek - odparła, siląc się na obojętność. - Są święta. Mógłbyś zasunąć mi zamek? - zapytała, odwracając się doń plecami.
- Z przyjemnością. - Joe powoli przesunął dłonią po jej plecach. Poczł, że zadrżała lekko, gdy zaczął pieścić palcami jej szyję. - Maddie...
- Kolacja - wyszeptała, ale nie odsunęła się.
- Wiem, przecież po to przyszedłem.
- Czy ty... - odwróciła się, tknięta złym przeczuciem. - Czy zamierzasz zostać na mojej kolacji, z moimi gośćmi? - spytała ostrożnie, jakby obawiała się, że przytaknie.
- Nie - uśmiechnął się i wtulił twarz w jej włosy. - Nie interesują mnie twoi goście. Jestem tu tylko ze względu na ciebie. Kocham cię, Maddie - wyszeptał, po czym wpił się wargami w jej usta.
- Ich smak oszołomił go na moment i Joe niemal stracił nad sobą panowanie. Zaraz jednak oprzytomniał i odepchnął ją lekko.
- Ona jednak przylgnęła do niego całym ciałem, objęła dłońmi jego twarz i chciała coś powiedzieć, lecz nie pozwolił jej na to dzwonek, który zadzwieczał krótko dwa razy, jakby był to umówiony sygnał.
- Już są - szepnęła przerażona.
- Spokojnie. Ubierz się, a ja pójde otworzyć - zaproponował wspaniałomyślnie.
- Nie! Poczekaj! - Nerwowym ruchem pociągnęła go za rękaw. - Masz na ustach ślad po szmince.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Dzwonek zadźwięczał znowu, więc Joe nie zwlekając pospieszył do drzwi. Na progu stała radosna gromadka Reedów.

- Dobry wieczór - przywitał ich. - Przepraszam, że musieli państwo czekać. Proszę do środka.

Jako pierwszy do mieszkania wszedł trzydziestokil-kuletni mężczyzna, tuż za nim zaś młoda, ładna blondynka.

- Nie do wiary. To naprawdę pan? - Mężczyzna wyciągnął dłoń. - Jestem Tupper Reed, a to moja pracownica, Joy Jessup.

- Joe Milano. Bardzo mi miło. Proszę się rozgościć. Maddie zaraz do państwa wyjdzie.

Po chwili pojawił się w salonie z półmiskiem *pate*. I wtedy dopiero został zasypany gradem pytań.

- To pan występuje w telewizji, prawda? - zagadnęła Joy. - Zostanie pan z nami cały wieczór?

- Pan przygotował dzisiejszą kolację? - dociekała pani Reed.

- W jaki sposób poznaliście się z Maddie? - chciał wiedzieć Tupper.

- Tak, to ja występuję w tym programie - odpowiadał Joe z uprzejmym uśmiechem. - Niestety, mam pewne plany na dziś, więc opuszczę państwa, gdy tylko pojawi się Maddie. Jeśli zaś chodzi o kolację, to Maddie przygotowała ją samodzielnie. Ja tylko pomogłem ułożyć menu. Znam zaś ją, bo... - tu zwrócił się do Tuppera - kupiła mnie na aukcji. Jestem jej świątecznym życzeniem, rozumie pan.

- Kupiła pana? - powtórzył Tupper z niedowierzaniem.

- Kupiła moją pomoc. Ja jestem tylko dodatkiem. Domyślam się, że dzisiejszy wieczór jest dla niej bardzo ważny, dlatego właśnie potrzebowała fachowej pomocy. To jakaś szczególna okazja, prawda? Nie chodzi tylko o święta?

Po jego słowach zapadła głucha cisza.

- Tak, oczywiście - odparł Tupper niechętnie. - Nie wiedzieliśmy, że Maddie zadała sobie tyle trudu.

- Bardzo się napracowała - przyznał Joe, posyłając Tupperowi uśmiech, który był jego telewizyjną wizytówką. - No cóż, jeśli państwo pozwolą, pójde sprawdzic, czy jest już gotowa.

- Idź do nich, Maddie - szepnął, gdy tylko znalazł się w sypialni. - Ja schowam się w kuchni. Przygotuję wszystko i wyjde, kiedy siadziesz do stołu.

Maddie kiwnęła głową, pocałowała go w policzek i sztywna z przejęciem wyszła do salonu.

Po kilkunastu minutach wróciła do niego, lekko zaniepokojona.

- Co ty im naopowiadałeś? Tupper i jego rodzina jakoś dziwnie mi się przypatrują.

- Powiedziałem, że kupiłeś mnie na aukcji. Może nie powinienem był tego mówić? - zastanowił się, wkładając nadzienie do kurczaków.

- Nie, nie, w porządku. Joy i tak o wszystkim wiedziała. - Maddie gorączkowo rozejrzała się po kuchni. - Mój Boże, nie wiem, od czego zacząć.

- Nie denerwuj się. Wszystko będę ci mówił. Maddie starannie wypełniała jego polecenia, a on

GWIAZDKA MIŁOŚCI

ze zdziwieniem patrzył, jak doskonale sobie radzi. W jej ruchach nie było już niepewności. Sprawnie nakładała przystawki, jednocześnie doglądając bulgoczącego na palniku sosu. Nie myliła soli z cukrem, a brandy odmierzała nadzwyczaj sprawnie.

Joe zdjął fartuch i złożył go na poręczy krzesła.

- Pójdę już - powiedział z westchnieniem. Maddie spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

- Nie możesz zostać, dopóki nie podam płonącego szpinaku?

- Wszystko ci się uda.

- A jeśli nie?

- No dobrze. Zostanę jeszcze chwilę.

Następne dwadzieścia minut było dla niego prawdziwą torturą. Słyszał, jak Tupper robi jej w salonie żartobliwe wymówki o to, że kupiła sobie w prezencie szefa kuchni, na co Maddie odpowiadała wybuchami perlistego śmiechu.

Dio, dlaczego on musi tak cierpieć? Miał ochotę wtargnąć do salonu, wziąć ją w ramiona i obwieścić Tupperowi, Joy i całej reszcie, że ta kobieta należy wyłącznie do niego!

Gdy przyszedł czas na płonące danie, stanął w przedpokoju i obserwował dyskretnie, jak Maddie zapala zapalnik i przykłada ją do naczynia.

Odetchnął z ulgą, widząc zachwyty w oczach gości. Giorgio nie mógłby zrobić tego lepiej.

W chwilę później do kuchni wpadła rozpromieniona Maddie.

- Widziałeś? - spytała podekscytowana. - Udało

311

się! Nie było pożaru i obyło się bez gaśnicy. - Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Joe, to dzięki tobie! Dziękuję ci za wszystko.

- Cieszę się, że mogłem pomóc kobiecie, którą kocham.

- Joe, proszę cię, nic nie mów.

- Wiem - rzekł z udawaną obojętnością. - Pójdę już. Zostały same łatwe dania.

Rozdział 8

ARIWEDERCI! czyli PRZEZ ŻOŁĄDEK DO SERCA

Maddie cofnęła się o krok. Jeszcze dwa dni temu sama prosiła go, by odszedł i nie odwiedzał jej więcej, teraz zaś, gdy uświadomiła sobie, że nadeszła właśnie chwila ostatecznego pożegnania, ogarnął ją żal. Dotarło do niej nagle, że to naprawdę koniec; że jeżeli pozwoli mu odejść, już nigdy go nie zobaczy.

- Naprawdę musisz iść?

- Przecież świetnie sobie radzisz - odparł. - Nie potrzebujesz już mojej pomocy. Wracaj do gości, czekają na ciebie.

Poczuła, jak coś ściska ją w gardle.

- Zostań. Znajdzie się miejsce przy stole.

- Wybacz, Maddie - uśmiechnął się z ironią. - Mam siedzieć przy stole i wznosić toast za twoje zaręczyny? Uśmiechać się uprzejmie, kiedy będziecie ustalać datę ślubu? Nie ma mowy.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie pomyślałam...

- Nie musisz myśleć - odparł łagodnie. - Po prostu pocałuj mnie na pożegnanie.

Było to najtrudniejsze ze wszystkich zadań, jakie

313

jej wyznaczył. Nie mogła jednak odmówić. Prosił przecież o tak niewiele, dając w zamian o wiele więcej. Wspięła się na palce, przywarła drżącymi wargami do jego ust. Ku jej rozczarowaniu, nie odwzajemnił pocałunku.

- Dziękuję ci - szepnęła. - Spełniłeś moje świąteczne życzenie.

- Nieprawda. Jeszcze nie.

- Nauczyłeś mnie, jak przygotować kolację. O to mi chodziło.

- Nie, *cara*. - Joe uśmiechnął się zagadkowo. - Czyżbyś zapomniała?

- Wybacz, Joe, ale nie wiem, -o czym mówisz.

- W porządku. W takim razie poczekam jeszcze trochę. Jeżeli sobie przypomnisz i dojdiesz do wniosku, że wciąż ci na tym zależy, to wiesz, gdzie mnie szukać. Do widzenia, kochanie. Wesołych Świąt!

Maddie zmarszczyła czoło z zakłopotaniem. O jakim życzeniu jeszcze mu wspominała. Poprosiła go, aby nauczył ją gotować, to chyba wszystko...

Myśl o tym nie dawała jej spokoju nawet wtedy, kiedy wróciła do salonu i usiadła przy stole w towarzystwie gości.

- Maddie? - zagadnął ją Tupper. - Wszystko w porządku?

- Tak - odparła z roztargnieniem. - Dlaczego pytasz?

- Milczysz przez cały wieczór. Martwiłem się. -Spojrzał na Joy, a potem na rodziców. - Martwiliśmy się, czy coś się nie stało.

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Maddie odłożyła na bok sztucce.

- Prawdę mówiąc, rzeczywiście coś jest nie tak.
- Wiedziałam! - wykrzyknęła Joy. - Byłam pewna.
- Nie stało się nic wielkiego. Ja tylko... zapomniałam, jakie było moje świąteczne życzenie.

Zapadła kłopotliwa cisza.

- Joe powiedział nam, że to on jest twoim życzeniem - odezwała się matka Tuppera. - Może to będzie jakaś wskazówka?

Maddie otworzyła oczy ze zdumienia. Oczywiście! Ileż razy jej to powtarzał!

- Rzeczywiście, on jest moim życzeniem. Jak mogłam zapomnieć?
- Maddie? - zaniepokoił się Tupper. Popatrzyła na niego tak, jakby widziała go po raz

pierwszy. I nagle wszystko stało się jasne: nie kochała go. Joe Milano miał rację - pragnęła tylko jego!

- Tupper... - zaczęła. - Muszę ci coś powiedzieć. Wiem, że to nie jest dobry moment, ale trudno. - Wzięła głęboki oddech i dokończyła: - Przykro mi, ale nie mogę wyjść za ciebie.

- To przez Joe'ego, prawda? - spytał nadzwyczaj spokojnie.

- Tak. - Skinęła głową. - Kocham go.

- Wiesz, Maddie, rozumiem cię lepiej, niż ci się wydaje. Ja też mam ci coś do powiedzenia. - Podniósł się z krzesła i stanął tuż za Joy, kładąc dłoń na jej ramieniu. - Wczoraj oświadczyłem się Joy. Nie chciałem cię oszukiwać. Po prostu stało się.

Joy spuściła głowę, starając się unikać wzroku przy-

315

jaciółki. Maddie jednak roześmiała się tylko z radością i zawołała:

- To wspaniale! Naprawdę - zapewniła ich pośpiesznie. - Cieszę się, że jesteście razem.

- I nie masz do nas żalu? - spytała Joy ze zdziwieniem.

- Oczywiście, że nie. Jestem pewna, że będziecie bardzo szczęśliwi.

Przecież miłość... jest najważniejsza!

W jednej chwili uświadomiła sobie, że tak jest w istocie. Nie mówiąc już o tym, że Joy umie wspaniale gotować, a to jest, zdaje się, szalenie ważne dla pani Reed.

- Wybaczcie mi, muszę was opuścić - powiedziała szybko, podnosząc się z miejsca.

- Wychodzisz? - Tupper wyraźnie nie nadał za przebiegiem zdarzeń.

- Tak wyszło. Muszę znaleźć Joe'ego. Aha - zawołała z przedpokoju - w lodówce jest deser, częstujcie się!

- Poczekaj! - Tupper zerwał się z miejsca i zastąpił jej drogę do drzwi. -

Nie rozstaliśmy się tak, jak powinniśmy - powiedział cicho. Uwierz mi, zamierzałem poprosić cię o rękę. Ale potem...

- Wiem, wiem, potem pojechałeś do Spokane z Joy.

- Tak, i zakochałem się w niej. Nie planowałem tego i przykro mi, że nie powiedziałem ci o tym wcześniej...

- Wiem, wiem, wszystko stało się tak szybko. Ale

GWIAZDKA MŁOŚCI

to dobrze, że nie odwołałeś kolacji. Inaczej nie poznałabym Joe'ego.

Przepraszam cię, Tupper, naprawdę muszę lecieć.

Maddie doskonale wiedziała, gdzie go szukać. „House Milano” -

zraniony niedźwiedź schronił się w swoim mateczniku.

- Dobry wieczór, pani Wallace - przywitał ją Giorgio, kiedy wchodziła do świątecznie przystrojonej sali.

- Czekaliśmy na panią.

- Witaj, Giorgio. Czy nie sądzisz, że to najwyższy czas, abyś zaczął mi mówić po imieniu? - spytała z uśmiechem.

- Z największą przyjemnością. - Wziął od niej paczuszkę z prezentem dla Joe'ego i pomógł zdjąć płaszcz.

- Joe jest tutaj, prawda? - upewniła się.

- Od dwóch godzin chodzi po sali w tę i z powrotem. - Giorgio wskazał na prezent i spytał poufnym szeptem: - Czy mam położyć to pod choinką, czy wolisz dać mu to teraz?

- Chyba teraz będzie najlepiej.

Przeszła przez pustą salę i zatrzymała się przed podium, na którym mieścił się stolik Joe'ego. Weszła po schodkach, próbując dojrzeć w ciemnościach znajomą sylwetkę. Wreszcie dostrzegła go - stał tyłem, ale odwrócił się, gdy tylko ją usłyszał.

- Joe?

- Już zaczynałem się martwić, że nie przyjdiesz

- uśmiechnął się na jej widok.

317

- Wpadłam po swoje życzenie - powiedziała nieśmiało, kładąc paczuszkę z prezentem na kanapie.
- Przypomniałaś sobie?
- Tak naprawdę, to pani Reed mi w tym pomogła.
- Więc jest już po przyjęciu?
- Okazałam się fatalną gospodynią. Wyszłam przed podaniem deseru.
- Naprawdę szkoda. - Jego wzrok sprawił, że przeszył ją dreszcz. - O ile sobie przypominam, zrobiłaś doskonały mus.
- Ale niezbyt sycący. - Wytrzymała jego pożądlive spojrzenie. - Nadal jestem głodna.
- O jednym zapominasz, *cara*. Tója jestem szefem kuchni, więc już nigdy nie zaznasz uczucia głodu.
- Szefem kuchni? Zdawało mi się, że nie rozmawiamy o jedzeniu.
- Oczywiście, że nie. - Powoli zbliżył się do niej.
- Przyszłaś przecież po swoje życzenie. Powiedz mi, czego pragniesz? Nie zawahała się ani przez chwilę.
- Ciebie - odparła. - To ty nim jesteś. Już nigdy o tym nie zapomnę. Joe wsunął palce między jej włosy.
- Rozpuściłaś je dla niego - szepnął.
- Mylisz się. Zrobiłam to dla ciebie. Miałam je spiąć, ale kiedy przyszedłeś, postanowiłam zrobić ci przyjemność.
- Udało ci się. - Delikatnie dotknął jej policzka.
- A dekoracja stołu? Była inna niż ta na zdjęciu.
- Jakoś nie mogłam zdobyć się na to, by odtworzyć

GWIAZDKA MIŁOŚCI

tamtą dekorację dla Tuppera. Sama nie wiem, dlaczego...

- No właśnie, co z Tupperem?

- Naprawdę myślałam, że go kocham. Bałam się, że jeśli z nim zerwę, to będę taka jak mój ojciec -nieodpowiedzialna. Ale to musiało tak się skończyć. Tupper był po prostu bardzo podobny do mężczyzny ze zdjęcia i...

- I już nie jest?

- Jest, ale ja nie potrzebuję już wzorów z fotografii.

- Dlaczego?

- Bo mam ciebie.

- A jesteś pewna, że dam ci poczucie bezpieczeństwa? Że jestem rozsądny i odpowiedzialny? - pytał podstępnie.

- Nie jestem.

- Więc?

- Kocham cię, Joe. To wszystko

Joe od początku czekał na te słowa. Teraz chwycił ją w ramiona i przycisnął Maddie do siebie, okrywając jej twarz gorącymi pocałunkami.

- Gdy tylko zjawi się moja rodzina, urządzimy prawdziwe przyjęcie zaręczynowe. Zobaczysz, że ich polubisz.

- Wiedzą o nas?

- Tak.

Roześmiała się.

- Joe Milano - zawsze pewny swego! Co im powiedziałaś?

- Prawdę. - W jego głosie nie było ani odrobiny

319

wahania. - Że cię kocham i że chcę, żebyś została moją żoną. Wyjdiesz za mnie, Maddie?

- Wiesz, że tak. - Ujęła go pod ramię i pociągnęła w kierunku kanapy. - Mam dla ciebie prezent. Zobacz.

Joe rozwinął papier, biorąc do ręki oprawiony w skórę notatnik. Między kartkami znajdowały się zasuszone płatki gardenii.

- To z tamtego wieczoru - rzekł cicho. - Pamiętam, jak włożyłem ci gardenię we włosy, kiedy jedliśmy tu kolację.

- Tak, włożyłam ją potem do swojego pamiętnika. Nie wiedziałam, dlaczego to zrobiłam, i dopiero dzisiaj, kiedy zrozumiałam, jak bardzo cię kocham, stało się to dla mnie jasne.

Joe przytulił ją mocno i trzymał w objęciach, dopóki nie usłyszał narastającego gwaru prowadzonej po włosku rozmowy.

- Twoja rodzina - odgadła Maddie.

- Nie, *cara*. Teraz to także twoja rodzina. Chodź, powitamy ich wspólnie i złożymy świąteczne życzenia.